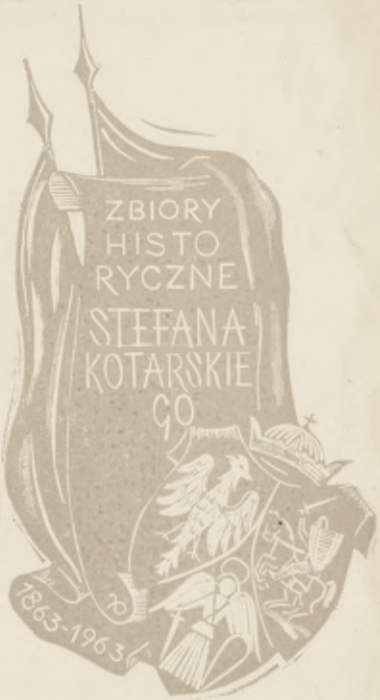
ZBIORY
HISTO
RYCZNE
STEFANA
KOTARSKIE
GO
1863-1963

UPIORY

powieść na tle epoki 1863 roku

Stefan Kotarski № 53/2.

UPIORY

POWIEŚĆ Z ROKU 1863

PRZEZ AUTORA „HISTORYI DWÓCH LAT"

CZĘŚĆ II

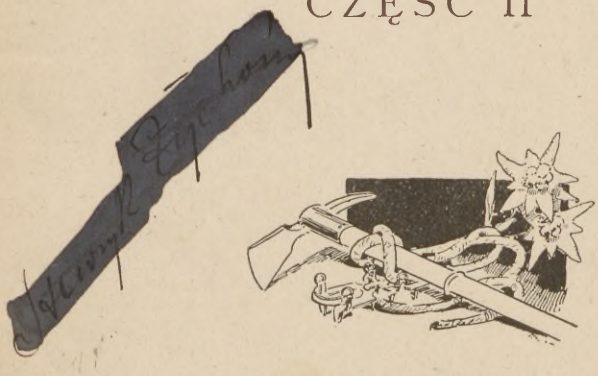

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

1902.

122516

DRUKARNIA »CZASU« W KRAKOWIE.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Dzień ten nigdy nie będzie zapomniany w mojem życiu, gdyż przyniósł mi tyle wrażeń, że w innych, cichszych, spokojniejszych warunkach, starczyłoby mi ich na wypełnienie kilku co najmniej lat.

W oczekiwaniu powrotu panny Adolfiny, odczytałem sobie najprzód modlitwę »w niebezpieczeństwie« z książki od nabożeństwa, a potem zająłem się korektą jakiegoś ognistego artykułu, który miał się ukazać w najbliższym numerze »d'Independenzia« i pogrążyłem się w najlepsze w odczytywanie szumnych zdań i wielosłowych wyrażeń, gdy nagle w kuchence pani Franciszki dała się słyszeć przytłumiona, prawie szeptem wypowiadana rozmowa, a zaraz potem drzwi otworzyły się i do izby, w której stały kaszty drukarskie, a w której ja sam w tej chwili byłem, weszła jakaś kobieta. Ubrana była ubogo, w chustkę zrudziałą na głowie, krótką spodniczynę niezdecydowanej barwy, w trzewiki niekształtne i zabłocone. Weszła, drzwi za sobą starannie zamknęła i nie zdejmując chustki, którą miała pół twarzy zakryte, głosem grubym męskim, zapytała:

— Czy jest porucznik Valery?

Po głosie tym, po jasnych włosach, wydobywających się z pod chustki, poznałem moją elegancką niedawno i strojną

blondynkę z ogrodu miejskiego, teraz przebraną za kobietę z ludu, pod której postacią ukrywał się pan Filip Biały.

Wymieniłem też natychmiast jego nazwisko. Zbliżył się do mnie i rzekł:

— Poznałeś mię pan? to niedobrze. Widać, że kiepsko się ucharakteryzowałem. Ale cóż robić? człowiek ma nie zawsze czas na to. No... ja tu do pana w bardzo ważnej sprawie.

Obejrzał się dokoła bacznie i zobaczywszy drzwi do mego pokoju, zapytał;

— Co tam jest?

— Moja sypialnia.

— To chodźmy tam.

Usiadł na krześle podle okna, kazał mi to samo uczynić i nachylając się do mnie, pół szeptem, w którym brzmiał jego gruby bas, rzekł:

— Przyniosłem rozkaz naczelnika miasta.

— Do mnie?

— No, niekoniecznie do pana. Wiesz, obywatelu, o co idzie? o to, że trzeba Rosotempla sprzątnąć.

— Jakto sprzątnąć?

— Wsadzić mu sztylet pod piąte żebro i niech raz ten łajdak zdechnie. Podejmujesz się tego?

— Nigdy! — zawołałem zrywając się z krzesła z wyrazem najwyższego oburzenia i wstrętu. Pan Biały mówił to zapalając obojętnie popierosa, spoglądając w okno i ziewając. Widocznie był niewyspany, ale ta właśnie jego obojętność nadawała szczególnie wstrętną cechę jego propozycyi. Gdym zawołał »nigdy« nagle spoważniał, spojrzał na mnie swemi łagodnemi, niebieskiemi oczami, które niespodziewanie przybrały dziwnie chłodny, przejmujący, stalowy wyraz i spytał:

— Dlaczegóż to?

— Dlatego — zawołałem rozgorączkowany — że ja jestem żołnierz, walczę tylko otwarcie, a do skrytobójstw się nie nadaję.

Nie spuszczał ze mnie ani na chwilę swego zimnego wzroku i szepnął na pół do mnie, na pół do siebie:

— Pokazuje się, że prawdę mówiono.

I nagle ni stąd, ni z owąd zaczął się śmiać cicho i szyderczo, mówiąc:

— Winszuję ci, mości poruczniku, twoich rycerskich uczuć, ale to, powiadam ci, na djabła się nie zdało. W dawnych czasach ludzie byli mądrzejsi i mniej skrupulatni. Gdy jaki »fidrygant« kochał się w cudzej żonie, to przedewszystkiem starał się usunąć przeszkadzającego mu męża. Ale *tempora mutantur*... Czy słyszałeś co się tam dzieje w ogrodzie tego hycla Rosotempla? Zaduszono mu najwierniejszego sługę, największego łajdaka, jakiego kiedykolwiek kula ziemska nosiła, szpiega Tuan Beja Merinosa?

— Czytałem o tem przed chwilą w gazecie rządowej.

— Proszę ja ciebie, obywatelu, kto to mógł zrobić?

— Hm... nie wiem...

— Aa! nie wiesz. Mniejsza z tem. Bądź co bądź jeden z twoich ludzi, zdaje mi się Burczymuchą przezwany, ma być człowiekiem bardzo silnym... ale cóż? zanadto się naraża. A ten drugi, Laskonogim zwany, co to za człowiek? Czy jest odważny i zdecydowany na wszystko?

— Odważnym jest bardzo, ale jest to odwaga żołnierska, na placu boju, wśród świstu kul, »z okiem wlepionem w nieprzyjaciół szaniec«.

— Cytujesz, obywatelu, poetów, bardzo to jest pięknie. No muszę już iść. Ale, ale... jeszcze jedno!

Pobiegł do kuchni do pani Franciszki i przyniósł stamtąd zwyczajny zamknięty koszyk, którego zawartość wewnętrzna musiała być dość ciężką, bo niósł go z widocznym wysiłkiem. Koszyk postawił na stole, obejrzał się dokoła i rzekł:

— Musisz to, obywatelu, schować do czasu aż koszyk ten będzie zażądanym. Ale gdzie ty to u djabła schowasz? Pustki tu u ciebie.

— Chyba pod łóżko!

— Ha! niech i tak będzie. Na bezrybiu i rak ryba.

To rzekłszy wsunął pod łóżko ów ciężki koszyk, przyczem rozległ się metalowy brzęk jakichś naczyń czy sprzętów, i prostując się rzekł ze słodkim uśmiechem:

— Nie trzeba tam zaglądać. Do widzenia, obywatelu. Pozdrowienie i braterstwo. Więc powiadasz, że ten Laskonogi jest odważny?... »z okiem wlepionem w nieprzyjaciół szaniec«? do widzenia! do widzenia!

Naciągnął brudną chustkę na głowę i wyszedł, i widziałem jak posuwał się przez dziedziniec krokiem ciężkim kobiety z ludu i znikł za bramą. Zostałem sam oszołomiony tą rozmową, oburzony propozycyą, przerażony zamysłem zamordowania Rosotempla. Cała burza uczuć zerwała się w mym mózgu. Kapitan karabinierów był łotrem, największym może wrogiem organizacyi, ale sumienie mi mówiło, że nie może, nie powinien on zginąć z ręki skrytobójczej, i jeżelim mu już jedną krzywdę zrobił uwodząc mu żonę, to obowiązkiem moim jest niedopuścić innej krzywdy. Tak sobie te rzeczy tłumaczyłem i w nerwowym nastroju mego umysłu, podrażnionego mocno tem życiem pełnem niebezpieczeństw, wydawało mi się, że ja nie powinienem, jako człowiek honoru i sumienia, obojętnie patrzeć na gotujący się zamach na Rosotempla. Przez chwilę nawet tak mocno byłem podniecony, że zdawało mi się, że powinienem go o tem ostrzedz, że taki krok nakazuje mi sumienie moje i szczególne położenie, w jakiem wobec tego człowieka się znajduję. Ale chłodniejsza rozwaga mówiła, że byłoby to prostą zdradą tych, którzy mi tę tajemnicę powierzyli, i w ogólności dnia owego stanąłem na takiem rozdrożu, znalazłem się wśród takich sprzeczności, że nie wiedziałem co robić i jak pogodzić wyegzaltowane pojęcia o obowiązkach mego sumienia z obowiązkami względem sprawy, której służyłem. W głębi duszy byłem nieprzyjacielem skrytobójstw politycznych, wydawały mi się one niegodnemi podniosłej walki, którą toczyliśmy, ale czyż miałem prawo wstrzymywać rękę, usuwającą przeszkody w tej walce?

Był to dzień straszny dla mnie, dzień ponurej walki wewnętrznej, walki, która ostatecznie do żadnego pozytywnego rezultatu nie doprowadziła mię wcale. Pozostałem niemym widzem ponurej tragedyi. Zresztą, szczerze mówiąc, niebawem przestałem o tem myśleć, gdyż wypadki polityczne poczęły się tak szybko rozwijać, że nie było czasu zajmować się rodzącymi się zamiarami, gdy fakta spełnione zwracały na siebie całą moją uwagę.

Koło południa wróciła panna Adolfina od Burczymuchy i przyniosła mi dziwną bardzo wiadomość, która mię nieomal do wściekłości doprowadziła. Burczymucha w odpowiedzi na mój list, kazał pannie Adolfinie zakomunikować mi, że »on sam osobiście stawi się u pana porucznika dziś jeszcze i wyjaśni mu wszystko«.

W tem położeniu, w jakiem znajdowaliśmy się ówcześnie, wobec zdwojonej baczności policyi wskutek morderstwa Merinosa w ogrodzie kapitana Rosotemplo, wobec rysopisu Burczymuchy, który zapewne wszyscy algasile posiadali, krok wachmistrza był prostem szaleństwem i urodzić się mógł tylko w tak tępej głowie, jak jego.

— Kiedy ten osioł ma tu przyjść? — spytałem zaniepokojony panny Adolfiny.

— Powiedział, że zaraz... że dziś jeszcze.

Odpowiedź ta stanowczo kładła tamę wszelkim próbom zapobieżenia nierozsądnemu krokowi Burczymuchy. Zrazu wysłać chciałem jeszcze raz do niego Adolfinę z najsurowszym zakazem wychodzenia z mieszkania, a teraz na nic by się to nie przydało, bo mogła się z nim minąć. Znając mego Burczymuchę, wiedziałem, że u niego za myślą czyn zaraz następuje, i że powiedziawszy dziewczynie, iż zaraz u mnie będzie, z pewnością wkrótce po niej wyruszył.

— Czy panna Adolfina wprost z ulicy »d'Industria« tu przyszła? — spytałem.

— O nie! wstępowałam jeszcze do magazynu mód, potem do jednej ze swoich przyjaciółek. Czy się spóźniłam? Nie

zdaje mi się, by słowa tego niedźwiedzia, Ignacego, miały jaką ważność.

Wobec tego nie ulegało wątpliwości, że Burczymucha już dawno wyszedł ze swego mieszkania i jeżeli nie został schwytany gdzie na ulicy, lada chwila mogłem się go spodziewać. Nie pozostawało zatem nic innego, jak czekać i w tem oczekiwaniu dręczyć się wszelkiego rodzaju najgorszemi przypuszczeniami.

Jakoż dręczyłem się niemi dopóty, dopóki nie zjawił się przedemną w swej własnej osobie oczekiwany. Przyszedł ubrany w kapelusz bandycki z wielkiemi skrzydłami, jakich wtedy nikt nie nosił, a który umieszczony na ogromnej głowie tego wielkoluda, powszechną na siebie zwracał uwagę na ulicy. Prócz tego miał na sobie szeroki, jasno-zielonej barwy płaszcz z peleryną, którym dumnie się owijał, niewątpliwie ten sam płaszcz, w którym odgrywał rolę widma w parku kapitana Rosotempla, i który opisany został w artykule *Gazeta Universale*.

Widząc go tak przebranego, skamieniałem po prostu. Jakim sposobem ten człowiek, ubrany tak znacząco, mógł przejść niepostrzeżenie z ulicy »d'Industria«, na koniec ulicy »Dora«, to jest co najmniej jakich pięć do sześciu kilometrów, przez ulice należące do najbardziej ożywionych, tego zrozumieć ani wtedy nie mogłem, ani dziś nie jestem w stanie. Dowodzi to zarazem, jak niedbałą i niemądrą była policya rządowa.

Z tem wszystkiem widok Burczymuchy w tym stroju, stojącego przy drzwiach w postawie wojskowej, po tym dręczącym niepokoju, jakiego przed chwilą doznawałem, jeżeli z jednej strony sprawił mi niewypowiedzianą ulgę, to z drugiej wzbudził we mnie wybuch niepohamowanego gniewu na nieograniczoną głupotę tego człowieka.

— I ty, w tym stroju, przeszedłeś przez całe miasto?

— Tak, panie poruczniku.

— Stary ośle, to tylko cudem jakimś ocalałeś i szkoda wielka, że takiego kpa, jak ty, nie zabrał jaki algasil na po-

licyę. Czyż nie wiesz, że twój rysopis jest w rękach każdego szpiega, że o twoim płaszczu zielonym pisze dziennik urzędowy? Czy nie wiesz o tem?

— Nie, panie poruczniku, nic nie wiem. A co się, mopanku, tyczy mego płaszcza zielonego...

— Milcz lepiej. Ty po nocach włóczysz się po ogrodzie kapitana Rosotemplo?

— Ano ja... ktoby inny, mopanku?

— Kto ci kazał to robić?

— Nikt... ale uważa pan porucznik, ja sądziłem, że nim się rozpocznie operacye, mopanku, wojenne, wprzódy należy zrekognoskować grunt. Jużcić, pan porucznik uczynić tego nie mógł, więc ja to uczyniłem i dziś cały ten ogród, mopanku, znam jak własną kieszeń. W najciemniejszą noc wszędzie trafię.

— I udawałeś stracha, przebrany w ten oto skandaliczny płaszcz zielony?

Burczymucha spojrzał na swój płaszcz i rzekł trochę kwaśno:

— Dlaczego mój płaszcz niema szczęścia, mopanku, podobać się panu porucznikowi, nie wiem. Mnie on się bardzo podoba, a przytem w takim płaszczu chodził duch margrabiego Ryszarda de Montsaint-Victor!

— Co ty pleciesz do krocset djabłów? Więc pierwsza w twem życiu przeczytana książka tak ci w twoim głupim łbie przewróciła, że z niej przykłady i wzory bierzesz?

— Z przeproszeniem pana porucznika... ale czy ja co złego zrobiłem, mopanku, bo dalibóg nic nie rozumiem...

Niepodobna było gniewać się na tego naiwnie ograniczonego człowieka. Mimowoli zaśmiałem się i spytałem:

— Więc to ty udusiłeś Merinosa?

— Ano... ja... mopanku. Szelma miał tyle życia w sobie co kurczę... Ledwie go trochę ścisnąłem za spasłe szyjsko, a już jęzor wywiesił i zipać zaczął.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Dlatego, że począł łazić za mną po ogrodzie, szpiegować mię. Co, mopanku, syknę na niego ogniem, on się jeno zatrzyma i idzie dalej. Mruczę: odczep się, bo zginiesz! Nic to nie pomaga, więc wziąłem go za szyję i ścisnąłem. Byłem, mopanku, trochę zły, a przytem poznałem w tym hultaju tego samego, który najbardziej rzucał się na mnie w hotelu, więc ścisnąłem go za mocno i koniec. Anim przypuszczał, że mu tak odrazu kark skręcę. Djabli wiedzieli, że taki mizerak!

— Bądź co bądź narobiłeś straszliwego bigosu i gdybyśmy byli w polu, oddałbym cię bez wahania natychmiast pod sąd wojenny!

— Wedle rozkazania, panie poruczniku, ale z przeproszeniem, mopanku, za co mnie pod sąd? czy za to, żem kark skręcił hyclowi szpiegowi?

— Nie za to, ale za to, żeś się ośmielił działać bez mego pozwolenia. Kto ci kazał chodzić do ogrodu?

— Hm! juścić nikt... ale mnie się wydawało, że skoro pan porucznik tam ma iść, to trzeba zrobić rekonesans.

— To ci się głupio wydawało i na przyszłość najlepiej zrobisz, gdy będziesz to tylko wykonywał, co ci poleconem zostanie.

— Słucham pana porucznika.

— Czy nikt cię nie zaczepiał na ulicy w tym warjackim kostyumie?

— Z przeproszeniem pana porucznika, ale ten kostyum jest rychtyg taki, jaki miał margrabia de...

— Nie plótłbyś głupstw z twoim margrabią! Cudem tylko uszedłeś oczów algasilów. Opisany jesteś po wszystkich gazetach i musisz się przebrać chcąc wracać do domu, inaczej cię schwycą i powieszą.

— Ha! wedle rozkazania pana porucznika, ale mopanku... taki piękny płasz z sukna... hm!

— Zostań tu do wieczora. O ubranie się dla ciebie postaram i jak noc zapadnie pójdziesz do domu. Zakazuję ci najsurowiej pokazywać się gdziekolwiek.

— Wedle rozkazania pana porucznika.

Siedział więc w pierwszej izbie Burczymucha i drzemał na krześle, ja zaś wysłałem z domu poczciwą Adolfinę, by mu kupiła jakie mniej ekscentryczne suknie. Kosztowało to dużo pieniędzy i dno poczęło się ukazywać w mojej sakiewce. Gdy noc zapadła wyprawiłem Burczymuchę do domu, zalecając mu jak najsurowiej jeszcze raz, by pod żadnym pozorem nie wychodził na ulicę i czekał moich rozkazów. Przyrzekł mi uroczyście, że zastosuje się jak najściślej do tego polecenia.

II.

Ale nie na tem miały się skończyć wypadki tego dnia na zawsze pamiętnego w mem życiu. Przed samym wieczorem zjawił się u mnie niespodziewany gość, pan Sumini. Przyszedł w długiem palcie, z kołnierzem podniesionym do góry, owiązany szalem, przez który widać było tylko jego wielkie ciemne oczy, przykryte niebeskimi binoklami. Wszedł do pierwszego pokoju, gdzie właśnie przebrany już Burczymucha zabierał się do niebezpiecznego powrotu do domu, obrzucił wszystko wzrokiem i gdy zdjął szal i opuścił kołnierz, zapytał mię wprost:

— Czy pan mię poznajesz?

— Poznaję doskonale.

— Mam z panem do pomówienia w cztery oczy.

Poprosiłem go do mego pokoju i tu oświadczył mi, że przybywa z rozkazu pułkownika Fidebona.

— Musisz pan pojutrze — mówił — o godzinie dwunastej w południe stawić się u pułkownika, ale nie na ulicy »Di Smola«, ale na Madryckiem przedmieściu nr 7. Jest to duży dom, z obszernem podwórzem, zabudowanem oficynami. Skierujesz się do oficyny prawej, tam wejdziesz na drugie piętro i do drzwi oznaczonych numerem 24 zapukasz trzykrotnie. Czy mię zrozumiałeś, poruczniku? Czy spamiętasz?

— Zrozumiałem i spamiętam doskonale.

— Należy zachować na ulicy wszelkie ostrożności. Policya wkutek ostatnich wypadków, zdwoiła czujność; gdybyś zauważył, że jesteś śledzony, nie waż się wchodzić do wskazanego ci domu. Jeżeli nie przyjdziesz, będzie to znaczyło, że szpiegi są na twym tropie. Będę się starał w takim razie zobaczyć z tobą, jeżeli ci się uda wywikłać ze szponów algasilów. Mają podobno twój i twych towarzyszy rysopis. Bądź więc ostrożny. Staraj się jednak być punktualnym. To wszystko. Do widzenia. Pozdrowienie i braterstwo!

Podniósł kołnierz od palta, owinął się szalem, kapelusz nacisnął na oczy, uśmiechnął się do mnie i wyszedł, tak swobodnym i pewnym krokiem, jak gdyby nie wisiało nad nim śmiertelne niebezpieczeństwo. Ale my wszyscy byliśmy wtedy tacy, istne upiory tłukące się po ponurych i krwawych wertepach nocy społecznej!

Późnym wieczorem, gdy odmówiwszy ze »Złotego Ołtarzyka« moją zwykłą »modlitwę w niebezpieczeństwie«, która miała własność szczególną pokrzepiania mego ducha, zamierzałem już iść spać, nagle wpadła do mnie panna Adolfina i zamykając za sobą drzwi starannie, głosem bardzo zdyszanym, szepnęła:

— Mam klucz i kartkę!

— Od Beli?

— Tak! oto jest... niech pan sobie przeczyta, a jutro rano przyjdę po odpowiedź. Bela będzie na mnie czekała na ulicy »Mereschalchi«. Alem się też zadyszała... biegłam, co miałam sił, bo wiedziałam, że panu tem przyjemność sprawię.

— Dziękuję panno Adolfino! — odrzekłem na pół nieprzytomnie, gorączkowo zajęty odczytywaniem wręczonej mi różowej, pachnącej fijołkami kartki od Józefiny.

Pisała mi ona, że mąż jej jutro rano wyjeżdża na prowincyę, i nie wróci, aż pojutrze. Jedzie, bo podobno jakieś znaleziono ślady mordercy Merinosa, że teraz od śmierci tego szpiega czuje się swobodniejszą, że ma mi wiele ważnych rzeczy do powiedzenia, rzeczy nie cierpiących zwłoki i dla-

tego korzysta z wolniejszej chwili, by mi naznaczyć schadzkę. W końcu tego liściku zalecała mi jak największą ostrożność, gdyż ogród zapewne potajemnie jest strzeżony i ona sama tylko ważnemi względami się powoduje, by wejść do niego w nocy, po niedawnym tak strasznym wypadku.

Przeczytałem ten list z pewnem dziwnem, niewytłumaczonem uczuciem. Przedewszystkiem uderzył mię jego chłód; ani słowa nie było o naszej miłości, ani jednego wyrazu z tych gorących zaklęć kobiety zakochanej, tego wylewu uczuć, jakim odznaczały się listy Józefiny. To też powstało zaraz we mnie podejrzenie, że listu tego albo nie pisała Józefina, albo został skreślony pod przymusem, by przygotować na mnie zasadzkę. Wprawdzie nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że te chłodne, jakby wymuszone słowa, skreśliła Józefina własnoręcznie. Jej to był chrakter tak dobrze mi znany, cieńki, nerwowy, kobiecy, jej papier i jej woń odurzająca fijołków, którą tak lubiła. Powtarzam, pod tym względem nie było wątpliwości, i jeżeli na dnie tego listu leżała ohydna zdrada, to skreślony on został pod straszliwym, niepojętym, śmiertelnym jakimś przymusem.

I rozwijając dalej to przypuszczenie, wydało mi się nieprawdopodobnem, by Rosotemplo, po fakcie morderstwa, który nabył ogromnego rozgłosu, mógł z Bilbao wyjechać. Podanie przyczyny, jakoby ślady mordercy wykryto na prowincyi, było śmiesznym i naiwnym pomysłem. A przytem Rosotemplo już nieraz wyjeżdżał. W chwili, gdy Burczymucha dusił w parku Merinosa, kapitana również nie było, dlaczegoż wtedy Józefina nie chciała mi naznaczyć schadzki, a wyznaczała ją teraz, po zabiciu Merinosa, gdy cała policya w Bilbao została poruszona, gdy z natury rzeczy musiano szczególną baczność zwrócić na park Rosotempla? Wszystko to pachniało zdaleka zdradą i zasadzką.

Ale z drugiej strony, czyż możebnem było, aby Józefina świadomie dała się użyć za narzędzie takiej niecnej zdrady? jakiż gwałt mógłby ją zmusić do takiego kroku? Czyż kobieta

naprawdę kochająca, a nigdy nie wątpiłem o tem, że jestem gorąco kochany, nie stawiłaby nieprzełamanego oporu nawet gwałtowi, by nie narazić przedmiotu swej miłości na śmierć niechybną?

Oto pytania, które napróżno siliłem się rozwiązać, które mię nabawiły całonocnej bezsenności, i rano zmęczony, zdenerwowany, chory prawie, niewypowiedzianie smutny, z duszą i sercem rozdartem straszliwą męką wewnętrzną, nie wiedziałem jakie powziąć postanowienie, co robić, iść, czy nie iść na schadzkę mi wyznaczoną. I nie powziąłem żadnej decyzyi do chwili, w której zjawiła się u mnie panna Adolfina po odpowiedź. I wtedy nagle znalazłem takie rozwiązanie męczącego mię całą noc dylematu: albo moje przypuszczenie jest prawdziwe i wtedy należy się przekonać i raz na zawsze zerwać kompromitujący mię nawet politycznie stosunek ze zdrajczynią i żoną szpiega policyjnego; albo nieprawdziwe i wtedy także należy stawić się na wezwanie ukochanej kobiety.

Skreśliłem więc naprędce kilka wyrazów: »będę, o godzinie dziewiątej wieczorem«, nic więcej. Godzinę tak wczesną dlatego wybrałem, że tylko do jedenastej można się było nawet z latarką pokazywać na ulicy. Wręczywszy tę karteczkę oczekującej na nią pannie Adolfinie, uczułem taką ulgę, jakby mi ciężar spadł z serca.

— Stało się — rzekłem — teraz co będzie to będzie.

Prosiłem pannę Adolfinę, by poszła także do Burczymuchy z rozkazem moim ustnym, aby o godzinie ósmej wieczorem stawił się w jednej z kawiarń na ulicy »Mareschalchi« i gdzie ja już znajdować się będę. Prosiłem przytem pannę Adolfinę, aby zobaczywszy się ze swoją siostrą Belą, nieznacznie ją zapytała, czy kapitan Rosotemplo wyjechał z Bilbao i kiedy ma zamiar wrócić.

— Uczyń to panna tak — mówiłem — by Bela nie domyślała się, że ją wypytujesz. Bo przecież panno Adolfino rozumiesz... że w tem wyznaczeniu mi na dziś schadzki może być zdrada.

— O! niech się pan nie boi! Je z panem także pójdę i będę pilnować; jak suka strzedz pana będę. O! niech się pan niczego nie boi, jabym im ślepie wydrapała... A zresztą, co do Beli jestem pewna, że zdrady nie knuje, co zaś do pani Rosotemplo, to proszę pana, cóż by to była za kobieta, żeby w ten sposób chciała zdradzić mężczyznę, którego kocha? Chyba żeby pana nie kochała...

Nie chciałem się z panną Adolfiną wdawać w dyskusyę w tym drażliwym przedmiocie i rzekłem:

— W każdym razie, niech panna wybada swą siostrę nieznacznie.

Przyrzekła mi to, poprawiła jaskrawy kapelusz na swej głowie i uśmiechnęła się do mnie smutno, od drzwi przesłała ręką pocałunek i znikła.

Zostałem sam z mojemi myślami. Trudno pojąć z jak wielkim i dręczącym niepokojem oczekiwałem wieczora, ile przez ten dzień nieskończenie długi porobiłem przypuszczeń i wniosków!

III.

Z niepokojem, szarpany najrozmaitszemi myślami, raz pełen podejrzeń o zdradzie, to znów pewny, że Józefina nie mogła stać się narzędziem tak wstrętnej zasadzki, oczekiwałem wieczoru. Nadszedł on nakoniec chmurny, ciemny, ale cichy i ciepły, jakby dla mnie umyślnie stworzony. Ubrałem się w płaszcz, opatrzyłem starannie rewolwer i zaopatrzony w konieczną latarkę, wyruszyłem na schadzkę, a raczej na wyprawę, bodaj czy nie najniebezpieczniejszą w mojem życiu. Byłem spokojny i zdecydowany na wszystko; nie taiłem tego przed sobą, że pomimo wszelkich rozumowań z mej strony, bardzo możliwą była zdrada. Ale cofnąć się nigdy nie myślałem i postanowiłem sobie w razie napadu na mnie zbirów Rosotempla, drogo sprzedać moje życie. Pięć strzałów w rewolwerze miałem dla nich, szósty dla siebie.

Przed wyjściem ukląkłem i pobożnie odmówiłem ze »Złotego Ołtarzyka« pokrzepiającą mię modlitwę »w niebezpieczeństwie«, poczem wyruszyłem. W kuchni rzekłem do pani Franciszki, jak zwykle siedzącej na twardym stołku przy lampie i cerującej pończochy.

— Wychodzę i jeżeli wrócę, to zapewne dość późno.

Podniosła głowę i swemi siwemi, wypłowiałemi oczami z poza wielkich okularów spojrzała na mnie i rzekła:

— Mówisz pan: jeżeli wrócę. Czy suponujesz, że możesz nie wrócić?

— Tak, mogę nie wrócić.

— Aha!...

Wstała, zdjęła okulary, wyprostowała się i rzekła uroczystym tonem, robiąc przedemną znak Krzyża Świętego:

— Nie wiem dokąd pan idziesz. Ale niech pana Pan Jezus ma w swej opiece. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, amen.

Wzruszyło mię do głębi to proste, ciche, serdeczne błogosławieństwo, które wydało mi się świętokradztwem wobec tego, że nie idę dla spełnienia czynu, mogącego przynieść pożytek mej kochanej ojczyźnie, ale na schadzkę z cudzą żoną. Więc rzekłem:

— Dziękuję za błogosławieństwo, pani Franciszkowa, ale nie zasłużyłem na nie. Idę dokonać czynu nie zasługującego na błogosławieństwo, ale... bądź co bądź... dziękuję!

Spojrzała jeszcze raz na mnie i rzekła:

— Nie wiem i nie pytam się co pan chcesz robić, ale, młodzieńcze, błogosławieństwo starej kobiety nigdy nie zaszkodzi. Co mam zrobić, jeżeli wcale nie wrócisz?

— Doniesiesz o tem panu Białemu.

— Dobrze.

Wyszedłem zamyślony głęboko, smutny i niezadowolony ze siebie, podrażniony przykro tem poważnem błogosławieństwem starej kobiety, gdy nagle, przy bramie, zastąpił mi drogę jakiś cień.

— Kto tu? — spytałem.

— Niech pan mówi ciszej, to ja! — szepnął jakiś głos.

— Co za ja?

— Adolfina. Czy mię pan nie poznaje?

— W rzeczy samej nie poznałem. Ale co panna tu robisz? czy na mnie czekasz?

— Tak.

— O co idzie?

— O nic... proszę pana — szepnęła z widocznem zakłopotaniem w głosie — niech pan się nie gniewa... bo, widzi pan... ja chcę z panem iść.

— A to po co?

— O! ja pana samego nie puszczę, nie puszczę i koniec! — szeptała coraz namiętniej, chwytając mię gorączkowo za rękę — czy pan myśli, że jabym tu mogła zostać, kiedy panu może grozić niebezpieczeństwo? Ja bym tu umarła. No, (mówiła przymilającym, najsłodszym, jaki mogła wydobyć ze swych biednych piersi, głosem) niech się pan nie gniewa i pozwoli mi iść za sobą. Zdaleka będę szła, albo lepiej przed panem, bo przecież nie wypada, ja to doskonale rozumiem, żeby pan szedł przez ulicę z taką jak ja kobietą. Mógłby kto zobaczyć. A tam w ogrodzie, pani Rosotemplo wcale nie będzie wiedziała, że ja z panem przyszłam. Ja się ukryję gdzie w krzakach zdaleka, uszy zatkam, żebym nie słyszała co państwo będziecie mówili, ale zato będę patrzała, czy te szelmy algasile nie nadchodzą. O! niech pan będzie spokojny, ja ich zobaczę i ostrzegę pana. Krzyknę zaraz.

— Ale to wszystko być nie może, panno Adolfino. Nie mam prawa narażać pani na takie niebezpieczeństwo. Bardzo ci dziękuję za twe dobre, poczciwe serce, ale tej ofiary przyjąć nie mogę.

— O! niech pan nie odmawia, mój złoty panie. Ja bym umarła czekając na powrót pański... Nie! nie!... a zresztą, ja panu powiem, na nic się nie przyda odmowa pańska, bo ja za panem pójdę.

— Zabraniam pani tego!

— Nie zabraniaj pan, bo pójdę! Jak pies będę szła za tobą, będę wartowała, zębami i pazurami w razie czego bronić cię będę.

Mówiła to wszystko szeptem, ale z wrastającym ogniem i uniesieniem, z ruchami gorączkowymi i niespokojnymi. Oczywista rzecz, że była zdecydowaną wykonać to, co zamierzała, i zakaz mój na nicby się nie przydał. A przytem czyż miałem jaki słuszny i uzasadniony powód odrzucenia pomocy tej dobrej dziewczyny? Swą bystrością, przenikliwością, dużą inteligencyą i poświęceniem mogła mi w rzeczy samej przynieść niemało pożytku w tej hazardownej wyprawie, jaką przedsiębrałem.

— Dobrze więc — rzekłem — chodźmy, bo czasu już nie wiele.

Uchwyciła mię za rękę i nim się spostrzedz mogłem, ucałowała ją namiętnie, szepcąc:

— Dziękuję, bardzo dziękuję. Ale ja z panem razem nie pójdę. Skoczę przodem, spotkam tego niedźwiedzia z ulicy d'Industria i powiem mu, by szedł za mną. Wszyscy będą myśleli, że go prowadzę do siebie. Ha! ha! ha!

Zaśmiała się, otuliła ciemną mantylą i wyruszyła naprzód, a ja za nią. Na odchodnem szepnęła mi:

— Niech pan idzie ulicą Dora aż do okopów, bo tamtędy trzeba się będzie dostać do tyłów ogrodu. Ja skoczę po tego niedźwiedzia, pana Ignacego, i dogonimy pana. Niech pan idzie wolnym krokiem.

To rzekłszy, Adolfina frunęła i znikła mi wkrótce z oczów w ciemnościach. Uznałem słuszność tej rady i otuliwszy się w płaszcz ruszyłem ku okopom. Ulica o tej porze i w tem oddaleniu od środka miasta była zupełnie pusta. Rzadkie latarnie nie mogły rozświecić dostatecznie panujących tu ciemności. Bruk niebawem się skończył i brnąłem po grzęskim błocie, potykając się co chwila. Z wielkich starych drzew, jakiemi ulica była wysadzona, liście jesienne z głuchym szele-

stem spadały, i byłem nieskończenie smutny w tej ciszy i samotności, której tłem był głuchy szmer dalekiego oddechu wielkiego miasta.

Szedłem tak krokiem wolnym może z jakie dziesięć minut, gdy za mną rozległy się szybkie stąpania, w których rozróżniłem ciężki chód Burczymuchy i rozgłośne sapanie jego potężnych piersi. Zaraz też złączyli się ze mną, a panna Adolfina, zawołała:

— Jesteśmy!

Spojrzałem na Burczymuchę i o ile ciemności pozwoliły mi dojrzeć widziałem, że miał na głowie jakiś fantastyczny kapelusz, a w ręku trzymał grubą pałkę.

— Czy masz rewolwer? — spytałem.

— Co tam rewolwer, mopanku... lepszy ten kij... ale i rewolwer mam.

— My pójdziemy przodem — rzekła panna Adolfina — a pan niech za nami idzie. Gdyby było jakie niebezpieczeństwo, pan Ignacy zakracze jak wrona. Powiada, że doskonale umie krakać.

— Dobrze — odparłem — idźcie państwo przodem.

W ten sposób, bez żadnej zresztą przygody, wzdłuż wału miejskiego dostaliśmy się do muru, otaczającego ogród kapitana karabinierów. Pierwszy raz tu byłem i łatwo pojąć, że z natężoną ciekawością oglądałem miejscowość, choć noc ciemna nie wiele mi widzieć pozwalała. Na szczęście nic tu, żadne budynki i gmachy nie ograniczały widnokręgu, a bielejący na zachodzie pas nieba jasnego, dawał możność rozróżnienia choć sylwetek przedmiotów. Mur ogrodowy był wysoki i z poza niego widać było rozłożyste konary drzew, z których liście sypały się z szelestem pod naciskiem lekkiego i chłodnego wiatru, który tutaj w tej otwartej przestrzeni czuć się dawał. Mur dotykał niemal samych okopów miejskich, od których oddzielała go wązka, niebrukowana i błotnista droga. Na okopach sterczało kilka bezlistnych nagich wierzb, których gałęziami wiatr tłukł głucho i napełniał tę ciszę nocną

i tę pustkę, posępną jakąś poezyą. Dokoła żywej duszy nie było i najmniejszy odgłos ludzki nie zakłócał sennych szmerów natury.

Furtka znajdowała się niedaleko zagięcia muru. Gdyśmy się do niej zbliżyli, panna Adolfina szepnęła mi do ucha:

— Proszę o klucz. Ja sama wpierw wejdę i zobaczę czy niema jakiego niebezpieczeństwa.

— Nie! — rzekłem — to być nie może. Z jakiej racyi masz się narażać dla mnie? Ja sam pierwszy wejdę.

— Nigdy na to nie pozwolę — zawołała panna Adolfina — nigdy! I niech się pan o mnie nie boi. Nawet gdyby mię złapali, toby mi nic nie było. Co mogą zrobić takiej jak ja dziewczynie? A zresztą ja się wytłumaczę. Tam lokaj pana Rosotempla kocha się we mnie, głupiec jakiś; gdyby mię złapali, to powiem, żem szła do niego i że on mi klucz dał. To jest taki osioł i tak we mnie zadurzony, że wszystko przyzna za prawdę. Już ja się znam na tem. On dla miłości dla mnie nawet się na karę narazi. No!... niema czasu... proszę o klucz! Niech panowie ukryją się w cieniu obok tego drzewa i czekają na mnie. Wzięłam ze sobą flaszeczkę oliwy, napuszczę jej w zamek i zawiasy, żeby furtka przy otwieraniu nie skrzypiała, bo tędy dawno nikt nie chodził.

— Hm... mopanku... toż lepiej przeleźć przez mur, tak jak ja robiłem. Stąd o dziesięć kroków mur jest trochę poszczerbiony i łatwo się wdrapać, a z drugiej strony jest kupa liści, na które skoczyć można. Miękko jest mopanku jak w pierzynie.

— A! co to o tem ględzić! — syknęła niecierpliwie panna Adolfina — pan dasz jeden krok i przeleziesz przez mur, ale nie pan Valery. Proszę o klucz...

Słuchałem tego wszystkiego w milczeniu i mimowoli, bezmyślnie, klucz żądany jej wręczyłem. Żwawo i zręcznie, skoczyła do furtki i znikła w ciemnościach. Co tam robiła nie wiem, bo zachowywała się tak cicho, że najmniejszy szelest jej nie zdradzał. Usunęliśmy się z Burczymuchą pod cień roz-

łożystej topoli i nadsłuchując pilnie, czekaliśmy na pannę Adolfinę. Dziwna rzecz! byłem tak spokojny, jak gdybym siedział w swym pokoju i jak gdyby nie wisiało nademną jedno z największych niebezpieczeństw. Myślałam o Józefinie i o tem, że ją zobaczę, że będę mógł uścisnąć jej rączkę, ucałować jej drogie usta...

Czekaliśmy dość długo i Burczymucha począł się już niecierpliwić i mruczał pod nosem:

— Djabli wiedzą, mopanku, czego my tu stoimy? Babskie rządy do niczego nie prowadzą. Trzeba było przeleźć przez mur i basta! Niech to kule biją:

Ale nakoniec zamigotało coś przed nami i panna Adolfina zjawiła się, szepcząc mi do ucha:

— Ogród pusty, a pod figurą kamienną, przy altanie siedzi jakaś kobieta. To zapewne ona... chodźmy!

Jednym skokiem znalazłem się w tym tajemniczym i pełnym grozy ogrodzie. Ciemno tu było tak, że najbliższych przedmiotów rozróżnić nie mogłem; wielkie drzewa szumiąc posępnie, przyczem sypał się z nich grad liści jesiennych, zaciemniały i tę odrobinę światła, jakiem niebo zachmurzone darzyło ziemię. Szliśmy ścieżką, dość wązką, a piasek, którym była wysypana trzeszczał pod nogami. Nagle panna Adolfina, prowadząca mię dotąd, na pół nieprzytomnego i jedynie zajętego myślą ujrzenia ukochanej kobiety, zatrzymała się i szepnęła:

— Widzi pan tę bielejącą w głębi figurę?

— Widzę.

— Tam czeka na pana pani Rosotemplo. Sam pan już trafi. Ja przesunę się boczną aleją, podlezę pod dom i będę tam pilnowała. A pan Ignacy gdzie ma się umieścić?

— On powinien najlepiej wiedzieć... ale niech pilnie strzeże furtki!

To rzekłszy, wyrwałem się nieomal siłą z rąk powstrzymującej mię dziewczyny i cicho pobiegłem ku figurze, która zdaleka bielała na tle ciemności. Starałem się jednak jak naj-

usilniej zachować cichość i ukrywać się w mocnym cieniu, rzucanym przez krzaki i drzewa. Nakoniec zbliżyłem się do figury. Wznosiła się ona na niewielkim okrągłym placyku, na samym środku, wśród kląbów zapewne na wiosnę kwiatami obsadzonych, wyrzeźbiona z białego kamienia, przedstawiająca Niobe płaczącą, pełna barokkowej pełności ciała i gwałtownych wygięć. Z jednego boku placyku sterczała maleńka altanka i z tej altanki zdawało mi się, że wysuwa się jakiś cień, w chwili gdym się zbliżył do kamiennej Niobe i bacznie dokoła oglądać się zacząłem.

— Czy to ty, Józefino? — spytałem szeptem.

W odpowiedzi na to, cień z szelestem jedwabiu, tak dobrze mi znanym, posunął się naprzód i dwoje ciepłych, miłych, słodkich rąk objęło mą szyję i usta gorąco całować mię zaczęły po oczach, twarzy... Woń fiołków, ta upajająca woń, która tylekrotnie mię odurzała niby najsilniejszy narkotyk i w objęciach tej najmilszej z kobiet kazała mi zapominać o świecie całym, otoczyła mię, i w tej chwili znikły wszelkie niebezpieczeństwa, noc ponura, wszystko, wszystko.

— To ja, twoja! twoja, do śmierci, o! najsłodszy z kochanków! — szeptała Józefina.

Potem pociągnęła mię do altanki, wiecznie zielonym bluszczem okrytej i tu na ławce kamiennej usiedliśmy, i gdy minęły pierwsze chwile uniesienia, pierwsze wynurzenia, poczęliśmy mówić o naszem wspólnem położeniu.

— Jego niema — mówiła Józefina — wyjechał, bo mu doniesiono, że gdzieś tam natrafiono na ślad zabójcy Merinosa. Zabrał ze sobą prawie wszystkich szpiegów i jesteśmy bezpieczni. Chciałam koniecznie zobaczyć się z tobą, bo najprzód jest to gorącą potrzebą mego serca, a potem mam ci bardzo wiele ważnych rzeczy powiedzieć.

I obejmując mię rękami, wśród pocałunków szepnęła z uniesieniem swej egzaltowanej natury:

— O! jakże my jesteśmy nieszczęśliwi! jak bardzo nieszczęśliwi!

I poczęła mi mówić o tem, że Rosotemplo o wszystkiem się dowiedział, że wie kto ja jestem, że mię szukają po całem mieście, mając mój rysopis, że ją dręczy okropnie i że ona nie wie co z tego będzie, jaki koniec tego ze wszech miar straszliwego położenia.

— Uciekajmy! — mówiła — zabierz mnie z sobą, wywieź gdzie na koniec świata, wydobądź z tego piekła.

Niestety! czyż ja mogłem to uczynić? czy dla kobiety kochanej niewątpliwie gorąco, mogłem rzucić wszystko, uciec z szeregu walczących, porzucić mych towarzyszy, ideę, której poświęciłem życie?

Starałem się to wytłumaczyć Józefinie, ale ona zalewając się łzami, coraz namiętniej tuląc się do mnie, zdawała się nie rozumieć mego położenia i z uporem kobiety zaślepionej miłością, uważającej uczucie to za kwiat życia, domagała się, bym z nią uciekł z Bilbao.

— Zrobię wszystko dla ciebie — mówiła — suchy chleb jeść będę, w namiocie spać, strawę ci gotować, tylko mnie zabierz, nie opuszczaj, nie zostawiaj tutaj! Ty nie wiesz co się święci. On — bo tak stale określała swego męża — ma doniesienie, że gotuje się zamach na wielkorządcę di Monti, i że dla dokonania tego zamachu ty wraz z dwoma innymi, przybyłeś do Bilbao. Znajdą cię, pod ziemią was odszukają, najsurowsze rozkazy zostały wydane... O! mój najdroższy, mój jedyny, uciekajmy! uciekajmy!

Od niejakiego czasu, zajęci rozmową, nie zwróciliśmy na to uwagi, że wiatr wzmógł się nadzwyczajnie i z głuchym szumem miotał drzewami ogrodu, strącał z nich całe masy liści, wył jak potępieniec między gąszczem parku. Nagle wśród tego szumu i szelestu liści, rozległ się przenikliwy krzyk kobiecy, a zaraz potem dał się słyszeć głuchy, stłumiony wyciem wiatru, huk strzału.

Józefina zerwała się na równe nogi i popychając mię gwałtownie ku wyjściu z altany szepnęła:

— Wielki Boże! uciekaj! uciekaj!

I nim zdołałem się opamiętać, rzuciła się w bok między gęste krzaki i znikła w ciemnościach. Zostałem sam i przez chwilę starałem się zoryentować w położeniu. Ukryłem się pod wielkiem drzewem i pilnie rozglądałem się dokoła. Przywykły do nagłych i niespodziewanych napadów, odzyskałem całą moją przytomność i zimną krew. W ogrodzie zapanowała dawna cisza, tylko wicher wył i szumiał, a zresztą żadem inny głos nie mącił tego potężnego koncertu natury. Uspokoiło mię to zupełnie i przypuszczać zacząłem, że tak krzyk ostrzegawczy Adolfiny, jak i strzał, pochodzący niewątpliwie z rewolweru Burczymuchy, był zapewne wynikiem jakiegoś złudzenia, jakiegoś fałszywego alarmu. Dziwiło mię tylko, że Adolfina, która wiedziała gdzie ja się znajduję, nie zjawiała się wcale, ale wytłumaczyłem sobie to tem, że spostrzegłszy, iż mię niepotrzebnie zaalarmowała, pozostała na swem stanowisku.

W każdym razie nie było czego tu czekać i puściłem się ścieżką ku furtce ogrodowej. Szedłem pod drzewami, zakryty ich cieniem, zachowując wszelkie ostrożności i już byłem dość blisko wyjścia, gdy nagle usłyszałem po stronie lewej, za gęstą zasłoną krzewów, głuche szamotanie i basowy pomruk Burczymuchy:

— Czekaj, psi synu, zaraz się z tobą, mopanku, załatwię tak samo jak z tamtym.

Nie wahając się ani chwili przedarłem się przez krzaki i znalazłem się na dość pustem miejscu i przy słabym blasku nocnym dostrzegłem olbrzymią postać klęczącego Burczymuchy, który kolanem gniótł leżącego na ziemi człowieka.

— Co to jest? — spytałem.

— A! to pan, panie poruczniku.

— Ja! ale co tu robisz? co to za człowiek tu leży?

— To nie człowiek, mopanku, ale dzikie bydle... To ten łotr kapitan karabinierów. Strzelił do mnie, ale ja go tu zaraz zduszę. Silna szelma, ale i ja mam krzepę.

Oddychał ciężko i nie przestawał gnieść szamoczącego się pod nim Rosotempla.

— Co chcesz z nim zrobić? — spytałem.

— Uduszę szelmę, tylko go obezwładnię.

— Czekaj! — zawołałem i nachyliwszy się nad leżącym spytałem:

— Czy pan jesteś istotnie kapitanem Rosotemplo?

— Po co się pan pytasz? — odrzekł ciężko oddychając — jeżeli mię chcecie zamordować, mordujcie odrazu buntownicy, łotry, łajdaki ostatnie!

— Burczymucha! rozkazuję ci puścić tego człowieka.

— Co, mopanku... panie poruczniku... puścić go?

— Tak, masz go natychmiast puścić!

— Ha! skoro pan porucznik każe... ale...

— Słyszałeś mój rozkaz? — zawołałem groźnie.

— Ha! wedle rozkazania pana porucznika... puszczam go, ale, mopanku, wielka szkoda!... takiego hycla...

Wstał ciężko, odsunął się parę kroków i nie rzekł już ani słowa, tylko oddychał głęboko i głośno i mruczał coś pod nosem niechętnie.

Kapitan Rosotemplo w jednej chwili był na nogach, wyprostował się, zbliżył się do mnie i spytał głosem stłumionym, dyszącym wściekłością hamowaną i wzruszeniem:

— Czy porucznik Valery?

— Tak.

— Hm! pan wiesz, że oprócz porachunków publicznych, mam z panem porachunek prywatnej natury?

— Nie bardzo rozumiem o co panu idzie. Jaki rachunek prywatnej natury?

— Nie udawaj pan... To nie chwila do kłamania. Nienawidzę pana i będę cię ścigał, aż zaprowadzę na szubienicę. Czy pan wiesz o tem?

— Wiem.

— I pan mię puszczasz teraz?

— Tak, puszczam pana. Możesz iść, gdzie ci się podoba.

Stał chwilę w milczeniu, poczem zawrócił wolno, wydostał się na ścieżkę i znikł w ciemności, nie rzekłszy ani słowa.

Wyszedłem z ogrodu z uczuciem mocnego przygnębienia, miotany szeregiem najróżnorodniejszych wątpliwości. Czy dobrze zrobiłem puszczając wolno tego człowieka, tego najzajadlejszego wroga mego i ruchu? I dlaczego go puściłem? Dlatego, że temu człowiekowi zrobiłem krzywdę, tym więc sposobem sprawę publiczną poświęciłem mej sprawie prywatnej. Gdybym był nie uwiódł żony Rosotemplowi, byłbym go zostawił w strasznych rękach Burczymuchy i zadość uczynił rozkazowi junty narodowej, która oddawna kapitana karabinierów skazała na śmierć i wyjęła z pod opieki prawa. A ja tymczasem tego człowieka uwolniłem, a uwolniłem dlatego, by nie sądził on sam i nikt inny, że zabiłem nie szpiega i prześladowcę powstania naszego, ale męża kobiety, którą ja kochałem. Czułem to dobrze, że mój krok jest następstwem, jest Szylerowską klątwą złego czynu.

Dlatego to szedłem aleją wysadzoną staremi topolami tuż pod wałem miejskim, zgnębiony nadzwyczajnie i milczący. Burczymucha naglił na mnie o pospiech, ale ja nie myślałem go wcale słuchać, owszem rad byłbym bardzo gdyby Rosotemplo wysłał za nami pogoń, schwytał mię i powiesił. Takie życie, jakie ja pędziłem z ciągłą rozterką w duszy, sprzykrzyło mi się zupełnie. Ale pewny byłem, że kapitan karabinierów na tyle ma w sobie szlachetności, że ścigać nas w tej chwili nie będzie. Posuwałem się więc wolno po błotnistej alei, zamyślony głęboko i ciągle zadając sobie pytanie:

— Czy dobrze zrobiłem, puszczając wolno kapitana Rosotemplo?

Wszak mogłem się nie mieszać do walki między nim a Burczymuchą; nie pod mojemi kolanami leżał Rosotemplo. Dość było bym milczał, a olbrzym Burczymucha byłby swoje zrobił. Ale czy takie postępowanie nie byłoby współudziałem w zbrodni? Tak, ale za to teraz Rosotemplo będzie mnie ścigał bezlitośnie i z pewnością gdy wpadnę w jego ręce, on mię z nich nie wypuści. Będzie więc prześladował moich współtowarzyszy i moją Józefinę. W tej chwili jest ona na

jego łasce, boć przecie ani na chwilę wątpić on nie może, że to była schadzka...

I myśląc o tem przypomniałem sobie, że cała ta schadzka była najwyraźniejszą zdradą. Rosotemplo nigdzie nie wyjeżdżał, mnie ściągnięto do ogrodu, by mię wydać w ręce kapitana. To było oczywistem. Straszny ból począł szarpać mi serce, na myśl, że Józefina niegodnie, haniebnie mię zdradziła. Szedłem w milczeniu tak zrozpaczony, tak zniechęcony do życia, że przez chwilę miałem ochotę wydobyć z kieszeni rewolwer i jednym strzałem zakończyć te męczarnie.

A Burczymucha stąpał ciężko koło mnie i opowiadał, jak pilnując furtki, spostrzegł nagle przesuwający się przez nią cień człowieka; jak pobiegł naprzeciw tego cienia, jak ten strzelił doń i chybił, jak wszczęła się walka na pięście. Słuchałem tego dość obojętnie, bo zresztą cóż mię to mogło obchodzić?

Tak doszliśmy na ulicę Dora do mego mieszkania. Tu Burczymucha nagle wstrzymał się i spytał:

— Aa! mopanku... gdzie jest ta panna?... jakże jej tam?

W rzeczy samej panny Adolfiny nie było. Nie przyszła wcale tej nocy do domu, bom się pytał o to zaniepokojony mocno, nie przyszła i nazajutrz rano. Było to dla mej mocno udręczonej duszy nowe zmartwienie. Ta dziewczyna okazała tyle poświęcenia dla mnie, że przywiązałem się do niej szczerze i żal mi jej było, bo nie wątpiłem, że dostała się tam, w ogrodzie, w ręce Rosotempla.

IV.

Ale nie było czasu myśleć o moich własnych cierpieniach, gdy w grę wchodziły sprawy publiczne. Na drugi dzień rano po owej nocy tak pełnej wypadków, zgodnie z rozkazem danym mi przez Suminiego, wybrałem się przed godziną dziesiątą na Przedmieście Madryckie pod numer 7, do pułkownika Fidebona.

Ranek był chłodny, chmurny i wietrzny. Niebo ołowiane i posępne odpowiadało w zupełności smutkowi, panującemu w mej duszy. Otuliłem się w płaszcz, kapelusz nacisnąłem na oczy i z rewolwerem w kieszeni, wyruszyłem na tę bardzo teraz niebezpieczną wyprawę. Posuwałem się głęboko zamyślony, szarpany wszelkiego rodzaju wątpliwościami, głęboko zgryziony, a mimo to przez instynkt zachowawczy, właściwy zawsze i we wszelkich stanach duszy człowiekowi, pilną zwracałem uwagę na wszystko co się koło mnie działo. Co jakiś czas przystawałem pod pierwszym lepszem pozorem, by rzucić za siebie okiem czy nie jestem śledzony. W ten sposób przebiegłem ulicę »di Mareschalchi« i przez ulicę »Regia« wszedłem na Madryckie Przedmieście. Tu na rogu, przed sklepem zatrzymałem się i przypatrując się niby przedmiotom, wystawionym za lustrzaną szybą, spojrzałem na prawo i lewo. Ale nic podejrzanego nie dostrzegłszy, wkroczyłem śmiało na zawsze ruchliwe, pełne ludzi i algasilów Przedmieście Madryckie.

Ledwie jednak posunąłem się kilka kroków, gdy nagle zatrzymałem się skamieniały i przerażony. Przedemną szedł kapitan Rosotemplo, ubrany w płaszcz wojskowy z kołnierzem podniesionym, dzwoniąc szablą i ostrogami. Szedł dumny, wyprostowany groźnie, oglądając się co chwila na prawo i lewo. Za nim, z teką skórzaną pod pachą, posuwał się szeregowiec karabinierów, także przy broni. Byliśmy od siebie oddaleni zaledwie o jakie dziesięć kroków. Oczywista rzecz, że należało tę przestrzeń zwiększyć i nie narażać się na to, by mię bystre oko kapitana dostrzegło. Dlatego też zatrzymałem się i w tej chwili zauważyłem, jak przez środek ulicy z przeciwnego chodnika, biegnie szybko wprost na kapitana, nie kto inny, tylko mój Karol Laskonogi. Ubrany w swój krótki płaszczyk, w fantastycznym kapelusiku na głowie, wyprostowany jak struna, przesadzał wielkiemi krokami swych długich i cieńkich nóg, szeroką w tem miejscu ulicę, wymijając zręcznie gęsto przejeżdżające dorożki i powozy. Zrazu myślałem, że powodowany zwykłą swoją lekkomyślnością, wyszedł

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

na ulicę, pomimo że rysopis jego posiadają wszyscy algasile, i dostrzegłszy jaką zgrabną spódniczkę, goni za nią; ale wkrótce musiałem zmienić to mniemanie. Na przeciwnym chodniku akurat na tem miejscu, z którego puścił się Laskonogi, stała strojnie ubrana blondynka, w osobie której poznałem odrazu pana Filipa Białego. Trzymała się ona pod rękę z jegomością, znanym mi pod nazwą Miguela Zezowatego, i z nadzwyczajną pilnością śledziła wszystkie ruchy Laskonogiego.

Tymczasem Rosotemplo z nieodstępnym żołnierzem za sobą, posuwał się ciągle naprzód, gdy nagle, wprost bramy domu, oznaczonego numerem 7, do którego ja właśnie wejść miałem, ruchem zręcznym i szybkim wsunął się między kapitana i żołnierza Karol Laskonogi. Zrobiwszy parę swych długich kroków, zabiegł kapitanowi od przodu, i wyrzekłszy coś do niego, szybko i nagle podniósł rękę uzbrojoną w długi sztylet, pchnął nim w piersi Rosotempla i skoczył w bramę wyżej wymienionego domu. Wszystko to stało się w jednem oka mgnieniu. Na ulicy zrobił się szalony popłoch, kobiety z krzykiem poczęły uciekać, mężczyźni to samo robić. Kapitan Rosotemplo brocząc krwią, zachwiał się, ale człowiek ten widać żelazną posiadał siłę, bo nagle wyprostował się, dobył szabli i zwócił się do stojącego za sobą żołnierza z głośnym rozkazem:

— Ścigaj go! rąb pałaszem!

Ale żołnierz, widocznie tchórz skończony, skamieniał i ani się nie ruszył. Oczy mu wyszły na wierzch i drżał na całem ciele, jak w febrze, istny posąg przerażenia. Rosotemplo zaś, czy nie zauważył tego, czy też powodowany bardzo naturalnem uczuciem pomsty, zatrzymując jedną ręką broczącą krew z rany, z dobytym pałaszem w drugiej, rzucił się za Karolem Laskonogim do bramy domu numer 7.

Wobec tego, wobec nadbiegającej gromady algasilów i wpadającej z krzykiem i groźbami do tegoż domu, najprostszy w świecie rozsądek nakazywał mi nie narażać się i nie

chodzić do owego domu, zwłaszcza że wyraźnie powiedział mi pan Sumini, bym w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa nie ważył się tam wstępować. Co prawda, z początku, trochę przez ciekawość, trochę przez chęć niesienia jakiejkolwiek pomocy memu niegdyś towarzyszowi broni, miałem szczerą ochotę zajrzeć do sieni, do której wpadł Laskonogi, ale po krótkim namyśle uznałem ten zamiar za proste szaleństwo, za krok, któryby żadnego nie przyniósł Karolowi pożytku, a mnie śmiertelnie naraził. Mogłem wpaść w oko pierwszemu lepszemu policyantowi, mógł mię dostrzedz sam Rosotemplo, i z pewnością nie byłby tak niemądrym, żeby mię puścić, tak jak ja go puściłem w parku jego pałacyku.

Zawróciłem więc i przez ulicę »di Regia« poszedłem do domu. Wszędzie dostrzegać się dawał ruch nadzwyczajny. Przechodnie szybko biegli i ukrywali się po domach, gromady algasilów pędziły, z poblizkiego gmachu komendanta placu wysuwały się konne i piesze patrole wojskowe, z krzykiem i trzaskiem kierowały się na Przedmieście Madryckie. Spieszyłem ile mogłem naciskając kapelusz na oczy, a chcąc ominąć, o ile się da, ruchliwą i pilnie strzeżoną ulicę Mareschalchi, skręciłem na ulicę Sozam, gdzie w owe czasy ruch był niewielki i gdzie szereg ładnych domów zajmowała po większej części arystokracya. Tu w rzeczy samej panowała względna cisza; przechodniów było niewielu, policyi nie dostrzegłem nigdzie i jak się zdaje wieść o krwawym zamachu dokonanym na Madryckiem Przedmieściu, tu jeszcze nie doszła.

Zmęczony szybkim biegiem, wzburzony nadzwyczajnie straszną sceną, której byłem świadkiem mimowolnym, zwolniłem kroku i posuwałem się leniwie po chodniku, snując filozoficzne dumania nad gwałtownością namiętności politycznych, które ludzi mężnych, żołnierzy z natury, popychają aż do ulicznych skrytobójstw, gdy nagle z bramy jednego z domów, koło którego przechodziłem, wysunął się niespodziewanie Karol Laskonogi. Na ten widok skamieniałem poprostu, a on spostrzegłszy mię także, stanął i uśmiechając się swo-

bodnie, począł mówić ze zwykłą sobie teatralną przesadą i egzaltacyą:

— Przebóg! kogo ja widzę? duch li to, czy w rzeczy samej mój porucznik?

Był teraz inaczej ubrany, jak tam na Madryckiem Przedmieściu, w chwili gdy uderzał sztyletem w pierś kapitana Rosotempla. Widocznie po drodze, w czasie ucieczki, zrzucił ze siebie krótki płaszczyk, który swą oryginalnością zwracał powszechną uwagę, i miał na sobie palto ciemno-granatowe, trochę za szerokie na jego chudą i cienką figurę. Z głowy zniknął fantastyczny kapelusik, a natomiast pokrywała ją czapka dość brudna i zasmolona, i w tym stroju mój poetyczny Laskonogi, wyglądał na rozpróżniaczonego czeladnika szewskiego, któremu nie chce się iść do roboty i wałęsa się po ulicach.

Tymczasem Karol mówił dalej z poprzednią przesadą:

— Wszakże bogowie sami sprowadzili mi pana porucznika. Niech im będą dzięki za to, i jak znajdę chwilę spokoju, wyśpiewam dla nich hymn pochwalny, heksametrowym wierszem dla powagi skreślony.

— Nie plótłbyś niedorzeczności! — zawołałem — widziałem wszystko. Uciekaj, bo lada chwila policya wpaść może na twój trop.

— Mam trochę czasu; uciekłem i zmyliłem pogonie, jak powiada poeta. Przez dachy, parkany i ogrody, do czego mi wybornie posłużyły moje długie nogi, przedostałem się z Madryckiego Przedmieścia aż tutaj; zaręczam na Jowisza, że stracili mój ślad. Wszelako potrzebuję pomocy, a nadewszystko jakiegoś pewnego schronienia, moje bowiem jest od paru dni pilnie strzeżone przez policyę. Czy mi pan porucznik pomoże? czy mogę udać się do jego mieszkania?

Byłem nadzwyczajnie niespokojny, rozglądałem się dokoła, czy moja przydługa nieco rozmowa z tak podejrzaną osobistością, jak Karol Laskonogi, nie zwróci czyjej uwagi na siebie. Z drugiej zaś strony nie mogłem i niepowinienem był odmówić pomocy memu dawnemu towarzyszowi broni. Na

szczęście począł padać drobny, gęsty, zimny deszcz i przechodnie spieszyli nie oglądając się na nikogo. Przejeżdżała właśnie dorożka z podniesioną budą; skinąłem na nią i rzekłem do Laskonogiego:

— Siadaj!

Jednym skokiem znalazł się w powoziku, umieściłem się obok niego i kazałem się wieźć na ulicę Dora.

— Dostaniesz podwójną taksę, jeżeli szybko pojedziesz.

— Dobrze sennor! — zawołał woźnica, zaciął wychudzone szkapy i ruszył naprzód pędem.

Przez czas jakiś zachowywałem milczenie, zwłaszcza, że i Karol wbrew swemu zwyczajowi, zapewne wstrząśnięty do głębi czynem, który spełnił, nic nie mówił i zdawał się być pogrążony w myślach. Powoli jednak, pod wpływem poczucia bezpieczeństwa, odzyskał swój humor i rzekł:

— Zdaje mi się... tak! tak! nie mylę się... pan porucznik powiedziałeś, że byłeś świadkiem tej sceny, której głównym aktorem ja byłem, niestety!

— Słusznie mówisz: niestety! — odrzekłem — bo żołnierzowi czyn taki nie przystoi.

— Nie przystoi? Bogowie! jak można takie zdanie wygłosić! Sam pan porucznik powiedziałeś, że jestem żołnierzem, i jako taki winienem wykonywać dane mi rozkazy, i ja je wykonałem.

— Rozkaz? a któż ci dał takie rozkazy?

— Sam generał Casobi.

— Generał Casobi?

— Tak, on sam. Rozkaz na piśmie. Mam go tu przy sobie i pokażę panu, jak przyjedziemy do domu, bo jest zaszyty w tej oto czapce, nieco zasmolonej, przyznaję... ale na wojnie, jak na wojnie... A potem, czyż co złego zrobiłem, żem świat uwolnił od takiego łotra, jak ów kapitan? Oni używają wszelkiej broni przeciw nam, więc i my mamy prawo to samo robić. Nie widzę żadnej różnicy. Sam mój mistrz, nieśmiertelny Dante, gdyby z grobu powstał, pochwaliłby mój

czyn. Ani na chwilę o tem nie wątpię i w głębi mego sumienia, sumienia poety i wyższego umysłu, jaki posiadam, nie doznaję żadnej zgryzoty, żadnego wyrzutu... Historya osądzi mię, zważy wszystko na swej sprawiedliwej szali, a potomność może mi pomnik postawi za to, żem ludzkość uwolnił od kalającego ją potwora.

— Czyś uwolnił? zdaje mi się, że ofiara twoja żyje. Gonił cię nawet z dobytą szablą.

— Jakto? gonił mię? co pan mówisz? to być nie może! Pchnąłem go pewną ręką w samo serce.

— Widocznie chybiłeś, bo biegł za tobą.

— Hm... w rzeczy samej, słyszałem jakieś krzyki, czyjś pościg... ale to jeszcze nic nie znaczy. Jeżeli jeszcze żyje, to niebawem przeniesie się tam, skąd nikt nie wraca. Sztylet był zatruty...

Obrzydzenie mię ogarnęło na to wszystko. Żadne sylogizmy w oczach mojego sumienia nie mogły usprawiedliwić tego ulicznego, znienacka, z za węgła dokonanego zabójstwa. Dałem to poznać Laskonogiemu, a on wysłuchawszy mię, podniósł teatralnym ruchem obie ręce do góry i zawołał:

— Przebóg, co za mieszanina pojęć! jaka filisterska moralność. Najprzód, ów łotr otrzymał wyrok formalny skazujący go na śmierć, wiedział zatem co go czeka i dlatego chodził z żołnierzem, który go strzegł jak oka w głowie. Następnie nie napadłem nikogo z za węgła. Po rycersku zaskoczyłem mu z przodu, oko w oko, pierś w pierś. Nie zaatakowałem bezbronnego i stojąc przed nim, rzekłem mu: »Masz przed sobą wykonawcę wyroku junty narodowej. Jesteś skazany na śmierć! Giń, psie przeklęty!« i dopiero wtedy pchnąłem go sztyletem. Tak! spełniłem czyn może straszny, może krwawy, ale sprawiedliwy. Mie dbam o sąd współczesnych, odwołuję się do wyroku historyi!...

Wszystko to mówił z zapałem, z ruchami teatralnemi, z patosem w głosie. Nie chciałem się spierać, bo do niczego to doprowadzić nie mogło. Więc milczałem i tak dojechaliśmy

szczęśliwie do mego samotnego mieszkania przy ulicy Dora. Nikt nas nie ścigał i na razie mogliśmy być spokojni.

V.

Karol przepędził u mnie dzień cały i noc następną. Pomieściłem go w pokoju, w którym stały kaszty drukarskie. Nie wiele z nim rozmawiałem, zajęty własnemi myślami, obaj tylko z wielką ciekawością czekaliśmy co nazajutrz powiedzą o zamachu dzienniki, zwłaszcza urzędowa *Gazetta Universale*. Co do mnie dzień ten przepędziłem w wielkim smutku i przygnębieniu ducha. Ciągle mi na myśli stała zdrada haniebna w ogrodzie Rosotempla, i targały się we mnie wszelkie pojęcia o miłości i uczciwości. Zamach Laskonogiego, schwytanie Adolfiny (bo nie wątpiłem, że ją schwytano), dopełniało miary moich cierpień i udręczeń.

Ale przynajmniej nazajutrz Bóg mi dał pewną pociechę i zamraczające mą duszę chmury rozpaczy rozjaśnił nieco. Zaledwie bowiem wstałem z łóżka, gdy do mieszkania mego wbiegła z wesołym i głośnym śmiechem Adolfina. Stanęła we drzwiach mego pokoju, nieco rozczochrana, z chustką na głowie, w swych przydeptanych różowych pantofelkach, z oczami w których palił się jakiś gorączkowy ogień i zawołała:

— Otóż jestem! Pan może myślał, żem już przepadła? Ha! ha! ha! No, jakże? Nie pocałuje mię pan na powitanie?

Pocałowałem jej blade, jakby zmięte usta i mówiłem:

— Cieszę się bardzo, panno Adolfino, żeś wróciła. Wierz mi, widok twój sprawia mi wielką ulgę w mojem zmartwieniu, prawdziwy kamień spadł mi z serca.

Twarzyczka jej dotąd wesoła i promieniejąca radością i śmiechem, nagle spoważniała:

— Mój Boże kochany... ale czegóż się pan tak martwi?

— Tego między innemi, że ciebie schwytano...

— Ej... proszę pana... nie było się czego martwić. Cóż oni mogą zrobić takiej jak ja dziewczynie? Ja to panu

zaraz powiedziałam, zresztą ja bym sobie była dała radę, gdyby było do czego przyszło...

— Jakto, gdyby było do czego przyszło? — spytałem... panny Adolfiny.

— A tak... bo przecież, ja uciekłam z kozy pana Rosotempla.

— Uciekłaś?

— Tak. Ha! ha! ha! powiadam panu, to śmiechu warte. Oni tam wszyscy potracili głowy. Ach, żeby pan wiedział co się tam dzieje! Wczoraj przynieśli kapitana do domu całego zbroczonego krwią i ciężko rannego, bo go jakiś sztyletnik na ulicy porządnie poczęstował. Mówił mi Józef... pan wie... ten dureń, co to się we mnie kocha... On mię wczoraj wypuścił, bo ja jeszcze wczoraj wróciłam do domu.

— I nie przyszłaś mi powiedzieć o tem, zostawiając mię na pastwę zmartwienia.

Jeszcze bardziej spoważniała i zbliżając się do mnie spytała na pół głośno na pół szeptem, w którym drżała silna nuta wzruszenia:

— Więc naprawdę pan się martwił?

— Oczywiście.

— O mnie?

— Tak, o ciebie...

Przez chwilę stała blada, a usta jej drżały jak w febrze, potem nagle, niespodziewanie chwyciła mię za rękę, ucałowała ją i z głośnem płaczem uciekła z mego pokoju. Nie rozumiałem co znaczy ta nagła ucieczka, a że z Karolem Laskonogim ciekawi byliśmy wiadomości o tem, co się działo i dzieje w pałacyku rannego Rosotempla, więc posłałem panią Franciszkę, by koniecznie sprowadziła pannę Adolfinę. Przyszła, ale nie odrazu, uczesana już modnie, nieco urózowana, z kwiatkiem chłodnego i martwego astru we włosach, ubrana skromnie ale czysto i szykownie.

— Co się stało? dlaczego panna Adolfina tak nagle uciekła?

Wsunęła się zupełnie do pokoju, zamknęła drzwi za sobą, widocznie aby tego co będzie mówiła, nie słyszał Karol i rzekła:

— Dlatego, żem się rozpłakała.

— Czego?

— Bo mi przykro było... ścisnęło mi się serce... że pan się martwi o mnie. Czyż ja warta jestem, żeby się kto, a dopiero pan, o mnie martwił?

— Wziąłem ją w moje objęcia, przycisnąłem do serca i całując po twarzy, szeptałem:

— Jesteś najlepszą na świecie dziewczyną. Okazałaś mi tyle serca, tyle poświęcenia, że byłbym potworem, gdybym się nie martwił twojem uwięzieniem.

Wysunęła się zręcznie z moich objęć i poczęła mówić wesoło:

— Nie było się czego martwić. Takie jak ja kobiety zawsze sobie dadzą radę. Czy pan myśli, że ja się ich boję? Ani tyle... drwię sobie z nich. Wtedy w ogrodzie, uprzedziłam pana, że idą zbiry, krzyknęłam co miałam sił. Słyszał pan?

— Słyszałem. Ale jak to było, opowiedz.

— A cóż? Zdrada była, Józef... ten dureń, co się we mnie kocha, powiedział mi, że to była zdrada... i ja widzę po wszystkiem, że mówi prawdę.

— Zdrada mówisz? Ale kto zdradził... czyby ona? — zapytałem z bolesnem ściśnieniem serca.

— Pani Józefina? pan o pani Józefinie myśli? Ale cóż znowu! co panu do głowy przychodzi? Ona biedaczka nic nie jest winna, o niczem nic nie wiedziała. Jak wrócił z ogrodu kapitan Rosotemplo, strasznie zabłocony, z poszarpanym mundurem, bez szlify jednej... bo coś się tam z nim stało... to zaraz pobiegł do pokoju pani. Opowiadała mi to Bela. Zamknął drzwi za sobą na zasuwę, ale Bela przez dziurkę od klucza patrzała. Kapitan rzucał się jak szalony, podobno nawet chciał bić panią, ale ja temu nie wierzę. Przecież u takich państwa do bijatyk nie dochodzi. Dość, że pani całą noc

siedziała zamknięta. Wczoraj dopiero, jak przynieśli kapitana poranionego, pani wyszła. A! co się tam działo. Istny sądny dzień. Doktorów nasprowadzano i Józef powiada, że z kapitana nic nie będzie, bo sztylet był zatruty. Dobrze mu tak, bo to szelma, powiadam panu... tyran...

— Więc któż zdradził?

— Czy ja wiem, ale z pewnością nie pani Józefina. Biedaczka, ona tak kocha pana... Pewnikiem ktoś podpatrzał, jak list pisała. Wczoraj rano to i Belę kapitan wziął na indagacyę. Groził jej rózgami i nie wiem do czegoby przyszło, żeby nie to, że go ten sztyletnik tak poczęstował. Józef, choć dureń jest, ale skorzystał z zamieszania, jakie w domu panuje, przyszedł do mnie i powiada: panno Adolfino, uciekaj. Teraz wszyscy są czem innem zajęci, to zapomną. A zresztą niech będzie co chce, a tylko panna uciekaj! To też nie wiele myśląc zabrałam się i uciekłam. Ha! ha! ha!

Opowiedziała mi wreszcie, że kiedy koło pałacyku wartowała w ogrodzie, nagle napadło ją niespodziewanie dwóch zbirów i tak zręcznie się znaleźli, że ledwie miała czas krzyknąć. Schwytali ją, usta zatkali i zawlekli do domu, gdzie ją w piwnicy zamknęli. Z tej to piwnicy Józef ją uwolnił.

Wszystko to były szczegóły bardzo ciekawe, dla mnie osobiście bardzo pocieszające, bo do pewnego stopnia usuwały z mej duszy ponurą troskę o zdradzie Józefiny, ale nie objaśniały nas wcale, jakie skutki w ogólności wywarł wczorajszy zamach. Urzędowy organ *Gazetta Universale*, także nie wiele i bardzo skąpo udzielał wiadomości o tym zamachu. Zaznaczał tylko, że »partya bezrządu« (tak nas stale nazywał) dopuściła się nowej zbrodni, na osobie »dzielnego« kapitana Rosotempla, na którego »złość czyhająca w ciemności«, oddawna już nosiła się ze skrytobójczemi zamiarami. Ale Opatrzność czuwa nad »dzielnym obrońcą porządku«, ręka »złoczyńcy« (takie miano otrzymał Karol Laskonogi, co go, zauważyłem, mocno zmieszało) nie zdołała przeciąć pożytecznego życia i jest nadzieja, że kapitan przyjdzie wkrótce do

zdrowia. »Zbrodzień« (drugie miano Karola, niemniej kwaśno przezeń przyjęte) zdołał zbiedz, ale jest pilnie przez policyę poszukiwany.

— No — rzekłem do Karola, z którym razem odczytywaliśmy tę relacyę — że jesteś i będziesz pilnie poszukiwany przez policyę, to nie ulega wątpliwości. Radzę ci też wyszukać sobie jakie dobre i pewne schronienie, bo tutaj przecież długo pozostać nie możesz.

— O! zawołał ze zwykłym patosem w głosie — drwię sobie z poszukiwań ich policyi. Jest ona tak głupia i nierozgarnięta, że będę przechodził pod nosem najbystrzejszych algasilów, a oni mię nie zobaczą. Bóg na nich, jak na Faraonowe wojsko, spuścił biblijną ciemnotę i nie tak prędko mię schwytają. Co się tyczy mieszkania, potrzebuję tylko odwołać się do pana Miguela Zezowatego, a zaraz się znajdzie. Niebawem stąd wyjdę, tylko zmrok zapadnie, gdy noc ciemna skryje świat, jak powiada poeta.

W tym sensie prawił jeszcze długo, ale zauważyłem, że był mocno zmartwiony wiadomością, że zamach się nie udał, że Rosotemplo żyje i przyjść może do zdrowia. Chodził cały dzień osowiały, wzdychający, wreszcie wieczorem wyszedł, zapewniając mnie, że się niedługo zobaczymy.

Od tych wypadków upłynęło dwa dni. Parokrotnie przez ten czas, myśląc o wykonaniu rozkazów Suminiego, próbowałem przedostać się do domu numer 7, do owej oficyny bocznej, w której miał się ze mną spotkać pułkownik Fidebona, ale zawsze musiałem wracać z niczem, gdyż dom ten od chwili zamachu na kapitana Rosotempla był pilnie strzeżony przez policyę. Wydało mi się to dość śmiesznem, wyglądało na przysłowiową musztardę po obiedzie, ale ostatecznie zmusiło mię do zaniechania tych prób i oczekiwania w bezczynności i dręczącym niepokoju na dalszy przebieg wypadków. Stan mego ducha, w onych dniach był rozpaczliwie ponury. Męczyła mię bezczynność, ciągły niepokój, żal i ból, niepewność co do losu Józefiny, dusiło powietrze wielkomiejskie

i pragnąłem szczerze wydostać się z murów Bilbao, na szerokie pola i lasy, by po dawnemu z szablą w garści toczyć walkę. Te skrytobójstwa, to ciągłe ukrywanie się, trzymanie się na baczności, męczyło mię i wstrętem przejmowało. Jakże żałowałem wolności dawnej, swobody, otwartej, żołnierskiej walki! Okryła się ona teraz w oczach moich jakimś urokiem poetycznym, jakąś mgłą minionych, dobrych, szczęśliwszych chwil. W życiu mojem była to najprzykrzejsza epoka.

W takim stanie mego serca i duszy, pewnego wieczoru zjawił się u mnie pan Miguel Zezowaty. Przyszedł, swemi brzydkiemi oczami obejrzał mnie i moje otoczenie bacznie, usiadł na krześle okrakiem, oparł brodę na lasce i po chwilowem milczeniu, jakie nastąpiło po przywitaniu się, rzekł głosem skrzeczącym, w którym czuć było nutę niezrozumiałej dla mnie wyższości i ironii:

— Cóż poruczniku, nudzisz się zapewne?

— Oczywiście, że się nudzę — odpowiedziałem — nie przywykłem do próżniactwa.

— Bardzo to piękna zasada, bardzo piękna. Ale nie lękaj się, nie zostawimy cię długo w spokoju. Właśnie przyniosłem ci dwa rozkazy. Może zechcesz je przeczytać.

To rzekłszy sięgnął do kieszeni i wyjął z pugilaresu dwie maleńkie karteczki błękitnego papieru i rozwinąwszy je wprzódy i przejrzawszy bacznie, mnie oddał. Jedna z nich nosiła nagłówek drukowany: »Wydział spraw wewnętrznych. Naczelnik Miasta«. Pan Naczelnik miasta, Ludwik Okularnik (tak się podpisał obok pieczęci), polecał obywatelowi porucznikowi Valeremu, pod osobistą odpowiedzialnością i karami przepisanemi za nieposłuszeństwo władzom narodowym, ażebym wypełniał pilnie i skrupulatnie wszystkie rozkazy obywatela Miguela zwanego Zezowatym, naczelnika dwunastego okręgu policyi miejskiej. Rozkaz kończył się zwykłą formułą: »pozdrowienie i braterstwo«.

Zauważyłem, że gdym czytał tę kartkę, pan Miguel Zezowaty pilnie mi się z ukosa przypatrywał z miną drwiącą

i szyderską. Gniewało mię to nadzwyczajnie, to też gdy po przeczytaniu kartkę składałem, a pan Miguelo mię zapytał, co ja na to powiem, odrzekłem:

— Powiem to, że ja jestem żołnierzem i otrzymuję rozkazy tylko od moich zwierzchników, a nie od jakichś tam cywilnych naczelników miasta. Ja nie znam żadnych naczelników miasta, ja znam tylko pułkownika Sigismunda, generała Casobi, wreszcie pułkownika Fidebona, prócz tych nikogo więcej.

Spojrzał na mnie, poprawił się na siedzieniu, uśmiechnął i rzekł głosem słodziutkim:

— A wiesz waleczny poruczniku, że takie słowa pachną śmiercią?

— Powiedz pan skrytobójstwem... ale nie lękam się tego i stanowczo niczyich rozkazów, prócz tych jakie otrzymam od mych zwierzchników, wykonywać nie będę, choćby mi przyszło zginąć. Przeciw tajnym mordercom będę się bronił, o ile będę mógł.

Powstał, przeszedł się po pokoju i wreszcie stając przedemną rzekł tonem łagodnym:

— Podoba mi się zachowanie twoje obywatelu. Jesteś dzielnym i otwartym żołnierzem, oby takich więcej sprawa nasza posiadała! Przewidywaliśmy twój opór, zupełnie zresztą uzasadniony i oto jest właśnie rozkaz, pochodzący od twojej zwierzchności.

To rzekłszy podał mi drugą kartkę błękitnego papieru, na której wyczytałem:

»Kwatera główna I korpusu. Bardo dnia 15-go września 18.. roku«. »Porucznik pierwszego pułku ułanów, Valery, ma być we wszystkiem posłuszny i wykonywać rozkazy naczelnika miasta Bilbao. (podpisano) Generał korpusu Casobi. Szef sztabu: pułkownik Sigismundo«.

Rozkaz był pisany, wyraźny i nie mogło być co do niego żadnego sporu. Przeczytałem go i rzekłem:

— Ha! w takim razie, jestem na panów rozkazy.

Tak mówiłem, ale w gruncie rzeczy z ogromną niechęcią poddawałem się temu rozkazowi. Wszyscy ci panowie, ci Filipi Biali, ci Miguele Zezowaci, budzili we mnie pogardę i wstręt, ale przywykły do karności wojskowej i wiedząc, że tylko karnością i posłuszeństwem stoją wszelkie sprawy i rządy, nie myślałem się opierać. Rzekłem więc do Miguela:

— Słucham pana, co mam czynić?

— Przedewszystkiem muszę ci poruczniku powiedzieć, że jest rozkaz Junty narodowej zabraniający używanie wyrazu »pan«. Masz mi mówić, obywatelu okręgowy.

Nie podobała mi się ta uwaga, ale chcąc dać dowód karności, odrzekłem:

— Dobrze, obywatelu.

Miguel poprawił się na krześle, na którem ciągle okrakiem siedział i rzekł:

— Czy nie domyślasz się obywatelu, o co idzie? czy nie doszły cię żadne słuchy o naszych zamiarach?

— Nic nie wiem i nic nie słyszałem.

— Czy twojej uwagi nie zwróciła paczka złożona przez Filipa Białego pod twojem łóżkiem? czy do niej przez ciekawość nie zaglądałeś?

O paczce tej zupełnie zapomniałem. Jak ją tam wsunął pan Filip Biały, zawsze w swych wycieczkach miejskich przebrany za kobietę, tak i dotąd leżała nietknięta przezemnie. Odpowiedziałem więc, że nie oglądałem tej paczki, że zapomniałem o niej zupełnie.

— Otóż muszę cię uprzedzić obywatelu poruczniku, że w tej paczce są granaty ręczne... bomby Orsiniego... czy jak tam ich nazywają.

Skłoniłem się w milczeniu, nic na to nie odpowiedziawszy, a Miguelo ciągnął dalej:

— W tych dniach zgłosi się tu do ciebie, obywatelu, niejaki Edwardo Stronini, nasz pirotechnik, który te granaty napełni prochem i powkręca w nie pistony. Będziesz łaskaw mu w tem dopomódz.

Skłoniłem się znowu i ciągle milczałem, co widocznie zaczynało irytować Miguela, bo dotąd siedział okrakiem na krześle, nagle zerwał się i usiadł jak należy i przestał przypatrywać mi się swemi zezowatemi oczami.

— Muszę cię uprzedzić obywatelu — mówił dalej — że z rozkazu Junty narodowej, przygotowujemy zamach na życie wielkorządcy, księcia di Monti. Zbyt to niebezpieczna figura, byśmy jej dozwolili bezkarnie rozporządzać się... W tym zamachu, który masz zachować w jak największej tajemnicy, weźmiesz i ty obywatelu udział.

— Ja? — zawołałem zrywając się — nigdy!

— O! nie wyrzekaj się obywatelu. Znamy twoje skrupuły i twoją jakby to powiedzieć!... etykietę żołnierską. Ale rozkaz jest wyraźny, a przytem tu nie będzie działał sztylet, lecz granaty. Toć przecie jest bardziej po rycersku. Czy dobrze umiesz strzelać obywatelu?

— Strzelam nieźle.

— Doskonale! nic więcej nie trzeba!

Wstał z krzesła, wyprostował się, przeciągnął niedbale i począł ziewać szkaradnie, jak człowiek znudzony śmiertelnie. Naprzeciągawszy się i naziewawszy do syta, rzekł, wyciągając do mnie rękę:

— Jutro o godzinie czwartej po południu bądź łaskaw, obywatelu, zajść do piwnicy kupca winnego obywatela Don Ci-Jasa. Znasz ten sklep? Na Madryckiem Przedmieściu, w tem miejscu gdzie zwężając się tworzy ono przesmyk. Tam, wszedłszy spytaj się subiektów: czy są ostrygi? W odpowiedzi na to zaprowadzą cię do piwnicy, w której odbędzie się narada co do zamachu. No... do widzenia, pozdrowienie i braterstwo!

VI.

Nazajutrz o wskazanej mi przez Miguela godzinie, ruszyłem na Madryckie Przedmieście do sklepu kupca Don Ci-

Jasa. Byłem już teraz zdecydowany na wszystko, nawet na wzięcie udziału w zamachu na wielkorządcę di Monti. Chciałem tylko jeden postawić warunek, że po dokonaniu tego zamachu, jeżeli mię nie schwycą będę mógł wrócić do obozu, rzucić na zawsze Bilbao, jego ulice pełne zasadzek, jego zamachy i skrytobójstwa. Nosiłem się z myślą jeszcze niejasną, niewyraźną, mglisto rysującą się w mej wyobraźni, wydobycia Józefiny z rąk kapitana Rosotempla i ucieczki z nią w nasze góry i bory...

Szczęśliwie przedostałem się na owe miejsce Madryckiego Przedmieścia, gdzie znajdował się sklep kupca Don Ci-Jasa. Zdala już można go było poznać po dużych, czarnych znakach, na których złotemi literami było napisane: »Handel win, delikatesów, korzeni, cukru i kawy«. Sklep miał wygląd archaiczny; widocznie Don Ci-Jas, był kupcem starej daty, nie bawiącym się w nowomodne ozdoby i przepych. Przez drzwi szklanne wchodziło się do izby na pół ciemnej, sklepionej, przesiąkłej zapachem wina i korzeni, pełnej pajęczyn odwiecznych. U sufitu zwieszały się, obyczajem dawnych kupców, motki szpagatu, miotełki i t. p. przedmioty. Za ciemną, błyszczącą od ciągłego użytku ladą, uwijało się paru subiektów w szaraczkowych surdutach, a z boku, na podniesieniu, za stołem siedział na wytartym, skórzanym fotelu człowiek nizki, krępy, siwy już zupełnie, wygolony starannie, oprócz faworytów, które twarz jego rubinowego koloru, z małemi, głęboko osadzonemi, złemi, siwemi oczkami, otaczały dokoła. Przed nim leżała księga, kałamarz, pełen much, duże pióro gęsie, omszała butelka i kieliszek. Złocisty płyn w kieliszku i nos burakowy, świadczyły, że Don Ci-Jas, bo to on sam był w swej osobie, lubi się oddawać libacyom na cześć Bachusa. W sklepie było paru kupujących. Jakiś obdarty chłopak, z czupryną rozczochraną piskliwym głosem domagał się pieprzu za trzy centimosy i jakaś służąca płaciła miedziakami za funt cukru i mizdrzyła się do subjekta, który wolno zawijał cukier i coś półgłosem szeptał do dziewczyny, rzuca-

jąc od czasu do czasu oczami na siedzącego na podniesieniu pryncypała.

Wszedłem i zbliżywszy się do drugiego subjekta, który właśnie podawał rozczochranemu chłopakowi tutkę z pieprzem, zapytałem:

— Czy są ostrygi?

Subiekt spojrzał na mnie bacznie, zmierzył mię od stóp do głowy i widocznie przegląd ten wypadł na mą korzyść, bo uśmiechnął się i rzekł:

— Są. Franek, zaprowadź pana.

Z poza lady, wysunął się mały chłopiec z miną lamparta ostatniego, mrugnął na mnie oczami i rzekł:

— Proszę pana.

Weszliśmy do drugiej izby, prawie zupełnie ciemnej, za sklepem, zastawionej kilku stołami, czarną ceratą krytemi, kanapką włosiem obitą, pełną krzeseł i ławek. W atmosferze jej panowała woń wina i różnych niezdecydowanych zapachów. Na ścianach czarnych i okopconych, przy bladym blasku, przeciskającym się przez okno zakopcone i wychodzące widocznie na ciemny dziedziniec, wisiało kilka w czarnych ramach sztychów, przedstawiających generała Palafoxa, ubranego w strój narodowy hiszpański, jak na czele powstańców, gerylasów, uzbrojonych w kosy i widły, rzuca się na armaty francuskie. Z tej izby wydostałem się, ciągle pod przewodnictwem chłopca Franka, na wązki korytarz. Tu Franek otworzył umieszczone w ścianie drzwi, ukazały się schody karkołomne i po tych schodach wprowadził mię do piwnicy. Była ona dość obszerna i tak przepełniona dymem tytuniowym, a słabo oświecona paru nędznemi świeczkami, że z początku oprócz mętnych cieniów różnych postaci i zmieszanych głosów nic rozpoznać nie mogłem. Powoli jednak wzrok mój przyzwyczaił się do panujących tu półświateł i półcieni i spostrzegłem około prostego, drewnianego stołu siedmiu czy ośmiu młodych ludzi, mieszczących się na stołkach, ławach, a nawet na przewróconych do góry dnem beczkach. Piwnica była

mocno sklepiona i wilgotna, a jedyne, silnie zakratowane okienko, umieszczone w górze było zakryte jakąś czarną płachtą. Dokoła, pod ścianami piwnicy leżały rzędem beczki, jedna na drugiej, było tu ciasna, duszno i dymno. Silna woń wina przepełniała sobą to miejsce tajemniczej schadzki. Młodzieńcze fizyognomie spiskowców, w tych półblaskach i półcieniach, przybierały wyraz fantastyczny, z pośrodka tumanów dymu wychylały się nagle głowy z włosami wzburzonemi, twarze blade i oczy palące, nadając całości jakiś dziwny charakter i malowniczość. Na stole widać było kieliszki i butelki na pół wypróżnione, bułki i ser szwajcarski na talerzu i arkuszach zmoczonej bibuły.

Gdym wszedł, Franek zaraz zamknął za mną drzwi a ja zatrzymałem się na progu, pragnąc zoryentować się w tych chmurach dymu i ciemności. Zaraz też, gdzieś z głębi wysunęły się ku mnie dwie postacie, które przy nagle powstałem milczeniu, zbliżyły się do mnie. W jednej z nich poznałem pana Miguela Zezowatego, a jego włosy ciemne, energiczna, ostro zaakcentowana twarz, pokryta Rembrantowskiemi cieniami, robiła w tem otoczeniu szczególne wrażenie. Wyciągnął do mnie rękę i rzekł:

— Witam cię, obywatelu.

I zwracając się do zebranych, dodał:

— Porucznik Valery.

Zaraz też rozległ się tuż nad moim uchem, piskliwy głos Karola Laskonogiego:

— Niewypowiedziana radość ogarnia serce moje, że widzę tutaj pana porucznika. Pozwól o! najdzielniejszy z moich zwierzchników, że ci dłoń, z należytem oczywiście uszanowaniem, uścisnę:

Ledwie miałem czas podać mu rękę, gdy skądś, z głębi ciemności panujących w tym lochu, wysunęła się najprzód rozczochrana głowa, a potem cała olbrzymia postać Burczymuchy. Szedł ciężko, potrącał ławy i beczki i mruczał coś pod nosem, jak niedźwiedź. Po twarzy jego mocno ciemnej

po błyszczących groźnie oczach, poznałem, że obficie uraczył się zawartością kilkunastu butelek, sterczących i leżących na stole. Przyszedł do mnie, wyprostował się, o ile mu pozwalały odmawiające posłuszeństwa nogi, przyłożył rękę po wojskowemu do czoła i rzekł swym głębokim, chrapliwym basem:

— Wedle rozkazania pana porucznika.

Tymczasem z poza stołu wysuwały się inne postacie i zbliżały się do mnie, wymawiając głośno z ukłonami, swe imiona i przezwiska gdyż jak mię objaśniał później Don Miguelo Zezowaty, przyjętym zwyczajem w organizacyi, prawdziwe swoje nazwiska ukrywano. Zjawił się więc najprzód przedemną pan Naczelnik miasta, Ludwik Okularnik, jasny blondyn z bujną, kędzierzawą czupryną, z energicznym wyrazem twarzy i oczami zakrytemi ciemnemi okularami. Z uroczystą powagą wysokiego dostojnika, która mi się dość śmieszną wydała, tonem protekcyjnej wyższości rzekł:

— Spóźniłeś się nieco obywatelu, jednakże cieszę się bardzo, że cię tu widzę. Posłuszeństwem względem zwierzchności stoją narody.

Miał śpiewny akcent południowo-wschodnich prowincyj, pieszczotliwie wymawiał wyrazy, co przy sztucznej jego powadze, ogromnie komiczne robiło wrażenie. Stłumiłem jednak śmiech w sobie, zwłaszcza, że nie było czasu na to, bo zaraz stanęło przedemną dwóch młodych ludzi, którzy mi się zarekomendowali jako dwaj bracia: Felixo i Domenico, zwani »Kraskami«, dlaczego? niewiem. Wreszcie ostatni zbliżył się do mnie mały, nizki, nieco garbaty, z wielką głową pan Ricardo Vnento...

To byli wszyscy. Zaproszono mię do stołu, nalano mi kieliszek mocnego wina i pan Ludwik Okularnik, zwracając się do mnie, tak przemówił:

— Spóźniłeś się obywatelu i dlatego nie wiesz o czem tu mówiliśmy. Muszę więc objaśnić cię pokrótce o tem, cośmy uradzili. Idzie o sprzątnięcie z tego świata wielkorządcy di Monti. Jest on zanadto szkodliwy dla naszej sprawy i Junta

narodowa postanowiła tę przeszkodę i to niebezpieczeństwo usunąć. Sam zamach ma być w ten sposób dokonany. Ty obywatelu poruczniku, jako doskonały strzelec, dasz ognia z dubeltówki, którą otrzymasz, a którą nabić trzeba siekańcami. Obecny tu obywatel Burczymucha, Karol Laskonogi i Ricardo Vnento rzucą bomby Orsiniego, a obywatele Felixo i Domenico cisną butelki napełnione fosforem... Siekańce z dubeltówki z pewnej wysokości wyrzucone, spadną na głowę wielkorządcy z taką siłą, z jaką wylecą z dubeltówki, butelki napełnione rozbiją się, a płyn fosforyczny rozleje się po całym powozie i niewątpliwie wywoła pożar, granaty pękną i rozerwą wszystko na sztuki, na drzazgi...

Nie podobało mi się to nadzwyczajnie, że zadecydowano tu o mnie bezemnie, że nie spytawszy mi się, wyznaczano mi rolę w tym zamachu. Sam zamach, przyznaję się, nie budził we mnie odrazy. Nie nosił on cechy skrytobójstwa, tajnego podkradania się pod ofiarę i pchnięcia jej nożem z nienacka, z tyłu. Owszem, uważałem sam za konieczne usunięcie tak niebezpiecznej osobistości, jaką był wielkorządca di Monti, a w moim stanie ducha i serca, w nadzwyczajnem rozgoryczeniu i smutku, jaki mię ogarnął, uważałem ten zamach za szczęśliwe wyjście, za dramatyczne zakończenie mego posępnego życia. Ale powtarzam, niepodobało mi się rozporządzenie mną, wygłaszane przez pana Okularnika przeciągłym akcentem południowca i tonem wyższości. Rzekłem więc:

— Nie mam nic przeciw temu, by wziąć udział w zamachu... wszystko mi ostatecznie jedno, czy tak czy inaczej zginę, bo nie przypuszczam, byśmy wyszli z tego cało...

— O to właśnie idzie, przerwał mi pan Ludwik Okularnik, żebyście wyszli cało. Rzecz polega głównie na tem, skąd dokonać zamachu. Na tym punkcie stanęły narady nasze; zdania były też różne. Wszelako muszę cię, obywatelu poruczniku, wprzódy objaśnić o szczegółach, których nie znasz, a które są niezbędne, dla powzięcia w kwestyi miejsca ostatecznej decyzyi. Otóż trzeba ci wiedzieć, że wielkorządca co-

dziennie, jeżeli jest pogoda, jeździ do szpitala wojskowego, skąd wraca koło godziny trzeciej po południu, przez ulicę »Nuova America« i Przedmieście Madryckie. Zamach zatem musi być dokonany na jednej z tych ulic. »Nuova America« nie przedstawia ani jednego miejsca, ani jednego domu odpowiedniego. Należy bowiem dodać, że postanowiliśmy, iż strzały i bomby rzucone będą z okien którego z domów; tak będzie bezpieczniej dla nas, a śmierć wielkorządcy di Montiego pewniejsza.

Zatrzymał się, odetchnął, puścił kłęb dymu z cygara, a ja korzystając z tej przerwy, rzekłem:

— Wszystko to dobrze, tylko należało wprzódy...

— Nie przerywaj mi obywatelu, zawołał pan Okularnik podnosząc rękę do góry, jeszcze nie skończyłem. Potem wraz z innymi tu obecnymi, będziesz mógł twoje uwagi robić. Otóż tedy, pozostaje tylko Przedmieście Madryckie. Zdaniem mojem i wielu tu obecnych, najlepiej by było dokonać zamachu z domu, w którym w tej chwili się znajdujemy i to pyszne wino Pacharetti spijamy... Ulica w tem miejscu jest wązka, ciasna, i nic łatwiejszego jak paru najętemi dorożkami lub wozami zagrodzić drogę pędzącemu wielkorządcy, zatrzymać go choćby na kilka minut, nim jego zbrojny orszak przeszkodę usunie. Wtedy twoje pewne oko strzał spokojnie wymierzy, granaty runą i... *finita la comedia.* Zamach udać się może, uda się bezwarunkowo. Ale, niestety! jest tu małe, lecz bardzo ważne ale. W domu tym mieści się biuro policyi miejskiej, ciągle kręcą się algasile, mają oko na wszystko. Na pierwszem piętrze, skąd najlepiej byłoby dokonać zamachu, mieszka sam naczelnik okręgu policyi. Oczywiście on nie odda nam paru okien, z których moglibyśmy strzelać i rzucać granaty...

Dowcip ten, niekoniecznie dowcipny, przyjęty został śmiechem, wśród którego dominował dyszkantowy głosik Laskonogiego. Burczymucha zato siedział gdzieś w ciemnym kącie i mruczał gniewnie i od czasu do czasu dawał się słyszeć jego ponury bas i wykrzyknik:

— Mopanku! kroć sto tysięcy, bodaj to wszyscy djabli wzięli!...

O co się gniewał mój Burczymucha, nie wiedziałem ani wtedy, ani nigdy później dowiedzieć się nie mogłem. Tymczasem pan Okularnik mówił dalej:

— Na drugiem piętrze mieszka pomocnik pana naczelnika, różna służba, urzędnicy, jednem słowem, do domu tego dostać się niepodobna i z najwygodniejszego punktu dla zamachu zrezygnować musimy. Cóż więc robić? czy wyrzec się projektu tak zbawiennego dla naszej sprawy?

Zatrzymał się, pociągnął kłąb dymu z cygara, wypił duszkiem kieliszek wina i spojrzał z poza swych niebieskich okularów groźnie po obecnych. Wśród nich panowało milczenie; panowała też półcisza w piwnicy. Sklepienia tu musiały być bardzo silne, a głębokość znaczna, bo turkot wozów i dorożek głucho tylko słyszeć się dawał.

Wreszcie pan Okularnik tak dalej ciągnął:

— Jeden z członków naszej organizacyi podał projekt, ażeby na Madryckiem Przedmieściu urządzić minę, któraby przejeżdżającego wielkorządcę wysadziła w powietrze. Myśl wcale niezła; cóż kiedy także niewykonalna, a przynajmniej niesłychane przedstawiająca trudności. Wszak na ulicy, pod okiem policyi, kopać nie można. Z tem wszystkiem projektu tego nie porzuciłem. Przyszło mi na myśl, że możnaby taką minę urządzić w którym z istniejących kanałów.

— Prawda! — zawołał piskliwy głos Laskonogiego — bogowie! co za genialna myśl! Takie myśli rodzą się raz na sto lat!...

— Niestety! — zawołał pan Okularnik widocznie mocno pogłaskany po sercu nierozsądnym wykrzyknikiem Laskonogiego — niestety! i to okazało się, a przynajmniej mnie się wydaje, niepraktycznem. Jedyny kanał większych rozmiarów i dogodny do takiej operacyi, do którego zresztą niepostrzeżenie dostać się można, jest idący niedaleko stąd przez Madryckie Przedmieście i kończący się wylotem na dziedzińcu

pobliskiego klasztoru OO. Hieronimitów. Oczywista rzecz, że mamy swoje stosunki w tym klasztorze, dzięki którym każdej chwili możemy dostać się do kanału, nie zwracając na siebie uwagi policyi. Kazałem też zdjąć rysunek wewnętrznego rozkładu kanału, króry obywatelom przedstawiam.

Rzekłszy to, wydobył z teki, która przy nim leżała, niewielki arkusik błękitnego papieru, na którym narysowany był przekrój kanału. Wszyscy rzucili się do oglądania, jeden tylko Burczymucha siedział gdzieś w cieniu i mruczał:

— Bodaj to siarczyste pioruny biły!

Widocznie był mocno pijany.

Tymczasem pan Ludwik Okularnik objaśniał kolegom zawiłości rysunku, którego większość tych ludzi niewykształconych nie bardzo rozumiała. Co do mnie, nie oglądałem go wcale. Siedziałem z obojętnością człowieka na śmierć skazanego, któremu wszystko jedno, od jakiej broni ma zginąć. Dusza moja błądziła po parku kapitana Rosotempla i szukała czarnych, palących oczu Józefiny, pragnęła odetchnąć wonią fiołków, tak ulubioną przez tę najmilszą i najsłodszą z kobiet. Cóż mię tam sam zamach wobec tych wspomnień i tej tęsknoty mógł obchodzić? Myśl moja wydobywała się z pod potężnych sklepień piwnicy, z dusznej atmosfery, jaka tu panowała, z ponurych ciemności, włóczących się niby mary po kątach i biegła w moje góry Santa-Cruz, w owe wielkie, Erykowe lasy i bory...

Przez ten czas pan Ludwik Okularnik widocznie objaśnił zebranym powody, dla których zamach za pomocą miny, urządzonej w kanale, nie może być dokonany, bo wszyscy usiedli, wołając:

— Ale oczywiście... to niemożliwe!... niema więc o czem mówić.

Sam pan Okularnik złożył starannie rysunek i schował go do teczki, a popiwszy wina, ciągnął dalej:

— Skoro więc nigdzie na Madryckiem Przedmieściu zamachu dokonać nie można, trzeba przenieść się gdzieindziej.

Jedyne potemu miejsce jest u wylotu Madryckiego Przedmieścia, przy połączeniu się jego z ulicą »Nuova America«. Jak wam wiadomo, obywatele, stoi tam olbrzymia kamienica, należąca do hrabiego Transponti. Ulica na tem miejscu zwęża się nagle, dom jest przepełniony mieszkańcami, liczne sklepy, nawet kawiarnia i bilard na pierwszem piąterku, a raczej antresoli, ułatwi nam wchodzenie i wychodzenie z tej olbrzymiej kamienicy, da możność dokonania niezbędnych przygotowań. Od dawna myśl ta tkwi mi w głowie, cały projekt ułożyłem, jednak nie chcę nic decydować bez was, obywatele...

— A niech to pioruny trzasną!... — mruknął Burczymucha.

Pan Ludwik Okularnik spojrzał groźnie w ciemny kąt, w którym Burczymucha oddawał się pijaństwu i narzekaniom i pogardliwie ruszywszy ramionami, rzekł:

— Proponuję zatem, obywatele, ażebyśmy wszyscy, tak jak tu jesteśmy, poszli zaraz obejrzeć ową kamienicę. Mówię zaraz, gdyż nie mamy czasu do stracenia, a junta narodowa nalega, by zamach był jak najprędzej wykonany. Chodźmy więc oglądnąć.

Wszyscy się pozrywali, poczęli szukać kapeluszy i okryć, a Don Miguelo Zezowaty, swoim zwyczajem, począł się przeciągać i ziewać głośno, jak człowiek śmiertelnie znudzony.

— Nie potrzebuję mówić — ciągnął pan Ludwik Okularnik — że trzeba stąd pojedynczo, lub po dwóch wychodzić i to obu wyjściami. Na ulicy nie znamy się. Każdy z nas obejrzy dom i zejdziemy się u kupca Bonity przy ulicy »Parów«. Czy zrozumieliście mię, obywatele?

Wszyscy zaczęli wychodzić, jeden tylko Burczymucha spał w kącie na beczce snem sprawiedliwego, chrapiąc głośno.

— Można go tu zostawić bezpiecznie — rzekł do mnie pan Okularnik, gdym się wahał co zrobić z pijanym wachmistrzem, powiem tam na górze, w sklepie, będą nad nim czuwali. Pozdrowienie i braterstwo!

Uchylił kapelusza i wyszedł, a ja za innymi.

VII.

Ze sklepu jedni wychodzili na ulicę wprost, inni zaś przez podwórze. Ja należałem do pierwszych i szedłem sam, rozmyślając nad tem com widział i słyszał. W odległości może dziesięciu kroków przedemną posuwał się na swych długich i cienkich nogach, kołysząc się jak żóraw, mój Karol Laskonogi. Pamiętam, że gdym go spostrzegł, zaniepokoiłem się mocno i rozgniewałem widząc go ubranego w ten sam fantastyczny i zwracający na siebie uwagę strój, w którym dokonał zamachu na Rosotempla. Miał więc na głowie maleńki kapelusik zielonkawego koloru z piórkiem, wiszący mu na czubku głowy, i okryty był rodzajem peleryny, sięgającej mu do kolan. Strój taki już wtedy był rzadko używany i oczywiście wszyscy oglądali się za Karolem, do czego jeszcze przyczyniała się jego chuda postać, długie, bocianie nogi, jego ruchy pełne przesady i impertynenckie zaglądanie w oczy wszystkim przechodzącym kobietom. Patrząc na to, miałem jak najsmutniejsze przeczucie, zwłaszcza, że Karol, zamiast po wyjściu ze sklepu przejść zaraz na drugą stronę ulicy, jak to uczynił pan Miguelo Zezowaty, szedł prosto, kierując się ku bramie biura policyjnego, koło którego kręciło się mnóstwo algasilów i mocno podejrzanych figur.

Chciałem ostrzedz Karola i przyspieszyłem kroku, by go dogonić, gdy nagle prawie przed samą bramą biura policyjnego zatrzymał mego nieszczęśliwego współtowarzysza jeden z policyantów.

— Hej, senor rzekł — stój!

Karol wyprostował się i zawołał piskliwym głosikiem:

— Jak pan śmiesz mię zatrzymywać? czy nie wiesz kto ja jestem?

— No... senor, kto ty jesteś, ja nie wiem, ale w biurze policyjnem o tem dowiemy się. Proszę za mną!

Byłem niemym świadkiem tej sceny i pot śmiertelny wystąpił mi na czoło. Uważałem Karola za przepadłego. On

sam, widziałem to dobrze, zrazu pobladł straszliwie, ale szybko przyszedł do siebie i uśmiechając się do policyanta, mówił:

— O! najniefortunniejszy z algasilów, dlaczego mi czas na próżno zabierasz? czy nie widzisz, że spieszę na schadzkę z najpiękniejszą kobietą w Bilbao i że gdy się spóźnię, stracić mogę jej miłość?

Algasil, młody człowiek, na te słowa wypowiedziane z teatralną patetycznością, uśmiechnął się i widoczne było w jego twarzy wahanie, zwłaszcza, że dzięki solidarności i sprzyjaniu sprawie powstańczej ludności kraju, przy algasilu znalazło się zaraz kilka dziewcząt i z zalotnemi uśmiechami, poczęły wypytywać się i nalegać na algasila, by Karola puścił.

— No! no! — mówiła jedna z nich, szatynka z wielkiemi ciemnemi oczami, szczerząc białe ząbki — niech no pan Bazyli puści tego pana.

— A panna Maryanna cóż? — pytał algasil pożerając wzrokiem dziewczynę i wahając się coraz bardziej.

I byłby z pewnością puścił nieszczęśliwego Karola, gdyby nie to, że zjawiło się dwóch innych algasilów i ci groźnie ofuknęli zgromadzone dziewczęta i mego biednego towarzysza ze sobą zabrali.

Całej tej sceny, która na mnie niesłychanie przykre i przygnębiające wywarła wrażenie, był świadkiem stojący na drugiej stronie ulicy Don Miguelo Zezowaty. Pobiegłem do niego wzruszony do głębi i zapytałem:

— Czy widziałeś pan?

— Widziałem.

— No, więc cóż? — rzekłem — trzeba go ratować, trzeba mu dopomódz!...

Spojrzał na mnie swemi złemi, zezowatemi oczami i rzekł spokojnie i chłodno:

— A to w jaki sposób?

— Ja nie wiem — odrzekłem z uniesieniem — to jest wasza rzecz, od tego jesteście władzą, macie środki...

— Nie mamy żadnych środków na ratowanie głupców. Ten twój żołnierz był ostatnim głupcem. Stroił się jak arlekin, choć kilkakrotnie go ostrzegałem, a nawet przed chwilą, gdyśmy wychodzili, mówiłem mu, by ruszył przez podwórze i ominął biuro policyjne. Nie posłuchał mię i teraz ma za swoje. A zresztą teraz nic się nie da zrobić. Bądź spokojny, obywatelu, później pomyślimy o tem.

Ziewnął głośno oglądając się obojętnie dokoła, kiwnął mi głową protekcyonalnie i skręcił w bok w ciasną uliczkę »di Trompetti« i zniknął mi z oczu.

Byłem wściekły i zrazu chciałem biedz za nim i zmusić go do niesienia pomocy nieszczęśliwemu Karolowi, ale opamiętałem się i rozum mi szeptał, że w rzeczy samej Miguelo Zezowaty ma racyę, że teraz nic zrobić się nie da, że czekać trzeba, że Karol sam sobie winien, że pokutuje teraz za swoją lekkomyślność niesłychaną.

Ruszyłem więc jakby senny i niesłychanie zgnębiony. Za innymi przypatrywałem się ogromnej kamienicy hrabiego Transponti, za innymi poszedłem na ulicę »Parów« i za innymi znalazłem się, w ogromnym sklepie winnym kupca Bonity, który wychodził na dwie ulice, na Madryckie Przedmieście i na »Parów«. Tam w bocznej, ciemnej izbie, powoli zgromadzili się, przychodząc pojedynczo, wszyscy spiskowcy. Pojawiły się znów na stole butelki omszałe starej Pacharetty, rozpoczęła się pijatyka i rozprawy. Siedziałem przy nich niemy, milczący, smutny nadzwyczajnie i zamyślony o losach biednego Karola. Jak przez sen tylko przypominam sobie toczące się rozprawy, wiem tylko, że jeden z zebranych, zdaje mi się, garbaty pan Ricardo Vnento, opowiadał, że na pierwszem piętrze, na tak zwanej antresoli, znajduje się kawiarnia jakiegoś pana Novi, że z sali bilardowej tej kawiarni można poprostu włożyć bomby do powozu przejeżdżającego wielkorządcy, ale że niestety! niepodobna będzie dokonać stamtąd zamachu, dlatego, że sala bilardowa od rana do późnej nocy przepełniona jest amatorami tej gry, a właściciel kawiarni,

pan Novi, prosty filister i groszorób, któremu wszystko jedno kto rządzi w Hiszpanii, byle on mógł dukaty zbijać, za nic się nie zgodzi, by salę tę na parę dni zamknąć i oddać ją do rozporządzenia spiskowców.

Jaki wreszcie był rezultat tej ostatniej narady w ciemnym, dusznym, pełnym wszelkiego rodzaju wyziewów, pokoiku, wówczas nie wiedziałem. Siedziałem na pół senny i nieprzytomny, do czego zapewne wiele przyczyniło się wypicie kilku kieliszków mocnej Pacharetty, mając ciągle przed oczami biednego Karola, aresztowanego na ulicy przez algasilów. Do tego chłopca byłem przywiązany; przeżyliśmy wspólnie mnóstwo różnych przygód, toczyliśmy wspólne boje, odbywaliśmy długie i nużące marsze, było się pod wozem i na wozie, a on zawsze miał jednostajny humor, zawsze nas bawił swym poetycznym nastrojem i myślą pogodną rozjaśniał ponure noce zwątpienia. Żal mi też było go teraz serdecznie i pamiętam, że po ukończonych naradach w owej ciasnej izdebce, wniosłem na stół sprawę Karola, domagając się, by zebrani panowie dołożyli wszelkich usiłowań, by go uwolnić z rąk nieprzyjaciół. Co mi odpowiedziano, dokładnie nie pamiętam; wiem tylko tyle, że nie chciano mię nawet słuchać, że pan Ludwik Okularnik z miną półboga rzekł:

— Wszyscy jesteśmy w jednakowem położeniu. Nad każdym z nas wisi toż samo niebezpieczeństwo; każdej chwili możemy dostać się w ręce nieprzyjaciół. Jesteśmy jak żołnierze, którzy padają ranni na pobojowisku. Czyż w czasie gorącej walki myśli kto o nich? czyż nie zostawia się ich własnemu losowi? Junta narodowa nic na to poradzić nie może. Skoro obywatel Karol Laskonogi przez własną nieostrożność wpadł w ręce naszych wrogów, niech sam o sobie myśli. My mu nic poradzić nie możemy.

Pamiętam, że mię te słowa oburzyły i że schwyciwszy za czapkę, z wyrazami bardzo ostremi i niepochlebnemi dla tych panów, opuściłem zgromadzenie. Szedłem przez ulice na pół senny i na pół nieprzytomny, a gdym się dostał do siebie,

na ulicę Dora, zjawiła się u mnie panna Adolfina, jak zawsze, wyróżowana mocno i ubrana jaskrawo, i śmiejąc się hałaśliwie opowiadała mi coś szeroko i długo o kapitanie Rosotemplo. Co właściwie mówiła, nie przypominam sobie, zostało mi tylko wrażenie, bardzo dla mnie przygnębiające, że kapitan ma się lepiej, że prawdopodobnie wyzdrowieje, podczas kiedy mój Karol nieszczęśliwy przypłaci to wszystko życiem. Mówiła mi dalej panna Adolfina o Józefinie, że starannie pielęgnuje swego męża, co mię jeszcze bardziej podrażniało i byłem w takiej rozpaczy, że pamiętam, iż na seryo rozmyślałem nad tem, czyby nie było lepiej odebrać sobie życie i raz zakończyć te wszystkie męczarnie. Ale oczy moje padły na rozłożony na stole »Złoty Ołtarzyk« i na ową modlitwę w niebezpieczeństwie, która tylokrotnie pokrzepiała mego upadającego ducha. Z myślą, że samemu nie warto sobie odbierać życia, skoro mi je lada chwila odbiorą nieprzyjaciele, zasnąłem i tak zakończyłem ten dzień, jeden z najsmutniejszych i najbardziej ponurych w mojem życiu.

VIII.

Przez następnych parę dni z domu prawie nie wychodziłem. Zapomniałem zupełnie o gotującym się na wielkorządcę di Monti zamachu, o tem, że ja w nim mam wziąć udział, a wyłącznie zajęty byłem dręczącemi myślami o losie Laskonogiego i o... Józefinie. Tak, o niej myślałem również ciągle, w tych czasach pełnych krwi i burz, i wspomnienie tej słodkiej istoty było jakby oazą zieloną, cichą i miłą, wśród której umysł mój udręczony znajdował kojący spoczynek.

Ale nie wiele o niej wiedziałem. To co mi Adolfina powiedziała, że moja najmilsza z kochanek gorliwie pielęgnuje swego męża zranionego, odbiło się bardzo przykro na mem sercu, choć mogła to być zwykła litość kobieca, zwykła potrzeba ich duszy niesienia pomocy nieszczęśliwym i chorym. Ale gorycz ta, z jaką tę wiadomość przyjąłem, miała swoje

głębsze źródło w ciężkich wyrzutach, jakie sobie samemu czyniłem, niestety! zupełnie uzasadnionych. Gdy Rosotempło przychodzi do siebie i zapewne wkrótce wyzdrowieje, by dalej prowadzić swą wstrętną i zgubną dla naszej sprawy działalność, mój Karol Laskonogi, jedna z najofiarniejszych postaci tejże sprawy, męczy się w więzieniu, z którego zapewne wyjdzie już tylko na szubienicę. I dlaczego? Oto dlatego, że ja, ujęty jakąś niemądrą wspaniałomyślnością, mając w rękach swoich kapitana Rosotempla, wypuściłem go na wolność całym i zdrowym.

A dręczyło mię to najbardziej, że w tem wypuszczeniu bodaj czy nie najgłówniejszą rolę odgrywała prywata, obawa, by ktoś nie powiedział, by własne moje sumienie nie wyrzuciło mi kiedyś, że nie szpiega, ale męża kochanki mojej z drogi usunąłem. Tak... nie mogę zaprzeczyć... przyznaję się... że był to główny powód, dla którego wydobyłem z rąk Burczymuchy pokonanego kapitana karabinierów.

Ale czy wolno mi było tak postąpić? i jakież straszne, jak bolesne skutki są obecnie tego postąpienia!... Gdybym był owej nocy burzliwej i wietrznej, tam, w starym parku na krańcach miasta, pozwolił zdusić żelaznym dłoniom Burczymuchy Rosotempla, nie myślanoby o zamachu na niego, zamachu tego nie dokonałby Laskonogi i teraz byłby wolny...

Ta myśl, że to ja ostatecznie kosztem śmierci najlepszego z mych współtowarzyszy ocaliłem życie najnikczemniejszego z ludzi, najzaciętszego z mych wrogów, do rozpaczy mię przyprowadzała. Nie wychodziłem, jak powiadam, nigdzie i po całych dniach siedziałem milczący, zatopiony w swych myślach. Z razu nosiłem się z zamiarem oswobodzenia Laskonogiego, jakim bądź kosztem z rąk naszych wrogów, ale jeden z zecerów, człowiek starszy i doświadczeńszy, przychodzący dla składania gazety rewolucyjnej *Independenca*, zapytany o to przezemnie, wytłumaczył mi, że to jest wprost niemożliwe.

— Więźniów tego rodzaju — mówił — nie trzymają w biurach policyjnych, chyba, że się nic na nich nie okaże,

tak że mogą być zaraz puszczeni. Bardziej podejrzanych odsyłają do fortecy, a stamtąd już nikt uciec nie może i od tylu lat, jak ona istnieje, nikt jeszcze nie uciekł, choć siedzieli tam ludzie z głową i determinacyą. Ale niech się senor nie martwi. Nie koniecznie ten, kogo aresztowano na ulicy, ma być zgarotowany. Boże kochany? ileż to razy mnie aresztowano, a dlatego żyję i drwię sobie z ich policyi i szpiegów. Byle głowę mieć na karku, to zawsze sobie można dać radę.

Była to słaba pociecha, ale bądź co bądź pociecha, a przytem dodawała mi otuchy ta okoliczność, że w urzędowej *Gazetta Universale*, przez kilka dni nie znalazłem żadnej wzmianki o aresztowaniu Laskonogiego, co dowodziło, że nie uważają go za znaczniejszego przestępcę politycznego: gdyż w takim razie pomieszczonoby zaraz obszerną relacyę o zdobyczy, jaką udało się chwycić policyi.

A przytem, w tych dniach samotności mojej, miłość do Józefiny z całą siłą pierwotną podniosła się w mem sercu i przelotny, chwilowy zamiar, powzięty niedawno, ażeby uciec z mą ukochaną z Bilbao, powoli przybierał w mym umyśle konkretne kształty i utrwalał się coraz silniej. Wydawało mi się to jedynem wyjściem z rozpaczliwego położenia, w jakiem się znajdowałem, i w jakie tę biedną, tę dobrą kobietą wepchnąłem. Sama zresztą ona tego żądała. Wszak na ostatniej schadzce naszej, w ogrodzie jej męża, owej tak tragicznie zakończonej nocy, domagała się tego odemnie rozpaczliwie i sam widziałem, zaślepiony gorącą namiętnością, że taki stan i takie położenie, w jakiem oboje się znajdowaliśmy, długo trwać nie może.

Snułem więc projekta, że po zamachu na wielkorządcę di Monti, wyrwę się z Bilbao razem z Józefiną. W zamachu tym postanowiłem sobie, po długim namyśle, nie brać udziału, ale wprzód, honor nie pozwalał mi uciekać z miasta. Zdecydowany więc byłem czekać aż do chwili, gdy ten zamach będzie wykonany, a potem uciekać. Obrzydło mi to wszystko i ludzie i rzeczy i ogarniała mię szalona tęsknota za górami

i lasami mojemi, za walką otwartą, żołnierską, za niepokojami i rozmaitością życia bojowego na wolnem powietrzu, wśród świstu kul i brzęku szabel.

Za pośrednictwem poczciwej Adolfiny starałem się skomunikować z Józefiną. Było to dość trudnem i o schadzce nie można było myśleć. Bela, siostra Adolfiny, donosiła mi przez jej usta, że Józefina jest pod najściślejszym w domu dozorem, że wyjść nigdzie nie może, że chory, ale przychodzący powoli do siebie Rosotemplo, każe żonie ciągle siedzieć przy sobie, nie spuszcza z niej oka ani na chwilę. Mimo to, Adofina pewnego poranku, przyniosła mi liścik Józefiny.

W liście tym, skreślonym na prędce ołówkiem, moja ubóstwiana kochanka donosiła mi, że położenie jej jest rozpaczliwe, że życie, jakie pędzi, jest tak straszliwem i tak pełnem niebezpieczeństw i zasadzek, że dłużej nie jest w stanie wytrzymać. Dlatego też zgadza się na ucieczkę, błaga mię o nią, oddaje mi się zupełnie.

— O! proszę pana — mówiła Adolfina, stojąc jak zwykle rano przy drzwiach w swych przydeptanych pantofelkach, z chustką zarzuconą na rozczochraną głowę, z twarzą zmęczoną i bladą — o! proszę pana, ta pani Rosotemplo, to najnieszczęśliwsza w świecie kobieta. Bela mi mówiła, że zbladła, zmizerniała, wychudła, że ma pod oczami wielkie sine plamy. Biedna kobieta! gdybym była mężczyzną, tobym jej tak dręczyć nie dała temu zbójowi, jej mężowi.

Słowa te dolewały oliwy do ognia i coraz bardziej, coraz silniej utwierdzałem się w zamiarze wykradzenia Józefiny i ucieczki z nią w nasze góry. Układałem już plany tej ucieczki i postanowiłem przebrać Józefinę po męsku, doprowadzić do naszego oddziału i umieścić w nim jako jednego z żołnierzy. Nie było w tem nic nadzwyczajnego, ani dziwnego. Wiele kobiet w tej wojnie strasznej i niezwykłej brało udział; niektóre z nich nawet głośne były, służyły za adjutantów przy dowódcach! Czemużby Józefina nie miała tego samego spełniać?

Nie w tem więc była trudność, ale w tem, w jaki sposób mą kochankę wydostać z rąk męża i wymknąć się z nią z pilnie strzeżonych rogatek miasta. Najrozmaitsze plany układałem, ale wszystkie po bliższem rozpatrzeniu okazywały się niepraktycznymi, albo niemożliwymi do wykonania. Koniecznem przytem było osobiste porozumienie się z Józefiną, a to w tej chwili tak Adolfinie jak i Beli wydawało się niepodobnem do wykonania.

Zajęty wyłącznie tą sprawą moją osobistą, zgoła zapomniałem o sprawach publicznych, a raczej spisku, i przyznaję się, na hańbę natury ludzkiej, że losy biednego Karola zupełnie mi wyszły z głowy, w której w tej chwili bezpodzielnie królowała moja piękna, czarnooka, słodka Józefina. Ale zaszła pewna okoliczność, która mi w sposób przykry i bolesny przypomniała poetycznego Laskonogiego.

Wśród układania planów wykradzenia Józefiny i ucieczki z nią z Bilbao, pewnego dnia rankiem zjawił się u mnie, na wielkie moje zdziwienie, pan Ricardo Vnento. Pana tego prawie wcale nie znałem, boć to, żem go widział na schadzce spiskowców w piwnicy kupca Ci-Jasa, nie może uchodzić za znajomość, zwłaszcza, że pan Vnento, prawie nic wtedy się nie odzywał, tylko siedział z oczami ponuro w ziemię spuszczonemi i zawzięcie paznogcie u palcy długich i chudych ogryzał. Teraz wszedł do mnie ze swą małą garbatą figurką, z ogromną głową, osadzoną na szerokich ramionach, ubrany starannie i głosem chrypliwym prosił mnie bardzo grzecznie o chwilkę rozmowy sam na sam. Gdym drzwi od zecerni zamknął, gdzie właśnie szczotką odbijano jakąś odezwę Junty narodowej, pan Vnento przysiadł się na rożku krzesła, duże piwne oczy spuścił w ziemię, od czasu do czasu jednak nagle je podnosząc i rzucając na mnie przelotne, rozumne i niezwykle przenikliwe spojrzenie. Zauważyłem teraz, że oprócz garbu, nieproporcyonalnie długich rąk i straszliwie chudych palcy, u których i teraz, siedząc na wprost mnie, zaczął ogryzać paznogcie, oprócz twarzy brzydkiej, ale charakterystycznej

bardzo, biedny pan Vnento, jąka się także, co zapewne było przyczyną, że na na zebraniu w piwnicy Ci-Jasa głosu jego wcale nie słyszałem.

Teraz siedział spokojnie na rożku, podanego mu przezemnie krzesła, a długie jego nogi nie miały się gdzie podziać, i z oczami w ziemię zapatrzonemi, jąkając się często, powtarzając od czasu do czasu zdanie »uważa pan«, tak mówić zaczął:

— Nie zabiorę panu dużo czasu, bo i sam go nie mam. Jestem tu... uważa pan... przysłany przez naczelnika miasta... Ludwika Oku... Okularnika... uważa pan?

— Uważam.

— Ale to nie o to idzie... tylko przyszedłem uprzedzić pana, że wiadomy zamach... uważa pan... został przyspieszony i odbędzie się po... pojutrze. Dziś mamy, uważa pan, środę, a zatem w piątek...

— W piątek? tak prędko?

— Tak... uważa pan... zaszła ta okoliczność, że... obawiamy się zdrady, może źle powiedziałem... nie tyle zdrady ile śpiewania... uważa pan.

Muszę tu objaśnić, że w kołach spiskowych używano wyrazu »śpiewać« w znaczeniu zgoła innem, niż wszyscy inni Hiszpanie. Znaczyło ono wszystko w więzieniu na śledztwie mówić. »On śpiewa«, to znaczy, że opowiada przed sądem śledczym, co tylko wie. Zrozumiałem więc doskonale wyrazy pana Vnento i zapytałem:

— A kto nas może zdradzić?

Uśmiechnął się szydersko, oczy spuścił w ziemię i ogryzając namiętnie paznogcie, szepnął:

— Wszyscy i nikt. Uważa pan... oni tam w policyi doskonale wiedzą o przy... przygotowującym się zamachu. Nie wiedzą tylko ani dnia, ani godziny, jak powiada Pismo święte. Uważa pan... ja dlatego cytuję Pismo święte, że byłem kiedyś klery... klerykiem w seminaryum, ale mię wy... wypędzili stamtąd, zaco? to do rzeczy nie należy, lecz przy-

zwyczajenie cytowania Pisma świętego posostało mi... uważa pan? a teraz to jestem drzeworytnikiem.

Spojrzał na mnie przelotnie i ciągnął dalej.

— Otóż tedy... uważa pan... rzecz bardzo naturalna, że ta głu... głupia policya, chciałaby się koniecznie dowiedzieć o dniu, i godzinie, i miejscu zamachu... Wszystkich więc aresztowanych w ostatnich czasach o to wypy... wypytuje. Oni... ci aresztowani, uważa pan, nie wiele jej mogą powiedzieć, bo sami nic nie wiedzą, ale o jednego się boimy, to jest o pańskiego towa... towarzysza.

— O Karola Laskonogiego? — zapytałem nadzwyczajnie wzruszony.

— Tak.

— O! — zawołałem — o to możecie być panowie zupełnie spokojni. Przy całej swej lekkomyślności pozornej, jest to żelazna natura.

— A jednak ta żelazna natu... natura przyznała się do tego, że to on... uważa pan... dżgnął sztyletem kapitana karabinierów, Rosotempla.

— Jakto? przyznał się do tego?

— A tak... mamy pewne wiadomości.

— To być nie może!

— Zarę... zaręczam panu, że tak jest, a skoro... uważa pan... to wyśpiewał, może i resztę wyśpiewać, zwłaszcza, że wie o wiele więcej od innych, bo był z nami na zebra... zebraniu u kupca Ci-Jasa.

— To coś dziwnego! nie mogę zrozumieć powodu postępowania Karola... musiał mieć jakieś przyczyny...

— Żadnych innych, tylko swą... uważa pan... głupotę i długi ję... język.

Wiadomość ta wywarła na mnie niesłychanie przygnębiające wrażenie. Zatarta pod wpływem projektów moich co do Józefiny, myśl o Karolu zbudziła się ponownie we mnie z całą siłą, z całą mocą wyrzutów, że o nim zupełnie zapomniałem, o nim, moim towarzyszu broni i tylu kolei! Przez

chwilę milczałem, dręczony tą myślą, a pan Vnento, ciągle zapatrzony w ziemię i ogryzujący swe nieszczęśliwe paznogcie, mruczał nizkim basem dalej:

— Uważa pan... temu pańskiemu Lasko... Laskonogiemu grozi szubienica, a że w człowieku duch jest mdłym a ciało mocne... znowu cytata z Pisma świętego...

Łysnął na mnie oczami, uśmiechnął się jakimś chorobliwym, bolesnym uśmiechem, który jego brzydką twarz po djabelsku wykrzywił, i prawił:

— Więc... uważa pan... może on... ten Karol Laskonogi myśli, że przez szczere przy... przyznanie się do wszystkiego, co wie, ocali... uważa pan... swe życie. Oczywiście zawiedzie się srodze, bo ja znam moich Pappenheimerów... to jest cytata z Schillera, poety niemieckiego, za czytanie którego... uważa pan... między innemi, z seminaryum mię wypę... wypędzono.

Znów uśmiechnął się zjadliwie i wstając powoli z krzesła, rzekł:

— Dubeltówkę, z której pan poczęstuje siekań... siekańcami tego hycla di Monti przyniesie panu może dziś, może jutro pewna ko... kobieta. Trzeba... uważa pan... wypróbować ją, nie kobietę — ale dubeltówkę...

Roześmiał się głośno ze swego konceptu, i dodał:

— To jest, uważa pan... rozkaz Okularnika i moja również rada. Chcąc trafić do celu, trzeba znać broń... prawda?

— Wypróbować! — zawołałem z gniewem — a gdzież ja ją wyprobuję? Przecież strzelać z niej tu, w mieście, niepodobieństwem.

— Za... zapewne, choć tu... dokoła jest pustka... a przytem uważa pan, dla chcącego niema nic trudnego.

— Ale ja wcale nie myślę brać udziału w tym zamachu — zawołałem podrażniony mocno z rozpaczą w duszy.

Na te słowa garbata figura pana Vnento nagle wyprostowała się; oczy dotąd spuszczone w ziemię podniosły się na mnie z tak przenikliwem wejrzeniem, że zdawało mi się,

iż dwa sztylety utkwiły mi w piersiach. Patrzał na mnie w ten sposób długo i rzekł dobitnie ale spokojnie:

— Do licha! panie poruczniku ułanów, zdaje mi się, że tchórzysz!

Gdyby był chciał wynaleźć zaklęcie dla zmuszenia mię do czynnego współudziału w zamachu, z pewnością nie byłby znalazł lepszego. Jak koń dotknięty nagle ostrogą, zerwałem się na równe nogi i musiałem wyglądać w tej chwili bardzo groźnie, bo pan Vnento cofnął się i przedzielił się odemnie krzesłem, nie spuszczając swego przenikliwego wzroku z mej drgającej gniewem i uniesieniem twarzy. Nakoniec owładnąłem sobą i rzekłem:

— Żeby panu dowieść, że nie tchórzę, wezmę udział w zamachu. Ale z góry zapowiadam panu, że natychmiast po nim, jeżeli cało z niego wyjdę, Bilbao opuszczę.

Jego brzydką twarz skrzywił szyderski uśmiech:

— Ależ to się samo przez się rozumie — odrzekł — każdy z nas, uważa pan... wyniesie się stąd gdzie pieprz rośnie. Pozostawać tu po zamachu byłoby wierutnem głupstwem.

— To mi wszystko jedno czy kto z panów zostanie tutaj, czy nie... dość, że ja nie zostanę. Czy ma mi pan jeszcze co do powiedzenia?

— W tej chwili... uważa pan... nic. Prócz tego chyba, żeby pan pojutrze... uważa pan... stawił się z nab... nabitą bronią w pałacu hrabiego Transponti około godziny pierwszej w południe. Uważa pan... lepiej się wcześniej zejść.

— Dobrze. A gdzież ja panów w tym pałacu znajdę?

— Wejdzie pan na najwyższe piętro... uważa pan... jest tam korytarz, na który drzwi ponumerowane wychodzą. Zapukać trzeba... uważa pan, do numeru szóstego.

— Dobrze. Nic więcej?

— A nie... tylko ja... uważa pan... nie chciałem pana obrazić. Niech mię Bóg i Najświętsza Panna broni. To także pozostałość seminaryjna, to zaklęcie. Bo... uważa pan... ja

mam dla pana wie... wiele sympatyi. A gdybyś pan odmówił, toby pana... uważa pan... zasztyletowali, a to zawsze szkoda...

— Potrafiłbym się bronić.

— Tak się to mówi... uważa pan. Niemniej dzielnych i odważnych, jak pan, umiano dosięgnąć. Ale szkoda o tem gadać. Powiedziałem pa... panu, co wiem i co mi kazano powiedzieć i do widzenia tam... w pałacu Transpontich.

Ukłonił się i zauważyłem, że chciał mi podać rękę, ale ja udałem, że tego nie widzę i chłodnym ukłonem go pożegnałem. Wyszedł z głową spuszczoną, wolno, machając swemi długiemi rękami, z charakterystycznym ruchem ludzi garbatych. W zecerni na chwilę się zatrzymał, popatrzał ciekawie na odbijanie szczotką odezwy, odetchnął głęboko, nie wiem dlaczego i wyniósł się zupełnie. Byłem tak zirytowany rozmową z tym wywłoką, że mię głowa rozbolała i tego dnia o niczem już myśleć nie mogłem, nawet o bliskim zamachu na wielkorządcę.

IX.

Ale wszystkie dotychczasowe moje cierpienia, były niczem wobec tego, czego nazajutrz po wizycie pana Vnento doznałem. Wczesnym rankiem pani Franciszka wraz z kawą przyniosła mi numer *Gazetta Universale*. Leżała ona jakiś czas na stole, nim ją wziąłem do ręki, gdyż od kilku dni nie zawierała nic ciekawego. Z obojętnością człowieka nie spodziewającego się nic interesującego znaleźć na jej szpaltach, rozwinąłem dziennik i na samym czele, drobnym drukiem wydrukowany znalazłem artykuł pod tytułem »Wyrok sądu wojennego w sprawie przestępcy zwanego Karolem Laskonogim, a także Diego Orosco«.

Gdym przeczytał te słowa śmiertelny dreszcz mię przeszedł i w oczach tak mi się zaćmiło, żem liter nie widział, które skakały przedemną, jakby żywe.

— A więc jest już wyrok! jest wyrok! — mówiłem sobie na pół nieprzytomny i osłupiały — o, biedny, nieszczęśliwy Karolu!

Ale nakoniec owładnąłem sobą i ze ściśnionem sercem wyczytałem co następuje.

»Dzięki przezorności i energii władz policyjnych, udało się przed kilku dniami wynaleźć i schwytać niecnego mordercę, który w dniu 10-go b. m. na chodniku Madryckiego Przedmieścia napadł z nienacka i ugodził sztyletem zatrutym kapitana karabinierów, Teobalda Rosotempla. Mordercą tym jest niejaki Diego Orosco, noszący w stronnictwie nierządu przezwisko Laskonogiego. Przebieg życia tego młodego, ale sfanatyzowanego człowieka, nie przedstawia nic ciekawego. Wstąpił do bandy niejakiego Casobi, który każe się tytułować generałem i stamtąd z dwoma innymi powstańcami, na ślady których policya już wpadła, został sprowadzony przez szajkę skrytobójców, mianujących się Juntą narodową, do Bilbao dla mordowania osób wiernych prawemu rządowi. Pierwszą ofiarą wskazaną temu młodemu, a już zatwardziałemu mordercy, był dzielny kapitan Rosotemplo, który przez swą energię niczem niepokonaną, od dawna jest solą w oku stronnictwa bezrządu. Wiadome są szczegóły zamachu, gdyż je w swoim czasie opublikowaliśmy. Opatrzność czuwała nad życiem kapitana. Sztylet mordercy, jakkolwiek zatruty, chwiejną i tchórzliwą ręką kierowany, nie zdołał naruszyć żadnego ważniejszego organu. Cieszymy się, że możemy donieść wszystkim, którzy boleją nad okropnem położeniem kraju, w jakiem dzięki niegodnej szajce bandytów się znajduje, iż kapitan Rosotemplo przychodzi powoli do zdrowia i zapewne wkrótce będzie mógł dalej pełnić swe obowiązki.

»Po dokonaniu zamachu, morderca Diego Orosko zdołał zbiedz, nie bez podejrzeń, że mu w tem ktoś dopomógł. Jednak wkrótce potem schwytany, z rozkazu Jego Ekscelencyi księcia di Monti, oddany został pod sąd polowy. Morderca z cynizmem zdumiewającym w tak młodym człowieku, wcale

nie zapierał się, że to on, nie kto inny napadł niegodnie ze sztyletem na kapitana Rosotemplo. Wobec tego sąd na podstawie art. 456 i 457 kodeksu wojennego, skazał Diega Orosco, zwanego także Karolem Laskonogim, na śmierć przez rozstrzelanie, w miejscu pobliskiem zamachowi, na placu Portugalskim. Wyrok ten, po konfirmacyi Jego Ekscelencyi księcia di Monti, będzie jutro dnia 20. b. m. o godzinie 10. rano wykonany«.

Com czuł, co się działo w mej duszy, po przeczytaniu tego dokumentu, trudno opisać. Ogarnęła mię rozpacz, żal, gniew, chęć ratowania za jakąbądź cenę nieszczęśliwego Karola. Z razu w chaosie myśli i uczuć szalejących po mej głowie, nie byłem zdolny nic postanowić, ale powoli począłem systematycznie rozmyślać nad tem, jakich kroków się chwycić i gdzie szukać pomocy dla mego biednego Karola.

Czy jednak mógł mu teraz kto pomódz? Zrobiwszy przegląd wszystkich znajomych mi ludzi w Bilbao, nabyłem niestety, przekonania, że tylko jeden Bóg może uratować mego kolegę. To poczucie bezsilności taką boleścią ogarnęło me serce, żem się rzucił na łóżko i płakałem jak dziecko...

Nie wychodziłem z domu, bo do kogo i gdzie udać się miałem? czyż w tem wielkiem mieście nie byłem osamotniony i zostawiony sam sobie? Ach, czemuż nie mam pod ręką mego dzielnego plutonu! Narobiłbym jutro takiej kaszy na placu kaźni, że popamiętanoby mię długo, a choćby nam wszystkim przyszło zginąć, to wrogowie ciężkoby także opłacili śmierć mego Karola. Niestety! były to wszystko próżne marzenia, byłem sam, okropnie szarpać się musiałem wśród bolu, żalu i rozpaczy. Zapomniałem o wszystkiem, o tem, że pojutrze mam należeć do zamachu, że i nademną śmierć niechybna wisi, a myślałam tylko o Karolu i tłukąc się po mym pokoju, wśród ciszy panującej w tej oddalonej części miasta, ciszy przerywanej tylko stukiem młotka szewca kuternogi, łamałem się z moją rozpaczą, z moim żalem i smutkiem.

Nad wieczorem, gdy nakoniec po całodziennej walce z sobą, ogarnęła mię jakaś nieokreślona prostracya ducha, pani

Franciszka nagle wsunęła się do mego pokoju i dała mi znać, że jakaś kobieta przyszła do mnie i chce się ze mną widzieć. Z razu przebiegło mi przez myśl, że to może Józefina zdołała się wyrwać z pod dozoru otaczających ją szpiegów i przybiegła, by razem ze mną uciec z tego przeklętego, pełnego zasadzek i krwi miasta.

— Co za kobieta? — spytałem.

— Nie wiem. Młoda jest.

To określenie jeszcze bardziej mię utwierdziło w mojem przypuszczeniu i nie dawszy żadnej odpowiedzi pani Franciszce, skoczyłem i zostawiając ją w moim pokoju, pobiegłem do kuchni. Wieczór się już robił i szare cienie rozwłóczyły się po dość ciemnej kuchni. Tam przy stole, tyłem do okna ujrzałem jakąś wysoką postać kobiecą, otuloną w długą czarną chustkę, okalającą ją szczelnie od głowy do stóp. Była odwrócona od okna i twarzy dostrzedz nie mogłem, ale po figurze i całem wzięciu się, poznałem odrazu, że to nie Józefina przedemną stoi. Jednakże figura ta, ruchy miękkie, zręczne, cała postawa, przypominała mi kogoś, kogo znałem kiedyś, widziałem gdzieś, ale kogo? przypomnieć sobie nie mogłem.

Ukłoniłem się jednak i rzekłem:

— Ja jestem porucznik Valery. Czego pani sobie życzy?

Wówczas kobieta poruszyła się i głosem stłumionym, cichym, ale słodkim i melodyjnym, który niewątpliwie nie pierwszy raz w życiu słyszałem, szepnęła:

— Chcę z panem na osobności pomówić.

Otworzyłem drzwi prowadzące do zecerni i rzekłem:

— Proszę panią.

Przesunęła się koło mnie cicho, szeleszcząc lekko suknią, z owemi ruchami pełnemi gracyi i wdzięku i weszła do mego pokoju, który już pani Franciszka opuściła i stała w zecerni, przyglądając się przychodzącej nieznajomej z wielką baczności i pewną dozą podejrzliwości.

Gdyśmy się nakoniec znaleźli w moim pokoju i gdym drzwi od zecerni starannie zamknął, nagle na twarz przy-

byłej padł promień światła i poznałem w niej panią Teresę, żonę przemytnika Huana.

Tak, to ona była. Stała przedemną otulona w swą chustkę, z pod której widać było jej jasne, przepyszne bląd włosy, skromna, nieomal dziewicza w swej postaci, zawsze śliczna i zawsze melancholijna, i wielkiemi, rozumnemi oczami błękitnemi, ciekawie i poważnie mi się przypatrywać poczęła.

— Więc to pani? zawołałem — pani Teresa?

— Tak, to ja! odrzekła tym głosem cichym, melodyjnym, głębokim, który mię tak zachwycał i tak głębokie czynił na mnie wrażenie niegdyś, przed paru miesiącami (bo w tem gorączkowem życiu dwa miesiące więcej pochłaniały energii i sił, i wydawały się tak odległemi jak dawniej całe lata), tam, w pewnej chacie przemytnika, wśród nocy pełnej niebezpieczeństw.

— To pani jesteś w Bilbao ciągle?

— Tak, jestem ciągle.

Odpowiadała zwięźle i krótko, powtarzała moje pytania zapatrzona we mnie, widocznie myślą gdzieindziej bujająca, a może zajęta ponuremi wspomnieniami owej nocy, gdy ją, świecącą latarką przeprawiającemu się generałowi Casobi, schwytali karabinierzy kapitana Rosotempla. Nagle z tej zadumy ocknęła się, sięgnęła ręką pod chustkę i wydobyła niewielką dubeltówkę, sprzęt prześliczny, z lufami gwintowanemi, strojną i ozdobną jak cacko. Oddawszy dubeltówkę dołączyła do niej woreczek prochu, lotek i kawał ołowiu i rzekła tym samym równym, melodyjnym głosem, który miał własność chwytania mię za serce.

— Tę broń i to wszystko kazano mi panu wręczyć.

— I nic więcej? — zapytałem widząc, że się owija chustką i widocznie zabiera się do wyjścia.

— Nic więcej — odrzekła.

— A któż pani kazał to przynieść? i co to za mężczyzna, który śmie narażać kobietę na tak wielkie niebezpieczeństwo?

Podniosła na mnie swe wielkie, lazurowe oczy, które przyćmił teraz jakiś surowy, chłodny wyraz dumy i rzekła:

— To mój mąż.

— Huan?

— Huan? — zawołała pani Teresa — Huan nigdy nie był moim mężem.

— Nie był pani mężem? a jednak mieszkałaś z nim tam, w chacie nad rzeką i wypełniałaś jego najdziksze rozkazy.

— Bo mi tak kazano czynić.

— Kazano pani? a któż kazał?

— Mój mąż.

Przez cały czas tej indagacyi, dość osobliwszej, jakem się sam później nad tem zastanowił, stała ciągle spokojnie, w głosie jej nie czuć było najmniejszego wzruszenia, tylko oczy, te słodkie rozkoszne oczy zmieniły barwę głębokiego lazuru na stalową i wiał od nich chłód surowy.

— A któż jest mężem pani?

— Sylwester, zwany niegdyś Wiktorem.

— Sylwester? wielki Boże! co pani mówi? nie mogę temu uwierzyć...

— A dlaczego? — zapytała.

— On... on...

Ale nie skończyłem mego zdania, bo pani Teresa otuliła się szczelniej swą chustką, ruchem majestatycznym kiwnęła mi głową i wyszła, zostawiając mię zdumionego nadzwyczajnie tem co usłyszałem. Nim jednak opamiętałem się zupełnie, pani Teresa wróciła, weszła do mego pokoju, starannie drzwi za sobą zamknęła i tym słodkim, cichym półgłosem, który mi taką rozkosz sprawiał, szepnęła:

— Zapomniałam o najważniejszej rzeczy... proszę mi wybaczyć... widok pana obudził we mnie tyle dawniejszych wspomnień...

Oczy jej przybrały znów ten wyraz pogodnego błękitu i poetycznej melancholii i zdawała się gonić niemi jakieś znikające, dalekie obrazy, i mówiła dalej:

— Sylwester ostrzega pana, byś się miał na wielkiej ostrożności. Mają twój rysopis i wydane zostały najsurowsze rozkazy aresztowania pana. Prócz tego... Sylwester...

Słowa te, to ostrzeżenie, przywróciło mi całę przytomność i myśl o Laskonogim.

— Do licha! — zawołałem — Sylwester zamiast mię ostrzegać o tem, o czem ja doskonale wiem, lepiejby zrobił, żeby się postarał o ocalenie Karola.

— Jakiego Karola? — spytała — czy tego, co go mają jutro rozstrzelać?

— Tak.

W jej ślicznych, rozmarzonych oczach błękit przyćmił się znów stalowym blaskiem chłodu i rzekła:

— Czyż jest kto, coby go mógł uratować? Ten jest stracony i nie on pierwszy, ani też ostatni. Wszystkich nas to samo czeka. Ale ja tu przyszłam mówić nie o umarłych, ale o żywych. Sylwester polecił mi powiedzieć panu, że pojutrze... w razie gdyby wiadomy interes się udał tam w domu Transpontich... raczy pan śpiesznie przybyć na ulicę Santa-Cruz... na rogu placu... wie pan i wejść na pierwsze piętro.

— Po co?

— Nie wiem... takie są rozkazy. Zastanie pan tam Sylwestra i innych, może mnie nawet. Ważne zajdą zmiany.

— A jeżeli sprawa ta się nie uda?

Spojrzała mi w oczy tem chłodnem, stalowem wejrzeniem i spytała:

— A dlaczego ma się nie udać? Czy pan źle strzelasz? czy nie dostałeś dobrej broni? Udać się powinna, udać się musi. Zbyt wielkie zagadnienia zależne są od tego faktu, by się powieść nie miał. Nie trzeba nigdy wątpić o spełnieniu raz powziętych zamiarów, trzeba każdemu czynowi, każdej sprawie, poślubionej przez nas, oddać się całem sercem i całą duszą. Nie wolno oddawać takim zadaniom pół serca i pół duszy, bo wtedy one się nie spełnią, lub spełnią źle i niedokładnie.

W oczach jej, gdy to mówiła, zajaśniał gorączkowy blask, na bladą, matową twarzyczkę wystąpiły rumieńce i była śliczna w tej chwili, prawie natchniona, istna Pitya wieszcząca i nauczająca. Nie sądziłem by ta pozornie cicha, miękka, słodka istota, zdaje się stworzona tylko do kochania, miała w sobie tyle zapału, tyle energii dla spraw natury czysto politycznej, dla spraw okrutnych i krwawych. Patrzałem na nią zdziwiony i przyznaję się, zachwycony, bo w tym zapale swoim, w tem natchnieniu, że tak powiem, wyglądała prześlicznie. Ona to zauważyła, zarumieniła się cała jak róża, otuliła starannie chustką i właściwym sobie majestatycznym ruchem królowej, skłoniła główką i wyszła.

Zostałem sam niemy, osłupiały, z żalem pewnym w duszy, że mię ta niezwykła zagadkowa postać opuściła, oddając na pastwę mych posępnych dumań.

X.

Nazajutrz, wczesnym rankiem zerwałem się z łóżka ogarnięty znów zupełnie żalem i rozpaczą za moim biednym, nieszczęśliwym Karolem. Bądź co bądź postanowiłem pójść na ów fatalny plac Portugalski, gnany konieczną potrzebą serca, niepewną jakąś nadzieją, że może jaką pomoc będę mógł dać skazańcowi, pokazać mu się, natchnąć go odwagą w ostatniej chwili życia. Jeżeli już ma umrzeć, mówiłem sobie, niechże umiera z odwagą, niech zawstydzi swych wrogów, którzy go publicznie oskarżają o tchórzostwo. Nie wątpiłem, że moja przytomność, jeżeli mi się uda zwrócić jego uwagę na siebie, będzie miła jego sercu. A przytem, taka już jest natura ludzka, miałem jakąś nieokreśloną, niejasną, mętną nadzieję, że może Bóg ześle cud jaki i ocali Karola i że moja obecność na placu kaźni przydać się na co może. Zapomniałem o grożącem mi niebezpieczeństwie, o tem, że policya z pewnością licznie zbierze się na miejscu stracenia i pilne mieć będzie oko na wszystko i wszystkich. O tem, powtarzam, wcale nie

myślałem, a jedynie zajęty byłem myślą przesłania ostatniego pożegnania memu dawnemu towarzyszowi broni. Ubrałem się spiesznie, nie chciałem pić kawy, przyniesionej mi przez poczciwą panią Franciszkę, i wyruszyłem do miasta.

Poranek, pamiętam, był chłodny i smutny; niebo pokryte ołowianemi chmurami i cała natura dyszała niewysłowioną melancholią, a może mnie się tak tylko zdawało, bo człowiek na wszystko zwykle patrzy przez pryzmat własnych uczuć i własnego usposobienia. Na ulicy dogoniła mię panna Adolfina, ubrana jak do wyjścia, ale z pewną prostotą i skromnością. Nie była urożowana, nie miała szminką podmalowanych oczów i jej blada, zmęczona, przedwcześnie podstarzała twarzyczka, nosiła na sobie piętno tego smutku, którym zdawała się oddychać cała natura. Ubrana była w zwykły swój kapelusz, bo zapewne innego nie miała, ale odpięła od niego pęk jaskrawych róż i liści, i zrobił się przeto skromniejszy jakiś, na sobie miała ciemną sukienkę i w ogóle wyglądała dość przyzwoicie.

Zbliżyła się do mnie z minką zaambarasowaną i rzekła:

— O! niech się pan nie lęka, ja z panem nie pójdę. Ja przecież wiem, że z taką jak ja kobietą porządny mężczyzna przez ulicę iść nie może. Ja chciałam panu powiedzieć, że i ja tam będę... na placu Portugalskim...

Patrzała na mnie swemi dużemi, przedwcześnie spłowiałemi, niegdyś zapewne bardzo ładnemi oczami, z widoczną obawą, bym jej nie zabronił iść na ten plac.

— A ty — mówiłem jej już »ty« — skąd wiesz o tem?

— O! ja wiem o wszystkiem... wiem, że to był pański przyjaciel... wiem wszystko i... niech się pan nie gniewa na mnie, nie mogę pana puścić samego. O! ja nie pójdę z panem, ja tylko zdaleka będę patrzała na pana. A może pan chce, żeby ten biedak widział pana, co? Panu się może zdaje, a i ja myślę, że to tak jest, iż lżej się umiera gdy się widzi koło siebie kogo z blizkich. Jeżeli pan chce, żeby on pana dostrzegł, to ja to zrobię.

— Jakim sposobem?

— O! widzę, że pan sobie tego życzy. No! niech pan będzie spokojny, już on pana zobaczy.

— Ale moje dziecko — rzekłem, biorąc ją za chudą rączynę — jakże ty to zrobisz?

— Jak? to już mój sekret, dość, że zrobię.

— Musisz mi powiedzieć. Bo przecież nie mogę pozwolić na to, byś się narażała dla mnie.

Spojrzała na mnie z pewnym wyrazem wyrzutu i psiego przywiązania.

— Pan wie, że gdyby mi pan kazał skoczyć do rzeki, skoczyłabym zaraz. Ale ja się wcale nie narażam. Co oni mogą zrobić takiej jak ja dziewczynie? Pan może myśli, że ja ich się boję? Wezmą mię i wsadzą do kozy! Wielka mi rzecz! zawsze się znajdzie jakiś głupi Józef, który za obietnicę... za uścisk... mię uwolni.

Zarumieniła się lekko, spuściła oczy i śmiać się poczęła głośno na całą ulicę, śmiechem widocznie udanym i sztucznym. Nagle wysunęła rękę, którą dotąd trzymałem i obejrzawszy się rzekła półgłosem:

— Niech pan już idzie, bo ta sekutnica szewcowa już łeb wyściubia przez bramę i strzela na nas złemi ślepiami. Gada po całym domu, że ja z panem romansuję... ja!

W tym wykrzykniku »ja«, było tyle bolu, tyle wzgardy dla samej siebie, że mimowoli wziąłem ją za obie rączyny i szepnąłem:

— Już idę, panno Adolfino... idę... ale muszę ci powiedzieć, że jesteś najlepszą, najserdeczniejszą na świecie dziewczyną.

Spojrzała na mnie szeroko rozwartemi oczami, a na jej bladych, zawiędłych usteczkach pojawił się smutny uśmiech. Wydobyła z moich swe ręce lekko, odwróciła się i odchodząc rzekła:

— Niech pan będzie spokojny, już ja to zrobię, że on pana zobaczy.

Poszedłem więc jeszcze smutniejszy niż wprzódy, jeszcze czarniejszemi, jak przedtem, trapiony myślami. Na ulicy Mareschalchi spostrzegłem ruch niezwykły. Szwadron karabinierów przeciągał przez nią wyciągniętym kłusem z brzękiem, trzaskiem i chrzęstem; mnóstwo algasilów kręciło się, ale za to przechodniów było niewielu i ci przemykali się chyłkiem. Smutek jakiś wiał z ulic, domów tego miasta nieszczęśliwego.

Na Madryckiem przedmieściu, do którego przytykał Plac Portugalski, ruch wojska był jeszcze większy. Co kilka kroków stali algasile, oficerowie, konne posterunki karabinierów i lekkiej kawaleryi. Na chwilę zastanowiłem się czy rozsądnem będzie z mej strony i krokiem puszczać się na tę ulicę, tak pełną algasilów i straży. Ale na szczęście ruch publiczności tu był znacznie zwiększony. Po chodnikach przesuwały się tłumy obojej płci, bodaj nawet czy kobiet nie było więcej, tłumy poważne, milczące, ponure, a wszystko to dążyło na Plac Portugalski. Łatwo mi było zginąć w tym tłumie, to też zanurzyłem się w niego i popychany rosnącą w miarę zbliżania się do miejsca kaźni, falą, znalazłem się wkrótce na onym fatalnym placu. Z boku od kolumny, wznoszącej się na nim, stał wbity w ziemię słup, otoczony z trzech stron szeregami piechoty, za którą czerniały głowy tysiąca zebranych tu osób. W całem tem zbiegowisku panowało martwe, posępne milczenie, niemy, rzekłbyś, protest, przeciw zbrodni mającej się tu dokonać. Mnóstwo wyższych oficerów, przybranych w swe paradne mundury, pełne złota, pióropuszy, orderów, konno i pieszo, kręciło się na wszystkie strony.

Starałem się przedostać przez zbite masy widzów jak najbliżej fatalnego słupa. Zajęło mi to bardzo dużo czasu i kosztowało mię wiele usiłowań, ale nakoniec dokonałem swego. Ale zaledwie umieściłem się tuż za szeregami, gdy cały tłum zakołysał się i rozległ się szmer głosów.

— Już jadą... jadą!

Podniosłem się na palcach i ujrzałem ponury czarny wóz, jak właśnie skręcał z Madryckiego Przedmieścia na plac.

Na wozie, tyłem do koni, na prostej ławce szarem suknem pokrytej, siedział mój biedny, mój nieszczęśliwy Karol Laskonogi. Głowę miał obnażoną, a jego bujne, kędzierzawe włosy jasne wiatr rozwiewał. Twarzy nie było widać, bo jak powiadam, siedział tyłem do mnie, ale postawa cała, ruchy, podniesienie głowy zdradzały niewzruszony spokój w tym dzielnym chłopcu. Obok niego z kapturem naciągnionym na głowę, umieścił się kapucyn z krzyżem w ręku i książką otwartą i coś szeptał do ucha skazańca...

Wóz przesuwał się wolno wśród szpaleru piechoty. Otaczała go gromada konnych karabinierów z dobytemi szablami i cały ten ponury aparat śmierci, błyszczący mundurami, hełmami, kitami, pełen chrzęstu i trzasku, robił straszne, przygnębiające wrażenie.

Gdy wóz zbliżał się do miejsca kaźni i właśnie niedaleko mnie przejeżdżał, nagle wśród mrocznej, ponurej ciszy, panującej w tłumie, gdzieś w pobliżu mnie ozwał się donośny, przenikliwy głos kobiecy, doskonale mi znany głos Adolfiny:

— Panie Karolu, spojrz tutaj!

Ten okrzyk, wśród panującej, ogólnej, martwej ciszy, rozległ się szeroko po placu i zwrócił także uwagę Karola. Podniósł swą głowę i oczy jego skierowały się w tę stronę, skąd krzyk go doszedł i z pewnym wyrazem cichej melancholii, ale niezakłóconego niczem spokoju, poczęły błądzić po kołyszących się ze wzruszenia głowach tłumu, szukając zapewne tej, która nań zawołała. Był blady, włos miał rozburzony, ale na tej jego dobrej, poczciwej twarzy rozlany był ten dawny, znany mi doskonale, dobrotliwy uśmiech pobłażania i wyższości ducha nad wszystkiemi nędzami ludzkiemi.

Widząc, że oczy jego błądzą po tłumie i szukają tylko kobiet, chcąc koniecznie, żeby mnie zobaczył, nie pomny na własne niebezpieczeństwo, mogące mi grozić od licznie zapewne rozrzuconych śród tłumu szpiegów, a jedynie zajęty myślą pokazania się Karolowi i dodania mu odwagi, zerwałem kapelusz z głowy i począłem nim potrząsać, wołając:

— Karolu! to ja! to ja!

Wzrok jego dotąd błądzący niepewnie po tem morzu głów, nagle zatrzymał się na mnie, zajaśniał radością. Podniósł się i skłonił lekko.

— Odwagi! — zawołałem — odwagi!

Wtedy on wyprostował się dumnie, wyciągnął rękę i głosem grzmiącym, wydobytym z całych piersi, zawołał:

— Obywatele! niech żyje Hiszpania!

Chciał coś dalej mówić, ale w tejże chwili oficer, jadący koło jego wozu, dał znak i dobosze uderzyli w bębny, które zagłuszyły głos biednego, ale dzielnego skazańca.

Trudno opisać, jakie olbrzymie wrażenie wywarła na tłum ta scena. Zakołysał się on cały i z tysiąca ust ozwał się głuchy, bolesny jęk, rzewna, bezsłowna, ale niewypowiedzianie bolesna skarga. W tejże chwili, jakaś ciężka ręka spadła z tyłu na moje ramię i ozwał się chrypliwy, surowy głos.

— Aresztuję pana!

W jednej chwili, niby błyskawica, przebiegła mi myśl o konsekwencyach mego dotychczasowego zachowania się, oraz o tem, że cała możliwość uratowania się od grożącego mi niebezpieczeństwa, polegała na tem, by aresztujący mię algasil nie widział mojej twarzy. Z przytomnością więc, cechującą mój charakter w takich chwilach, jak obecna, nie odwróciłem się wcale, ale szarpnąłem się moco i rzuciłem się naprzód między tłum. Jednocześnie prawie, tuż za mną, rozległ się piskliwy głos Adolfiny:

— Łapaj! trzymaj! ten człowiek mię okradł. Ach ty łotrze, ty zbóju! ty hyclu! — wrzeszczała dalej Adofina i widocznie rzuciła się na algasila i szarpać go poczęła, bo zrobiło się ogromne zamieszanie, dokoła mnie zakołysały się głowy, podniosły się ręce, przekleństwa, ciosy, jednem słowem zamęt nie do opisania. Ale nad tem wszystkiem brzmiał ponury odgłos bębnów, dudniących jakiś takt posępny.

Skorzystałem z tego i rozpierając się ramionami, prześlizgując się zręcznie między zwartym tłumem, udało mi się

odsunąć od miejsca gdzie algasil chciał mię aresztować o kilkanaście kroków, i tu przystanąwszy za grupą trzech czy czterech wysokich mężczyzn, uczułem się zupełnie bezpiecznym. Dopomogło mi do tego wiele powszechne zajęcie się wszystkich owemi przenikliwemi krzykami Adolfiny i zamęt jaki koło niej powstał. Karabinierzy, algasile, rzucili się także w tamtą stronę i upłynęło dość czasu, nim nakoniec jakiś porządek tam zaprowadzili i uciszyli wrzaski Adolfiny, której winien byłem moje ocalenie. Uczułem dla tej poczciwej dziewczyny wdzięczność głęboką; nie pierwszy to raz poświęciła się ona dla mnie, a poświęciła z narażeniem własnem.

Ale nie było czasu o tem myśleć, bo właśnie ponury wóz z delikwentem wjechał w środek batalionu i kat, ubrany w płaszcz czerwony, ze swemi pomocnikami, sprowadził Karola z wozu i przywiązywać go zaczął do słupa. W tłumie dotąd kołyszącym się, patrzącym w stronę wrzasków panny Adolfiny, szemrzącym jak wielkie wody, nagle zapanowała martwa cisza i te tysiące głów, tysiące oczów i serc nagle skamieniało...

Wtedy wystąpił na plac jakiś młody oficerek, ubrany w mundur audytoryatu polowego z miną obojętną i wymuskaną i rozwinąwszy duży arkusz papieru, gdy bębny umilkły począł głosem donośnym, na pół kobiecym, czytać wyrok... Trwało to dość długo, co już było widocznem pastwieniem się nad nieszczęśliwym skazańcem, przywiązanym do słupa. Ale mój dzielny Karol i tę próbę wytrzymał zwycięsko. Patrzyłem na niego i widziałem twarz ciągle spokojną, z lekkim, błąkającym się po ustach uśmiechem i ironią. Tak umierają tylko bohaterzy lub fanatycy idei.

Wreszcie skończyło się odczytywanie wyroku, którego nikt nie słuchał, i na skinienie udekorowanego bogato generała, wystąpił z szeregu pluton żołnierzy z porucznikiem na czele. Z plutonu tego wybiegł podoficer z chustką białą w ręku i chciał nią zawiązać oczy skazanemu. Ale Karol jak najenergiczniej oparł się temu i stał jeszcze bardziej wyprosto-

wany, jeszcze dumniejszy i pogardliwszy, z głową podniesioną, postawą niemal wyzywającą. W chwili gdy oficer zakomenderował plutonowi:

— Cel! pal!

Rozległ się też donośny okrzyk Karola: niech żyje Hiszpania!

Trafiony w serce, zlany krwią, zwalił się jak słup...

W tłumie zebranym zabrzmiał cichy, bolesny jęk, wiele kobiet z krzykiem przeraźliwym zemdlało, a ja... ja... przysiągłem sobie wtedy, że pomszczę się, pomszczę strasznie i bezlitośnie. Odtąd nie będę się powodował żadnemi romantycznemi względami; każdy z nich będzie mi wrogiem, i nikogo już z nich, jak Rosotempla na wolność nie wypuszczę. Każdy z nich zapłaci mi życiem za życie Karola, a pierwszym będzie jutro wielkorządca di Monti.

Jeżeli dotąd wahałem się we wzięciu udziału w tym zamachu, to teraz, gdy mi krwawy trup biednego Karola ciągle stał przed oczyma, a sumienie wyrzucało, że pośrednio ja się do tej śmierci przyczyniłem, z uwagi wreszcie, że Monti podpisał wyrok śmierci, postanowiłem zamachu tego dokonać, oddać mu nie pół duszy i pół serca, jak mię o to słusznie oskarżała pani Teresa, ale całego siebie, wszystkie me siły i wszystkie zdolności.

— Pomszczę się! — mówiłem sobie wracając wzburzony do głębi z placu kaźni — pomszczę się! krew za krew, oko za oko! Jutro panie Monti zapłacę ci za to!

XI.

Po skończonej egzekucyi szczęśliwie powróciłem do domu i zająłem się bardzo pilnie oględzinami, wręczonej mi przez panią Teresę, broni. Ponieważ teraz pragnąłem z całego serca zapłacić kulą Montiemu za śmierć Karola, więc zależało mi na tem bardzo wiele, bym broń znał i by strzał mój jutrzejszy był pewny.

Niestety! wypróbować dubeltówki w zwykły sposób, to jest strzelając z niej, nie mogłem, bez zwrócenia na siebie uwagi. Obejrzałem ją tylko starannie. Była to ładna, kosztowna, prawie nowa broń i zbadawszy ją bliżej, prawie pewny byłem, że ręka moja, kierowana gniewem i nienawiścią, jutro nie chybi. Tak byłem tem zajęty, tak stroskany i wzruszony tragiczną, ale zarazem bohaterską śmiercią Karola, którego trup krwią zlany i walący się jak snop na ziemię, ciągle mi stał przed oczyma, że zapomniałem zupełnie o pannie Adolfinie, która jeszcze raz ocaliła mi życie.

Wieczorem dopiero, gdym się nieco uspokoił, gdym odczytał krzepiącą mię modlitwę »w niebezpieczeństwie« i siedząc przy oknie i patrząc na niebo ciemno-lazurowe, pełne gwiazd, spokoju melancholijnej zadumy w sobie, gdym nakoniec rozpamiętywał wszystkie nowe wypadki dnia tego, nagle spostrzegłem wsuwającą się przez bramę na dziedziniec domu jakąś kobietę. Zdawało mi się, że to panna Adolfina. Ciemno już było i nie mogłem dobrze rozpoznać, czy to ona w istocie była, ale widok tej kobiety, przypomniał mi tę dobrą, poświęcającą się dziewczynę.

— Mój Boże! — szepnąłem — co się z nią stało!

Ale niebawem drzwi do kuchni roztworzyły się, dała się słyszeć rozmowa z panią Franciszkową i głos panny Adolfiny. Zerwałem się, chcąc tam pobiedz, ale już kroki jej rozległy się w zecerni i zaraz stanęła w moim pokoju, trochę zmęczona, zadyszana, chwytająca powietrze swemi choremi piersiami, ale z twarzą rozpromienioną, wesołą, uśmiechniętą.

— Otóż jestem! — zawołała na progu — pan może myślał, że oni mi co zrobili, figa malowana! Nawymyślałam im co się zmieści, i musieli mię puścić. Ha! ha! ha! to doprawdy taka komedya, że lepszej w teatrze nie pokazują.

Śmiała się swym wesołym, trochę za głośnym śmiechem, była podniecona mocno, rozgorączkowana i suchy, brzydki kaszel przerywał jej od czasu do czasu wybuchy tej nienaturalnej wesołości.

Gdy się nakoniec nieco uspokoiła, począłem się jej wypytywać jak się to wszystko odbyło, co się z nią działo, i jak się wydostała z rąk policyi.

— Jak! głupstwo. Ach, żeby pan wiedział, jacy to głupcy? Ha! ha! ha! nie mogę wstrzymać się od śmiechu, kiedy sobie o tem wszystkiem pomyślę. Pan wie, wzięli mię wtedy i nie byłam wcale, jak te łajdaki rozstrzeliwali biednego pana Karola. Nagadałam im też za to, że są zbóje, kaci, mordercy, no, co mi ślina do ust przyniosła, aż naczelnik mi powiedział: stul gębę, bo cię rózgami osiec każę. Rózgami! widzisz go! mnie... kobietę, bo chociaż ja teraz jestem nic warta, ale przecież zawsze kobieta, prawda panie?

— Prawda, panno Adolfino, i może lepsza od tych, które uchodzą za wzory cnoty.

Spojrzała na mnie, zarumieniła się lekko i rzekła:

— Ja tam nie wiem, jak jest, ale powiedziałam temu panu naczelnikowi: i pan ośmieliłbyś się mnie bić? czy pan nie miałeś nigdy matki? Mruknął coś pod nosem i zaczął mię wypytywać, jak to było. Ten dureń, co pana chciał aresztować, twierdził uparcie, że ja mu w tem przeszkodziłam, że zatem należę do spisku. Ach ty baranie jakiś! — zawołałam — jak ty możesz takie rzeczy gadać? czy ktokolwiek mający choć tyle rozumu co stołowe nogi, może przypuszczać, żeby taka jak ja kobieta należała do spisku? Zmięszał się, a ja powiadam: on mię okradł! miałam ładną, złotą szpilkę w kapeluszu, on mi ją wyciągnął. To jest złodziej, proszę go zrewidować, szpilkę mu odebrać i ukarać. Ha! ha! ha!

— Dopiero się zrobił galimatyas. Tak krzyczałam, wymyślałam wszystkim, że naczelnik nie mógł dojść do ładu i w końcu zniecierpliwiony powiedział: wyrzućcie mi tę djablicę za drzwi i niech mi się na oczy więcej nie pokazuje. Ach, jakże ja się uśmiałam. Wyrzucili mię i jestem zdrowa i cała, tylko trochę zmęczona.

Zakaszlała się znowu, na twarz jej wybiegł palący rumieniec, ale śmiała się ciągle. O to i owo jeszcze wypytywa-

łem się jej, a że w tej chwili miałem zajęty umysł jutrzejszym zamachem i w ogóle dniem jutrzejszym, którego nie przestawałem uważać za ostatni jeżeli nie życia, to wolności mojej, więc przyszło mi na myśl, że skoro panna Adolfina tak doskonale potrafi się wykręcać z rąk nieprzyjaciół i tak nic ich nie boi się, czy nie podjęłaby się najważniejszej i mojem zdaniem najniebezpieczniejszej czynności, to jest przeniesienia do domu Transpontich dubeltówki. Uważałem to bowiem za najważniejszą rzecz w jutrzejszym zamachu; jeżeli broni tam nie będzie, nie nastąpi strzał, który jeden ma pewną szansę, że dosięgnie wielkorządcę di Monti, zabójcę mego Karola; najniebezpieczniejszą zaś dlatego, że schwytanie mnie z bronią na ulicy (co przecież było bardzo możliwem) nietylko, że groziło mnie osobiście śmiercią, ale unicestwiłoby sam zamach. Karol nie będzie pomszczony i di Monti żyć będzie.

Powiedziałem więc poczciwej pannie Adolfinie o co mi idzie. Oczywiście doszedłem do tego kołując, zdaleka, mówiąc, że nietylko mnie ale krajowi całemu zależy na tem bardzo, by moją prośbę spełniła. Słuchała tego z początku z pewnym niepokojem, z oczami wpatrzonemi we mnie, a gdy się ostateczne dowiedziała czego od niej chcę, zawołała:

— Ach, to o to tylko idzie! trzebaż mi było odrazu powiedzieć, albo lepiej nie powiedzieć, lecz rozkazać. Czyż pan nie wie o tem, że ja jestem pańską sługą, niewolnicą... Wielka mi rzecz dubeltówkę przenieść. Niechno pan pokaże tę dubeltówkę.

Pokazałem jej, obejrzała ją, wsunęła pod chustkę dla próby i rzekła:

— Czy mam zaraz zanieść?

— Nie... jutro... razem pójdziemy.

— O której godzinie?

— Koło pierwszej w południe.

— Dobrze... ale razem nie pójdziemy. Pan się nie możesz narażać, a potem z taką jak ja... z przeproszeniem ladacznicą, porządny mężczyzna przez ulicę iść nie może. Jeszcze

czego, gdyby pana tak kto zobaczył... Już ja pójdę z daleka za panem i będę pana strzegła i miała oko na wszystko.

Oczywiście zgodziłem się na to, bo uwagi te wydawały mi się słusznemi i sprawiedliwemi i umówiliśmy się, że jutro w południe Adolfina gotowa do drogi, zjawi się u mnie. Teraz pożegnała mię uśmiechem, i jak niegdyś, zatrzymała się na progu i uchylając wdzięcznie i zalotnie główkę, szepnęła:

— No i cóż? czy pan nie pacałuje swej Adolfinki?

Skoczyłem by zadość uczynić jej prośbie, a gdym się ku niej nachylił, objęła mię obu rączynami i szepnęła do ucha:

— Czy mogę... czy wolno mi pana pocałować?

— Nie tylko wolno, ale proszę cię o to bardzo.

Przycisnęła rozpalone usta do moich chłodnych, niestety! policzków i zdawała się w namiętnym, gorącym pocałunku wylewać cały żar miotających nią uczuć. Potem nagle wypuściła mię ze swych objęć, odskoczyła i wybiegła jak szalona.

Biedna, dobra, poczciwa istota, mogąca być wzorem, ozdobą i krasą swej płci, rzucona losem na bezdroża życia społecznego.

Noc tę, poprzedzającą tak ważny czyn w mem życiu jak zamach na wielkorządcę kraju, przespałem bardzo źle i bardzo niespokojnie. Nie dlatego jednak, bym myślał o samym zamachu, bym się nim bardzo interesował, lub też czuł przed dniem jutrzejszym jakąkolwiek obawę. Nie! przeciwnie, na samą myśl o zamachu ogarniało mię uczucie błogiej radości, że nakoniec Bóg pozwoli mi pomścić Karola.

Nie z tych więc powodów nie spałem owej nocy, ale majaczyły mi się najrozmaitsze sny i widzenia gorączkujące i trapiące mię mocno. To śniło mi się, że widmo Karola z rozdartą od kul piersią, z zamkniętemi oczami i trupią twarzą, grymasem śmierci wykrzywioną, zjawia się tuż u mego łóżka, to znów Adolfina rozpływa się w jakieś upiorowate widmo, które mię w swoich uściskach udusić chciało. Za każdym razem po takim śnie budziłem się, potem zimnym zlany, a choć usypiałem znowu, jednak ten odpoczynek przerywany,

te widma i mary zdenerwowały mię mocno. Zły byłem na siebie, bo właśnie tego a nie innego dnia powinienem być spokojnym, wypoczętym, rękę i oko mieć pewne, ale cóż już mogłem poradzić na to.

Po śniadaniu, które mi, jak zwykle, pani Franciszkowa przyniosła i, jak zwykle, popatrzała na mnie poważnie i zawracając do drzwi przeżegnała, wydobyłem z ukrycia moją dubeltówkę i zabrałem się z wielką starannością do jej nabijania. Przeczyściłem obie lufy, obejrzałem jeszcze raz całą broń, spróbowałem czy kurek dobrze się spuszcza i w końcu nabiłem obie lufy siekańcami z ołowiu. Nabój dałem dobry, ale nie nazbyt wielki, bo lękałem się, żeby strzelba nie szarpnęła przy strzale zbyt mocno.

Ubrałem się, jak zwykle, i położywszy przed sobą zegarek, czekałem na nadejście fatalnej godziny. Czas upływał powoli. Dzień ten, piątek, pamiętam był prześliczny, jak gdyby jesień po długich deszczach chciała wynagrodzić za wszystko i przyodziała się w całą swą piękność. Niebo było czyste jak łza, głęboko lazurowe i melancholijne w swej roztoczy błękitu; słońce dogrzewało mocno i złociło czerniejące i żółknące już drzewa, jakaś cisza, spokój błogi i niczem niezakłócony leżał w tej półsennej, półżywej naturze, jakaś miękkość łagodna rozlewała się dokoła w jej półtonach i półblaskach.

— Nie dla mnie już, mówiłem sobie, patrząc na tę cudowną naturę, nie dla mnie już piękności przyrodzenia i może ostatni raz na nie patrzę.

Koło południa zjawiła się Adolfina, ubrana w swój wielki kapelusz z mnóstwem jaskrawych piór, w sukienkę jakąś jasną, wyróżowana jak zwykle, z oczami mocno podczernionemi, ale na to wszystko okryta jakimś szarym płaszczykiem, który całkiem jej postać otulał. Strój ten nie był bardzo właściwym w tak pięknym, jasnym i ciepłym dniu, sama to ona wiedziała, bo mi mówiła o tem, jakżeż inaczej mogła się ubrać. Musiała na siebie płaszcz zadziać, żeby broń pod nim ukryć.

— A zresztą, niech się dzieje co chce — kończyła — niech sobie tam ludzie myślą Bóg wie co o mnie, bylem ja swoje zrobiła. Prawda?

Uśmiechała się do mnie i patrzała mi w oczy, szukając w mojem wejrzeniu potwierdzenia jej słów. Wzięła nakoniec dubeltówkę owiniętą w papier, w duże arkusze dziennika urzędowego *Gazetta Universale* i obwiązaną sznurkami. Na pistony kapsli nie nałożyłem, schowałem całe ich pudełko do kieszeni, i dubeltówka, choć nabita mogła być bezpiecznie przeniesiona. Adolfina jednak miała co do tego pewną obawę, bo spytała:

— A nie wystrzeli ona, panie?

— Nie — odrzekłem.

Zaśmiała się głośno, machnęła rozpaczliwie ręką i biorąc za klamkę od drzwi, pół zwrócona do mnie i w tej pozycyi bardzo wdzięczna w swej postaci, rzekła:

— A niech wystrzeli i mnie zabije. Mała szkoda, krótki żal, o taką jak ja kobietę. Dziura się w niebie nie zrobi, jak jednej... takiej jak ja... nie będze. Ha! ha! ha!

I z tym nerwowym, sztucznym, krzykliwie głośnym śmiechem wyszła. Patrzałem jak przesuwała się przez podwórze ku bramie i zauważyłem, że broń doskonale była ukryta pod płaszczem, choć zawsze znać było, że Adolfina coś długiego niesie. Przeżegnałem ją, bo szczerze, serdecznie pragnąłem, by szczęśliwie i bez żadnej przeszkody doniosła strzelbę do domu hrabiów Transpontich na ulicy »Nova Amerika«.

Umówiliśmy się z panną Adolfiną, że ja za nią iść będę w niewielkiej odległości. Zarzuciłem tedy płaszcz na siebie, nacisnąłem kapelusz na głowę i wychodząc spojrzałem jeszcze raz na ten pokoik, który przez tyle dni dawał mi bezpieczne schronienie, w którym tyle chwil ciężkich przeżyłem. Byłem prawie pewny, że dziś już nie wrócę, ale miałem tę rezygnacyę i spokój jaki odznacza ludzi sfanatyzowanych jaką ideą.

Uważałem, że pani Franciszkowa, gdym z kuchni wychodził, krzyż nademną w powietrzu zrobiła.

XII.

Bez żadnej przygody, niezaczepiani przez nikogo, zupełnie szczęśliwie dostaliśmy się wraz z Adolfiną do wielkiej kamienicy Transpontich. Przez całą tę dość długą drogę z mego mieszkania, miałem dziewczynę o kilkanaście kroków przed sobą, nieraz drżałem o nią, bo strzelba pod okryciem rysowała się wyraźnie, a gdy przechodziła koło posterunków policyjnych, zdawało mi się, że wszyscy na nią patrzą i przytrzymają ją natychmiast. Ale, powtarzam, na szczęście nikt ani jej, ani mnie nie zaczepił i przybyliśmy cali i zdrowi do miejsca naszego przeznaczenia.

Dzień był ciągle gorący i cichy, ale zauważyłem, że na Przedmieściu Madryckiem ruch jest mniejszy niż zwykle i przechodnie byli dość rzadcy. Sama kamienica, z której spiskowcy mieli dokonać zamachu na wielkorządcę, był to duży gmach, silnie zbudowany, na cztery wznoszący się piętra, zaludniony bodaj czy nie przez parę tysięcy osób. Wszędzie też na schodach, na korytarzach spotykaliśmy mnóstwo wchodzących i schodzących mężczyzn i kobiet, tak, że nasze pojawienie się niczyjej nie mogło zwrócić uwagi... W całym domu zresztą panował spokój, noszący cechę codziennych zabiegów i codziennej pracy. Tu i ówdzie na korytarzu stały służące, z nagiemi po łokieć rękami i rozmawiały, komunikując sobie nawzajem plotki o państwach, tam na schodach, jakiś surdutowy pan z gołą głową, zapewnie służący lub stangret, złapawszy w przelocie jakąś Marysię, usiłował ją pocałować, a ona broniła się niebroniący i śmiech ich wesoły rozbrzmiewał się szeroko. Wszędzie był spokój, płynęła leniwie codzienna fala życia powszedniego, unosiło się nad tem wszystkiem pogodne niebo i nikt nie przypuszczał, że mężczyzna w kapeluszu naciśniętym na oczy, poprzedzany przez dziewczynę w dziwacznym płaszczu, niesie ze sobą burzę i pioruny, które ten spokój zakłócą, które tę cichą falę zamącą i wiele klęsk i ruin sprowadzą. I w rzeczy samej pnąc się po scho-

dach coraz wyżej, takie myśli mi przychodziły do głowy i żal mi było tych ludzi tak spokojnych, cichych i względnie szczęśliwych, ale żal mi także było mego Karola, za którego krew, krew popłynąć powinna i musi.

Na najwyższem piętrze, w długim, przyciemnionym nieco korytarzu Adolfina, dotąd ciągle mię poprzedzająca, zatrzymała się i rzekła:

— Nie wiem gdzie iść.

— Proszę za mną. Tu, przy tym korytarzu jest szereg pokoików pojedynczych, a każdy oznaczony jest osobnym na drzwiach numerem — mówiłem do Adolfiny, rozwodząc się już nie wiem dla czego nad rzeczą tak pospolitą. Ale na korytarzu było dość pusto, i głucho, i ciemno, i miło mi było słyszeć głos własny. Więc mówiłem dalej:

— Nam trzeba numeru szóstego. Jak panna zobaczysz ten numer, zapukaj śmiało do drzwi, a najlepiej wprost wejdź.

Szedłem obok niej i mówiłem to wszystko aby coś mówić, bo panująca tu pustka po ruchliwem życiu na ulicach i innych piętrach, dziwnie mię raziła i przygnębiająco na mnie działała. Nagle Adolfina, która nic się nie odzywała, tylko pilnie przyglądała się numerom na drzwiach, zatrzymała się i rzekła półszeptem:

— Proszę pana.

— Czego chcesz, Adolfino?

— Chciałam się zapytać, co będzie potem... niby, co pan ze sobą zrobi?

— Co ja ze sobą zrobię? Ha! ha! ha! raczej powinnaś powiedzieć co ze mną zrobią. Prawdopodobnie wezmą mię stąd i za kilka dni rozstrzelają jak nieszczęśliwego Karola.

— Głupstwo! — zawołała panna Adolfina — po co takie smutne myśli przypuszczać do głowy? I po co pan ma im sprawiać tę przyjemność, żeby dostali pana w swe ręce? Gdy im pan i inni umkną, to dopiero się będą wściekali, prawda?

— Zapewne... masz słuszność... ale czy zdołamy stąd umknąć?

— Jak tam inni nie wiem... ale co do pana, to już ja pana stąd wyratuję. O niech się pan nie śmieje. Ja znam ten dom jak własną kieszeń. Tu na tym piętrze zawsze akademicy mieszkali i ja do nich często przychodziłam kiedy byłam jeszcze młodszą i świeższą dziewczyną. Każdą dziurę, proszę pana, znam tutaj na wylot.

— Więc cóż? — zapytałem — bo przez osobliwszą reakcyę zachodzącą w moim umyśle, ta paplanina Adolfiny poczęła mię nudzić i drażnić, i jak wprzódy rad byłem rozmowie, tak teraz pragnąłem milczenia i ciszy.

— Nic, tylko... jak się to tam skończy... w tym pokoju, niech pan rzuca strzelbę i wypada na korytarz i zaraz kieruje się na lewo. Ja tam będę czekała, o... na zakręcie... jeżeli mię kto nie spędzi. Ale gdyby mię nie było, niech pan na to nie zważa, tylko biegnie na lewo. Na końcu korytarza napotka pan inne schody kuchenne... potem podwórze, ogrody, niech pan skacze przez mur i wyjdzie pan na ulicę sąsiednią... pan wie... tam jest ogród... należący do klasztoru... same są ogrody.

— Dobrze, Adolfino... dziękuję ci...

Odebrałem z jej rąk dubeltówkę i tak stałem z bronią w ręku na korytarzu na pół słuchając słów dziewczyny, na pół bujając myślą gdzieindziej i w tej chwili mając to jedyne pragnienie, by się pozbyć Adolfiny i potoków jej słów, które mię nadzwyczaj drażniły.

— Proszę pana — zawołała zatrzymując mię gwałtem, a jej spłowiałe oczy, ale zawsze jeszcze ładne, zajaśniały w półmroku korytarza gorączkowym blaskiem — proszę pana... czy pan dobrze spamiętał co ja powiedziałam? Na lewo prosto przed siebie... ja tam będę...

— Spamiętam i do widzenia.

Stałem już przed numerem szóstym i gdym drzwi otwierał zdawało mi się, że słyszę za sobą namiętne jakieś szlochanie i jęk jakiś...

Ale nie zważałem na to; całą moją uwagę zajął teraz pokój, do którego wszedłem i osoby w nim znajdujące się. Sam pokoik był niewielki, dość nizki, o dwóch oknach, obu otwartych na oścież, a że ulica w tem miejscu była dość wązka, więc trzask przejeżdżających powozów i dorożek, gwar życia wielkomiejskiego przepełniał tę izdebkę. Była ona pustą. W kącie tylko stało jakieś łóżko ordynaryjne, pokryte również ordynaryjnym siennikiem, z którego słoma, starta na proch, sypała się, zaścielając dokoła brudną podłogę, pełną papierów, i śmieci niezdecydowanego pochodzenia. W izdebce na łóżku siedział już pan Ricardo Vnento, rzucający dokoła dzikie spojrzenia, blady, prawie zielony, a garb na plecach zdawał mu się w tej pozycyi na pół zgiętej, jeszcze bardziej wystawać. Długie, cienkie nogi wisiały mu nad podłogą, a paznokcie namiętnie, zwyczajem swoim, ogryzał. Obok niego na ziemi leżał dobrze mi znany worek, z granatami Orsiniego.

W głębi, w kącie, obok okna stali dwaj bracia Crasci, i coś przytłumionym głosem ze sobą rozmawiali. Na twarzach ich znać było silne wzruszenie i w ogóle rozczochranymi włosami, dzikiem, mętnem wejrzeniem robili wrażenie upiorów nie z tego świata; wrażenie nadzwyczaj przykre. A przez okna otwarte wdzierał się do tej brudnej, przepełnionej atmosferą dręczącego niepokoju i oczekiwania izby, jasny, gorący promień słońca, kładł na podłogę, ślizgał po ścianach w niebieskie kwiatki malowanych i zdawał się nieść ze sobą radość życia, spokoju i ciszy. W promieniu tym unosiło się tysiące pyłków ścigających i kołyszących się na jego złocistych blaskach, świadczących o nieskończonem, niewzruszonem, zawsze jednakowem życiu natury. Z zewnątrz, z otwartego okna, nie wpadł nawet najlżejszy wietrzyk, któryby mógł zakłócić ten wir rojących się pyłów w promieniu słonecznem.

Gdym wszedł, wszyscy trzej obecni obejrzeli się na mnie z niepokojem, ale w niczem nie zmienili dotychczasowej swej pozycyi, ani też nie przywitali się ze mną. Bracia Crasci, obrzuciwszy mnie wzrokiem, dalej ciągnęli swą przytłumioną

rozmowę w kącie, a pan Ricardo Vnento przestał na chwilę ogryzać swe paznokcie, puścił długie nogi w ruch i z szyderskim na ustach uśmiechem szepnął:

— Witam obywatela porucznika. I pan z tą bro... bronią szedłeś przez miasto?

Nie widziałem potrzeby wtajemniczania go, kto niósł strzelbę, więc odrzekłem krótko:

— Tak!

— *Diable!* — syknął po francusku — mamy jeszcze szaleńców... mamy, uważa pan, Sam... Samsonów, którzy siłę swą tracą przy Dalillach.

Nie bardzo rozumiałem znaczenia tej biblijnej erudycyi i nie czas zresztą było na rozmyślania o tem, zwłaszcza, że pan Vnento przestał mówić, zamyślił się nad czemś i po dawnemu zaczął ogryzać paznokcie. Zapanowało poprzednie milczenie, mnie też chęć do rozmowy wcale nie brała. Siadłem na jakiemś połamanem krzesełku w kącie i patrzałem obojętnie przez otwarte okno na kawałek błękitnego nieba, które było stąd widać, i na parę białych, nikłych obłoczków leniwie po niem pływających. Cisza w izdebce była głucha, zwłaszcza, że i zewnątrz, na ulicy życie codzienne jakby powoli zamierało. Dziwna rzecz, czy wiedziano o gotujących się wypadkach, czy domyślano się tylko, dość że ulica pustoszała, coraz mniej na niej było przechodniów, coraz rzadziej ktoś przejeżdżał, coraz wyraźniej ruch ustawał.

Spojrzałem na zegarek, było wpół do trzeciej.

— Która godzina? — spytał Vnento, a gdym mu odpowiedział, rzekł:

— Ładnie by było, gdyby Ze... Zezowaty nie przyszedł. Uważa pan... żeby orga... organizator zamachu nie zjawił się. Naplółbym mu w ślepie...

Ale w tejże chwili na korytarzu rozległy się szybkie kroki, drzwi się otworzyły i wpadł przez nie Don Miguelo Zezowaty, ubrany w błyszczący na głowie cylinder, w jasne palto letnie, z którego kieszeni sterczała szyjka butelki, owi-

nięta w papier błękitny. Wpadł, drzwi za sobą zamknął starannie, spojrzał po nas i rzekł:

— Czołem... wszyscy są? to dobrze. Spóźniłem się trochę, ale jeszcze dość czasu... Do okna panowie i uważać na dany znak!

— Na jaki znak? — spytałem.

— Na przeciwnym chodniku w danej chwili ukaże się kobieta...

Przerwał, spojrzał na mnie swym brzydkim zwrokiem i zawołał wesoło:

— A prawda, pan ją znasz... wszystkie ładne kobiety za panem wzdychają... wiesz? Teresa... dla której, jak mi opowiadano, romantyczno-rycerską robiłeś wyprawę na kolei. Ha, ha, ha! i mówią, że w naszych czasach niema już poświęceń miłosnych...

Mówił to, wydobywając z kieszeni butelkę i odwijając ją ostrożnie z papieru.

— Co tam przyniosłeś? czy wi... wino? — spytał Ricardo Vnento.

— Nie .. roztwór fosforu.

— I tak publicznie niosłeś go przez miasto?

— Tak, cóż w tem dziwnego? O! Ricardo, jak ty mało masz jeszcze w sobie ducha i sprawności spiskowej. Toż to najlepszy sposób ukrycia czegoś nie ukrywając wcale. Rozumiesz to, tępa głowo?

Przybycie Don Miguela wniosło w nasze mroczne, niespokojne, niepewnością i oczekiwaniem znużone koło, pewne ożywienie, pewną atmosferę wesołości i obojętności. Wszyscy poczęli się uśmiechać, mówić głośno i żartować.

— Do okien! do okien! — wołał Don Miguelo — Teresa, co mówię! boska Teresa, lada chwila może się pojawić jak duch Banka...

— Nie szcze... nie szczególne porównanie — mruknął na to Ricardo — już to Miguelu lepiej daj, uważasz, pokój erudycyi literackiej, bo ta cię, uważasz, zawsze zawiedzie.

Nec sutor ultra crepidem, ale ty i po łacinie nie rozumiesz i co z tobą, uważasz, o tem gadać...

— Oczywiście — odciął się Don Miguelo — na księdza nie uczyłem się, do seminaryum nie chodziłem, nie wypędzono mię stamtąd za to, że zamiast śpiewać *miserere*, strzelałem oczami do ładnych kobiet. Ale dość tego. Do okien, panowie, do okien! Już trzecia godzina, lada chwila wielkorządca będzie powracał ze swej codziennej przejażdżki, dla konkoncyi żołądka czynionej. *Quasimodo*... przepraszam... chciałem powiedzieć: Ricardo! czegoż czekasz? marsz do okna i przygotuj swe granaty. Tobie przypada lwia część zadania, na tobie spoczywają jedynie nadzieje, bo ani w strzelbę, ani w fosfor, ani w nic innego nie wierzę. Obywatele Crasci, bierzcie po jednym granacie!

Ubodła mię, w ten sposób wypowiedziana, wątpliwość w celność moich strzałów.

— Czy pan sądzisz, że chybię? — spytałem.

— Nic nie sądzę, ale obywatelu, żebyś strzelał nawet jak anioł, jeżeli anioły strzelają, to możesz chybić... do człowieka nie strzela się jak do celu, a przytem di Monti nie zrobi nam tej przyjemności, by jechał noga za nogą... No! wszystko gotowe? Trzecia godzina... co u djabła, pani Teresy nie widać i nic nie słychać...

Wychylił się przez okno, żeby spojrzeć na ulicę i między nami, umieszczonymi przy tychże oknach zapanowało znowu milczenie pełnie dreszczów tajemnych i dręczącego niepokoju oczekiwania. Stanąłem przy oknie wsparty na mej strzelbie, na brandki której starannie nałożyłem kapiszony i patrzałem na ulicę, prawie pustą.

Nagle po drugiej stronie ulicy na przeciwnym chodniku coś mi zamajaczyło. Tak, nie myliłem się, stała tam, wprost naszych okien pani Teresa. Jak zawsze ubrana była skromnie i ciemno, w małym kapelusiku miejskim na swych przepysznych jasnych włosach, które złocistym blaskiem pod słońce świeciły, wyprostowana, zgrabna, zręczna, pełna majestatu

w swych ruchach. Stała i patrzała w górę i zdawała się szukać oczami naszych okien.

— Otóż i pani Teresa! — szepnąłem.

— Gdzie? gdzie? — zapytali wszyscy, wychylając się niespokojnie i gorączkowo.

Ale spostrzegli ją zaraz, i ona ich spostrzegła. Nagle podniosła rękę do góry, w której trzymała chustkę, poruszyła nią parę razy, jeszcze raz rzuciła za siebie okiem wstecz i na nas i krokiem wolnym znikła nam z oczu. Zdala, po bruku dudniał już powóz i rozlegał się donośny tentent pędzących kilkunastu koni.

Don Miguelo chwycił butelkę z roztworem fosforu i począł ją gorączkowo, szybko odkorkowywać. Szło mu to niesporo, ręce mu drżały, ale nakoniec zadanie to, widocznie bardzo w tej chwili trudne, spełnił i z butelki unosić się począł biały dymek i zapach charakterystyczny. Wyprostował się, spojrzał po nas i zapytał. — Wszyscy gotowi?

Byliśmy gotowi. Staliśmy przy oknach, ja z ręką na cynglu mej strzelby spokojny, milczący, poważny; obok mnie Ricardo Vnento z dwoma granatami w rękach, trochę blady na twarzy i błądzący swemi oczami gdzieś po dachach wysokiego domu naprzeciwko. Jak się obaj Crasci przy drugiem oknie zachowywali nie wiem, bom na nich nie patrzał, słyszałem tylko jak ciągle szeptali coś między sobą.

Z ulicy coraz wyraźniej dochodził turkot pędzącego wyciągniętym kłusem powozu i tentent jeźdźców. Cała ta kawalkada jechała z trzaskiem po kamiennym bruku, z brzękiem i turkotem. Wychyliłem się nieco przez okno i ujrzałem wielkorządcę di Monti z adjutantem, siedzącego w otwartym powozie, w płaszczu lekko na ramiona narzuconym, a za nim pędziła konna straż jego przyboczna.

Przypomniał mi się nieszczęsny Karol Laskonogi, jego śmierć bohaterska i znowu w sercu mojem zapaliło się zarzewie zemsty, przyłożyłem strzelbę do oka, wymierzyłem i... strzał padł.

Przez szarą mgłę rozpływającego się dymu spojrzałem na ulicę i ujrzałem pędzącego dalej wielkorządcę, wśród tententu koni spinających się pod jeźdźcami, wśród wrzawy straszliwej. Widzenie to trwało mniej niż jedną dziesiątą sekundy, gdyż przekonawszy się o tem żem chybił, przyłożyłem strzelbę po raz drugi do oka i nic nie widząc prócz głowy wielkorządcy, o niczem innem nie myśląc, tylko o tem żeby go zabić, wymierzyłem i w chwili gdym ciągnął za cyngiel, ktoś mię gwałtownie potrącił. Strzał padł, ale najprzód huk jego zginął wśród innego o wiele donioślejszego i straszliwszego huku, a następnie byłem pewny, że i tym razem chybiłem.

Tym, który mię potrącił był Ricardo Vnento; niech go piekło pochłonie tego garbusa, tego erudytę biblijnego! Dla rzucenia swych granatów wychylił się także z okna i wtedy mię trącił. Granaty jego i braci Crasci padły na bruk kamienny i z hukiem i trzaskiem straszliwym popękały.

Ale mnie to już bardzo mało obchodziło. Byłem pewny, żem oba razy chybił. Przejęty wstydem, gniewem, wściekłością, rzuciłem na ziemię nieszczęsną dubeltówkę, nacisnąłem kapelusz na oczy i pierwszy wyszedłem z tego fatalnego pokoju. Pamiętam, że w owej chwili o niczem innem nie myślałem, niczem nie byłem zajęty, tylko pytaniem, które mię niesłychanie dręczyło: jak się to stało, że ja chybiłem? i dlaczego chybiłem?

Tak mię pytanie to pochłonęło wyłącznie, że zapomniałem o radzie Adolfiny i zamiast na długim i ciemnym korytarzu skręcić na lewo, jak to ona tego żądała, poszedłem na prawo i stąpałem wolno, z głową spuszczoną, zamyślony głęboko, przypominający sobie wszystkie fazy zamachu. Ale nie uszedłem i dziesięciu kroków, gdy rozległy się za mną szybkie i lekkie stąpania i szelest sukni kobiecej. Adolfina zdyszana mocno, chwytająca gwałtownie powietrze piersiami, dopadła do mnie i zatrzymując mnie, wołała!

— Nie tędy! nie tędy. Za mną! spiesz się pan na rany Chrystusa! Czy pan nie słyszysz?

Ocknąłem się z mojej zadumy. Straszliwa wrzawa w całym domu panowała, jakiś chaos, krzyki, zamęt trudny do określenia. W tejże chwili drzwi od pokoju, w którym zostawiłem moich współtowarzyszy roztworzyły się gwałtownie i wszyscy w szalonym pędzie rzucili się na lewo, na owe boczne schody kuchenne. Słychać było jak biegli przez korytarz, który ciasny i wązki dudniał pod nogami czterech mężczyzn rozgłośnie.

Nie było w istocie czego tu czekać. Teraz dopiero zrozumiałem niebezpieczeństwo. Jeżeli dobrze nie użyję pozostałych mi kilku chwil, przepadłem. Należało się przecież spodziewać, że mógł mnie ktokolwiek zatrzymać, a dostać się w ręce mych nieprzyjaciół w sposób tak głupi, nie chciałem, nie dlatego, bym się bał śmierci, ale dlatego, że nie życzyłem sobie sprawiać im przyjemności i satysfakcyi. Adolfina przytem nalegała na mnie, nerwowym ruchem ciągnęła mię gwałtownie za płaszcz, nagliła, wołała ciągle z tonem nieopisanej grozy w głosie.

— Prędzej! prędzej na rany Boskie!

Biegliśmy też jak szaleni, dopadliśmy do schodów, które tętniały już odgłosem zbiegających po nich moich czterech towarzyszy. Schody były wązkie, jednakże Adolfina, poprzedzająca mnie i pokazująca mi niejako drogę, przeskakiwała po dwa, po trzy i ciągle, nieustannie na mnie wołała:

— Prędzej! spiesz się pan, spiesz!

Na szczęście na tych wązkich, ciasnych schodach, nikogo nie spotkaliśmy, ktoby nam drogę zagrodził, przeszkodził, lub opóźnił ucieczkę. Na drugiem piętrze stało tylko przy drzwiach, prowadzących do kuchni, jakieś dziecko, dziewczynka może pięcioletnia i z wyrazem trwogi w swych jasnych, jak bławatki niebieskich oczach, patrzała na pędzącą gromadę mężczyzn. Tak bowiem z Adolfiną biegliśmy szybko, żeśmy dogonili uciekających czterech moich towarzyszy. Na samym końcu skakał po schodach Ricardo Vnento, któremu garb widać przeszkadzał do ucieczki, i choć śmiertelne nad nim wi-

siało niebezpieczeństwo, gdy mię i Adolfinę spostrzegł, nie zapomniał swej biblijnej erudycyi.

— O! — syknął swoim skrzeczącym głosem — Samson i Dalilla! Taki to ma zawsze, uważasz, szczęście. Kobiety ci do niego lgną, jak muchy do miodu, strzegą jak oka w głowie. Niech to biblijny Lewiatan porwie! Ale też uciekamy, jak Filistyni. No cóż, mości poruczniku, chybiłeś? chybiłeś jak prosty, uważasz, śmiertelnik; tyran, nowy Ahaswer żyje i Baltazarowe znaki się nie sprawdziły. Psu na budę tacy strzelcy się nie zdali.

Skrzeczał tam coś jeszcze, ale już nie słyszałem, bo nakoniec zbiegliśmy ze schodów i znaleźliśmy się na dole na dziedzińcu, przez który w paru skokach przesadziliśmy i znaleźliśmy się w ogrodzie. Tu Adolfina schwyciła mię za rękę, gdym za innymi chciał skręcić na lewo.

— Nie chodź pan tam, chodź pan za mną, tu jest daleko bezpieczniej.

Jakoż, ślepo posłuszny tej dziewczynie, pobiegłem za nią; przez dość nizki mur, który Adolfina ze zręcznością kotki przeskoczyła, przedostałem się prędko do drugiego, klasztornego ogrodu. Stąd, gdzie dziwna rzecz, nikogo nie spotkaliśmy, znowu przez mur, znacznie wyższy, który nam drogę zagrodził, musieliśmy się przeprawiać. Po wrzawie dotychczasowej, po strasznym zamęcie i trzasku, otoczyła nas tu, w tym drzemiącym pod jesiennem słońcem, ogrodzie, zupełna cisza. Adolfina zatrzymała się przy murze, przycisnęła rękami swe piersi, gwałtownie podnoszące się i opadające, odetchnęła głęboko i patrząc mi w oczy, rzekła:

— Niech pan wdrapie się wprzódy i ucieka.

— A ty? przecież cię zostawić nie mogę.

— Niech się pan o mnie nie boi, ja tu nie zostanę. Jak pan przejdzie to mi rękę poda i koniec. Ale niech pan nie stoi, niech pan czasu nie traci!

Dziwna rzecz, ta kobieta, kurtyzana niby bezwstydna, wobec mnie była najczystszą i najwstydliwszą, nie chciała

pierwsza przez mur przechodzić dla niczego innego, tylko dlatego. Wdrapałem się więc na mur, bo w rzeczy samej czasu nie można było tracić; znajdowaliśmy się w obcym i do tego, w klasztornym ogrodzie, lada chwila mógł nas kto zobaczyć, narobić krzyku i sprowadzić wcale niepożądanych dla mnie teraz gości.

Ale przedostaliśmy się szczęśliwie z Adolfiną przez mur, i znaleźliśmy się na podwórzu jakiegoś domu, przez który przeszedłszy, wyszliśmy na ulicę. Tu widocznie odgłos zamachu już doszedł, bo widać było pewien niepokój, przechodnie spieszyli się, szeptali między sobą, a nawet dojrzałem pędzącego zdala wyciągniętym kłusem karabiniera. Wszystko to kazało nam jaknajspieszniej stąd oddalić się, co też uczyniliśmy. Adolfina, trzymając się swej zasady, że mężczyzna porządny nie powinien z taką, jak ona, kobietą pokazywać się na ulicy, nigdy nie tracąca przytomności, puściła mię przed siebie i zdala szła za mną. Przyspieszyłem kroku i w pół godziny potem znalazłem się cały i bezpieczny w mem cichem schronieniu przy ulicy Dora, gdzie w kuchni pani Franciszka przyjęła mię milczącem uściśnieniem dłoni i krzyżem zrobionym na mem czole.

XIII.

Resztę tego dnia, tak pamiętnego w mem życiu, przepędziłem nie tyle może w wielkim niepokoju, ile niezadowoleniu ze siebie. Przedewszystkiem gryzło mię to, że chybiłem, ja, com się chlubił z celności mych strzałów, com jaskółki kulami w locie strącał. To poczucie niezadowolenia zmieniło się w ciężką zgryzotę, gdy późnym wieczorem Adolfina przyniosła mi Hiobowe zaiste wieści o skutkach zamachu...

Wszystko to tak mię zmartwiło, tak mi obrzydziło Bilbao, że depełniwszy tego com przyrzekł, postanowiłem nie zwlekać ani chwili, tylko uciec stąd jak najprędzej do moich szeregów, do mych towarzyszy boju, do otwartej i rycerskiej

walki z wrogiem. Na wspomnienie wszystkich panów Białych, Miguelów Zezowatych, Ludwików Okularników i Ricardów Vnentów, obrzydzenie mię brało i żałowałem ciężko, żem się dał nawówić do podróży do Bilbao, do pobytu tutaj, okupionego tak ciężką, tak bolesną ofiarą, jaką była śmierć mego biednego Karola i tyle nieszczęść, tyle nieszczęść!... Gdyby nie to, że nie mogłem tak opuścić Józefiny, że nie mogłem zostawić tutaj mego Burczymuchy, byłbym natychmiast uciekał. Ale trzeba było porozumieć się z pierwszą i z drugim, i uciekać już razem.

W tym celu nazajutrz rano wysłałem Adolfinę z liścikiem do żony kapitana Rosotempla. Prosiłem Józefiny, by mi doniosła kiedy i w jaki sposób uciekać możemy, gdzie mamy się zejść i którędy opuścić, bardzo pilnie strzeżone, Bilbao. Adolfina po załatwieniu się z Józefiną i po otrzymaniu od niej odpowiedzi, miała udać się do Burczymuchy i sprowadzić go do mnie. Stąd już razem mieliśmy puścić się w drogę.

Poczciwa ta dziewczyna, z tem poświęceniem bezgranicznem, jakiego mi tyle dała dowodów, a które mogło mieć źródło tylko w głębokiem uczuciu, dla mnie żywionem i niestety! niepodzielanem, wyruszyła do Józefiny, zapewniając mię, że zrobi wszystko co tylko będzie mogła, i że w każdym razie w tym dniu będę miał pewne wiadomości. Pozostałem sam dręczony nadzwyczajnym niepokojem, pełen najgorszych przeczuć, smutny nieskończenie, do czego niewątpliwie przyczyniały się bardzo wiele opłakane wieści, jakie mi przyniosła z miasta najprzód pani Franciszka, potem urzędowa *Gazetta Universale*, donosząca w krótkich, ale zjadliwych słowach o wczorajszym zamachu, że »wprawdzie złoczyńcy, zapewne wspierani przez źle myślących mieszkańców, zdołali zbiedz, ale władza jest już na ich tropie i zasłużona kara ich nie minie«.

Wreszcie wieści te znalazły potwierdzenie w tem, co opowiedzieli zecerzy, przybyli do składania rewolucyjnego pisma, mocno przerażeni i zestrachani tak, że pobywszy chwilę i pogadawszy ze mną, pod błahym pozorem wynieśli się

i więcej się tego dnia a zapewne i później nie pokazali. W takich warunkach mijały godziny za godzinami z jednostajnością nużącą i denerwującą mię niesłychanie. Siedziałem ciągle w oknie, wychodzącem na podwórze, skąd mogłem widzieć bramę i wypatrywałem oczy, by ujrzeć powracającą Adolfinę. Ale czas powoli upływał, nadszedł wieczór i noc, a mej posłanniczki nie było widać. Co się ze mną działo, łatwo zrozumieć. Gdy noc zapadła, poczekałem jeszcze parę godzin, wreszcie zeszedłem na dół do matki i siostry Adolfiny, by się zapytać o nią. Ale niegodziwe kobiety roześmiały mi się w oczy. Panna Julia, znacznie starsza od Adolfiny, brzydka, wymalowana, wystrojona jaskrawo, ruszyła ramionami i rzekła.

— O Adolfinę pan się obawia? pyta pan gdzie ona jest? Czy ja wiem? Zapewne została u kogo na noc i jutro rano wróci. Czyż jej to pierwszyzna?

Niestety! wiedziałem, że jest inaczej, bo jeżeli moja dzielna Adolfina dotąd nie wróciła, to dlatego, że musiało się jej jakieś nieszczęście przytrafić. Wróciłem do siebie, bo po nocy wszelkie wycieczki na miasto były bardzo niebezpieczne, gdyż jak mię zapewniali zecerzy, karabinierzy chwytali na ulicach nieomal każdego mężczyznę i poddawali ścisłej rewizyi i badaniu. Byłoby więc wierutnem głupstwem narażenie się na coś podobnego, zwłaszcza, że Adolfina mogła lada chwila wrócić. Zostałem więc i przepędziłem jedną z najstraszniejszych, najprzykrzejszych nocy w mem życiu. Nad ranem dopiero zasnąłem trochę i tak mocno, że się obudziłem około godziny dziesiątej. Zerwałem się na równe nogi i pierwszem mojem pytaniem było, czy Adolfina wróciła? Niestety! nie było jej jeszcze.

Teraz nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że biednej dziewczynie przytrafiło się jakieś nieszczęście, i że zwlekać nie mogłem ani chwili. Trzeba było udać się do miasta i dowiedzieć się czegoś. Starałem się opanować moje wzburzenie i mój niepokój i chłodno rzecz rozpatrzyć. Udało mi się to, i w końcu postanowiłem, po dojrzałym namyśle, udać

się najprzód do Burczymuchy i dowiedzieć się czy u niego Adolfina była wczoraj. Jeżeli była, to znaczy, że sprawę Józefiny szczęśliwie załatwiła, i że powracając od Burczymuchy coś jej się przytrafiło, coś co nie pozwoliło jej wrócić ani wczoraj, ani dziś rano do domu, ale co jest zapewne rzeczą bardzo groźną. Jeżeli zaś wcale nie była u Burczymuchy, na ulicy Negro, to znaczy, że katastrofa jakaś straszna zaszła z Adolfiną i zaszła nie gdzieindziej, tylko w domu kapitana Rosotempla.

Była godzina piąta popołudniu, gdym ten zamiar mój niezwłocznie postanowił wykonać, co nie należało do rzeczy łatwej, a nadewszystko bezpiecznej. Ulica Negro leżała nad samą rzeką i trzeba było przejść przez miasto znaczną przestrzeń, co wobec zdwojonej przez ostatnie wypadki czujności policyi, było bardzo ryzykownem. Ale nie miałem innego wyboru; paliła mię gorączka niepokoju i chęć wydostania się za jaką bądź cenę z murów tego krwawego miasta.

Dnie były wtedy ładne, ciepłe, słoneczne i dlatego wahałem się, czy wziąć płaszcz, co dość śmiesznie wyglądało w czasie pogody, czy też czekać do wieczora. Ale nie byłem w stanie czekać, wszystkie nerwy moje działały jak naciągnięte do najwyższego tonu struny na skrzypcach; gdybym był siedział samotny, z mojemi tylko myślami w czterech ścianach mej izby, byłbym oszalał.

Nadziałem więc na siebie kapelusz, okryłem się płaszczem, schowałem do kieszeni rewolwer i już wychodziłem, gdy w kuchni pani Franciszkowej zdybałem się z panem Suminim. Dawno go nie widziałem, zapomniałem o nim zupełnie, porwany wirem innych wypadków i innych ludzi. Pan Sumini stał w kuchni, ubrany w lśniący, modny cylinder, w suknie letnie, strojne i eleganckie, na rękach miał jasnożółtego koloru rękawiczki i laseczkę ze srebrną gałką w ręku. W swych binoklach na nosie, ze swemi lordowskiemi fawo-rytami, twarzą silnie zaakcentowaną, jakby jastrzębią, ustami wązkiemi i stalowemi oczami, wyglądającemi z poza binokli,

robił wrażenie wielkiego pana, włóczącego się bez celu po bruku miejskim.

— Jak się masz poruczniku — rzekł do mnie, wyciągając rękę — wróć się do siebie, mam do ciebie interes.

Nie bardzo mi się to podobało, bo najprzód pożerany niecierpliwością i niepokojem, pragnąłem jak najprędzej wydostać się na ulicę Negro, a potem byłem prawie pewny, że strojny i wykwintny pan Sumini, przyszedł do mnie z jakiemś nowem poleceniem.

Dość więc chłodno i niechętnie poprosiłem gościa do swej izdebki, gdzie wszedł, kapelusza wcale nie zdjął, nieproszony siadł na krzesełku wygodnie, jakby się zabierał do dłuższej pogawędki i rzekł:

— Mam rozkaz pułkownika Fidebona do zakomunikowania panu.

— Jakiż to rozkaz?

— Żebyś dziś o godzinie siódmej wieczorem stawił się na ulicy di Smola, w mieszkaniu pani Rocric.

— O siódmej? — zawołałem — nie wiem, może nie będę mógł.

Uwagi tej mojej pan Sumini nie podniósł; gryzł główkę swej laseczki i mówił dalej, patrząc w okno, jakby moich słów nie słyszał:

— Poleca się panu, abyś dorożką przyjechał, bo piechotą teraz niebezpiecznie jest chodzić.

Mówił to wszystko obojętnie, chłodno, zapatrzony gdzieś na błękitne niebo, widne przez okno, ale teraz ni stąd ni z owąd ożywił się, poprawił na krześle, spojrzał na mnie i rzekł z właściwym sobie szyderskim uśmiechem:

— A muszę panu powiedzieć, że życie jego i wolność ma dla nas wysoką wartość i cenić je umiemy.

— Dziękuję za to, ale...

— Jeszcze słówko, przerwał mi — hasło dzisiejsze jest: »nie traćmy nadziei«.

To rzekłszy, powstał szybko, kiwnął mi głową i rzekł:

— Czekamy pana!

Podszedł parę kroków, lecz u drzwi się zatrzymał i po krótkim, widocznym namyśle, głosem przytłumionym syknął, bo nie powiedział:

— Pan, panie poruczniku, brałeś udział w ostatnim zamachu?

— Brałem — odrzekłem otwarcie.

— To źle, to bardzo źle. Myśmy pana nie na to sprowadzili z obozu, byś stał się narzędziem w ręku stronnictwa wywrotu. Ale o tem potem. Teraz zalecam panu punktualność w wykonaniu rozkazu pułkownika Fidebona. Pozdrowienie i braterstwo!

Kiwnął głową jeszcze raz i wyszedł, zostawiając mnie zdumionego swą wizytą, rozkazem i napomnieniem. Stronnictwo wywrotu! ja się stałem narzędziem w ręku stronnictwa wywrotu! Nic z tego nie rozumiem i niech to wszyscy djabli porwą!

Pan Sumini widocznie odjechał dorożką, bo dał się słyszeć turkot kół i ja, nie zastanawiając się dłużej nad tem co mi gość powiedział, zajęty jedynie mojemi zamiarami, zły, niezadowolony ze siebie, niespokojny nadzwyczajnie, wyszedłem także. Była teraz godzina piąta, miałem więc dość czasu, by pójść najprzód do Burczymuchy, a potem na ulicę di Smola. Rada jeżdżenia dorożką wydała mi się dobrą, ale wyszedłszy na ulicę, niestety! nigdzie żadnego wehikułu dostrzedz nie mogłem.

Ulica była pustą i cichą. Naprzeciwko, na placu zarosłym trawą, siedziało kilka kobiet z dziećmi, korzystając widocznie z ostatnich ciepłych blasków jesiennego słońca. Wielkie nici babiego lata włóczyły się po powietrzu, zawieszały długą, białą przędzę u kilku suchotniczych, starych lip, rosnących po bokach tej odludnej, sennej, drzemiącej w ciszy popołudniowej, uliczki. Przechodniów prawie nie było; nieopodal tylko pod domami i parkanami, pchał przed sobą wózek z kołem szlifierz uliczny i od czasu do czasu uderzał młot-

kiem w żelazną płytkę, wołając głosem nadzwyczaj przenikliwym i krzykliwym.

— Ostrzę noże, nożyczki, scyzoryki!

Odgłos uderzanej płyty zelaznej rozchodził się daleko w ciszy popołudniowej, zresztą było pusto i głucho. Czasem dochodził śmiech wesoły kobiet, bawiących się z dziećmi, a zdala stłumione szum wielkiego miasta tworzył zwykłe tło tego sielankowego milczenia ulicy Dora.

Uspokojony zupełnie, że dokoła niema nic podejrzanego, i że nikt mnie nie śledzi, ruszyłem krokiem żwawym naprzód. W chwili gdy wyszedłszy z bramy, rozglądałem się po ulicy, szlifierz dotąd idący po przeciwnej stronie, przeszedł leniwie i wolno na chodnik, którym ja się puściłem, tak, że musiałem się z nim skrzyżować. Pokornie usunął się przedemną na trotuarze wązkim pod parkan i bacznie mi się, gdym przechodził, przypatrywał, a nawet mię zaczepił słowami:

— Może pan ma co do ostrzenia?

— Nie mam nic — odrzekłem i poszedłem dalej, nie przywiązując żadnej wagi do tego spotkania.

Ale zagłębiwszy się w ulicę Dora, tam gdzie już ona staje się coraz ruchliwszą, przy wylocie na ulicę Mareschalchi, przywykły w tem wielkiem mieście, jak dziki Indyanin w puszczach Ameryki do baczenia na wszystko, zatrzymałem się na chwilę i rzuciłem okiem za siebie. Jakżem się zdziwił ujrzawszy mego szlifierza, jak w odległości może dziesięciu kroków toczy po bruku za mną swój warsztacik. Zastanowiło mię to nieco, ale mógł być prosty wypadek; tam gdzie ja mieszkałem, wśród pustych placów i ogrodów, szlifierz nie miał nic do roboty i słusznie uczynił, że wracał do ludniejszej i ruchliwszej części miasta. Wszakże jedna rzecz mi się nie podobała. Przez cały czas gdy szedł on za mną, przez całą długość ulicy Dora, szlifierz mój ani razu nie zadzwonił w swój przyrząd, ani razu nie zawołał, że ostrzy noże, nożyczki i scyzoryki. Wszystko to jednak mogło być dziełem prostego przypadku, a mogło być i inaczej. Postanowiłem więc

w każdym razie mieć na oku szlifierza a zarazem ile możności przyspieszyć kroku.

Na ulicy Mareschalchi, na którą skręciłem, ruch był bardzo ożywiony, zwłaszcza o tej porze i przy tak pięknej, cichej pogodzie. Mnóstwo kobiet, bogato i modnie wystrojonych, dzieci, mężczyzn kręciło się i przewijało po chodnikach, tak, że częstokroć trudno się było przecisnąć; środek zaś ulicy zajęty był przez całe szeregi dorożek, powozów, wszelkiego rodzaju wehikułów, które z trzaskiem i turkotem pędziły. Patrząc na to wszystko i przewijając się wśród tego różnobarwnego tłumu, mówiłem sobie:

— Jeżeli mój szlifierz jest szpiegiem, to głupie sobie wybrał rzemiosło. Ciągnąć za sobą warsztat w takim tłumie! W takich warunkach nie sztuka umknąć!

Uszedłszy ulicą Mareschalchi kilkanaście kroków i umyślnie mieszając się między tłum, nagle pod pozorem przejścia na drugą stronę ulicy, zatrzymałem się i rzuciłem okiem za siebie. Ale nie potrzebowałem patrzeć, bo w tej chwili dobiegł do moich uszów przeraźliwy odgłos uderzeń młotkiem i monotonny krzyk:

— Ostrzę noże, nożyczki i scyzoryki!

Już teraz nie ulegało wątpliwości, że był to szpieg i był na moim tropie. Jeżeli mię nie aresztował w tej chwili, co mogło nastąpić bardzo łatwo, bo algasile na wszystkie strony się kręcili, to dlatego, że chciał się dowiedzieć dokąd ja idę i tym sposobem dwie pieczenie przy jednym ogniu upiec. W końcu jednak miał oczywiście zamiar mię przytrzymać. Miała się więc między nami rozpocząć zacięta walka chytrości, przebiegów, zręczności, walka dla mnie o śmierć i życie, dla niego o honor i zaszczyty. Mnie szło o to, by szpieg nie wezwał pomocy algasilów odrazu, by się łudził ciągle nadzieją, że tropiąc mię zrobi jakie ważne odkrycia; głównie jednak należało wszelkich usiłowań dołożyć, żeby mu się wymknąć zupełnie. Wydało mi się to dość łatwem, lubo człowiek, śledzący mię teraz, musiał należeć do wyższej hierarchii szpie-

gowskiej, uchodził tam zapewne za tęgą głowę, skoro uciekł się do przybrania na siebie skóry szlifierza, gdyż zwykli szpiedzy z uderzającem niedołęstwem nie przebierali się wcale. Z tem wszystkiem uważałem mojego szlifierza szpiega za głupca; nikt przecież nie wybiera się na pościg tak lotnej zwierzyny, jak człowiek tropiony w wielkim mieście, z warstatem szlifierskim, sprzętem ciężkim, żenującym i przeszkadzającym. Pewny więc byłem, że zachowując pewne ostrożności, zdołam się wymknąć szpiegowi, odwiedzić Burczymuchę i stawić się u pułkownika Fidebona. Miałem na to parę godzin czasu.

Jakże się jednak myliłem! Już na ulicy Mareschalchi chcąc szybkością chodu zdystansować szlifierza, spostrzegłem, że tym sposobem nic nie dokażę, że mam do czynienia z graczem nielada. Pomimo niezwykle szybkiego mojego biegu, pomimo licznych ruchów strategicznych, których wyuczyłem się w tem życiu, pełnem niebezpieczeństw, szpiega miałem ciągle za sobą i ciągle w jednakiej odległości, tak, że mnie ani na chwilę nie stracił z oczu. Lękać się nawet począłem, czy nie straci cierpliwości i wyrzekając się swojej nadziei zrobienia za moją pomocą jakiego odkrycia, nie odda mię wprost w ręce algasilów. Dałem więc pokój manewrom i udając, że nic nie spostrzegam, szedłem pogrążony w myślach, męcząc mózg nad wynalezieniem jakiego środka pozbycia się upartego szpiega.

Przyszedłszy do przecznicy, przecinającej ulicę Mareschalchi, miałem po prawej i lewej ręce piękną; szeroką arteryę, wysadzoną drzewami i prowadzącą nad rzekę, to jest tam, gdzie mieszkał Burczymucha. Ale ulica ta była dość pustą i o ukryciu się na niej, nie mogło być mowy, a do Burczymuchy w tych warunkach, ze szpiegiem na karku iść było niepodobna. Mogłem co prawda skoczyć do dorożki, których tu mnóstwo stało, ale przypomniałem sobie, że każdy z tych powozów ma w tyle wielkiem pismem namalowany numer, że dość było dla szpiega zanotować sobie ten numer, by wiedzieć gdziem jeździł. Przytem i szlifierz mógł rzucić się do innej dorożki i ścigać mię dalej, dając sygnały kręcącym się

algasilom i zatrzymać mię odrazu. Dałem więc pokój temu zamiarowi i szedłem dalej ulicą Mareschalchi, jako najludniejszą, choć fatalnie prostą,

Dokąd dojdę, co zrobię, nie wiedziałem. Nie mogąc nic wymyśleć z tą obojętnością, jaką we mnie wytworzyło nieustanne niebezpieczeństwo, z fatalizmem, że co się ma stać, to stać się musi, szedłem dość wolno, czekając na jaki wypadek, któryby mię mógł wyswobodzić z rąk szpiega. Zachowałem jednak całą zimną krew i przytomność, i idąc rzucałem okiem na prawo i lewo, szukając owej sposobności, owego wypadku, niosącego mi zbawienie. Ale nic się takiego nie zjawiło. Ulica wrzała życiem, wrzawą, śmiechami, słodkiemi spojrzeniami kobiet, szczebiotem ich, rozmowami wesołemi, i nikt nie zwracał uwagi na to, że tuż obok nich rozgrywa się dramat, z tragicznem, bo śmiertelnem zakończeniem, scena przypominająca stepy amerykańskie, obraz wycięty z powieści Coopera. Słońce miało się ku zachodowi i nie widząc innego wyjścia, postanowiłem czekać zmroku, łudząc się nadzieją, że pod jego zasłoną zdołam jakimś sposobem wymknąć się temu szpiegowi.

Tak szedłem wolno i spokojnie wciąż ulicą Mareschalchi. Zatrzymywałem się często, przy każdej szybie sklepowej, przy każdym przejeździe powozu ze strojnymi kobietami, oglądałem się za każdą parą sobą zajętą i ciągle widziałem mego szpiega za sobą. Czas upływał, słońce zaszło, cichy, senny półmrok zapanował na ulicy, na końcu której się znalazłem i albo zawrócić musiałem, bo rogatki było widać, albo coś zrobić stanowczego. Na prawo odemnie szła przecznica prawie pusta, niezabrukowana, parkanami otoczona, na końcu której mieścił się pałacyk kapitana Rosotemplo. Zatrzymałem się na chwilę, rozmyślając co mam zrobić, i postanowiłem rzucić się nagle w tę przecznicę, skorzystać z panujących tam mroków, bo latarni jeszcze nie zapalono, przeskoczyć przez jaki parkan i ukryć się w nim, lub działać stosownie do okoliczności.

Jakoż nie wahając się nagłym i szybkim zwrotem skoczyłem w tę uliczkę i puściłem się biegiem naprzód. Z po-

czątku po mej prawej i lewej stronie, miałem nizkie domki, ale dalej były parkany i puste place. Żywej duszy nie było tu widać i otucha we mnie wstąpiła, tak, że rozmyślałem nad tem, czy nie lepiej będzie zaczekać tu na szpiega i szelmę zdusić na śmierć. Biegnąc, słyszałem jak on biegł. Rzucił się za mną i ziemia, niebrukowana w tem miejscu, ale wysuszona i twarda, dudniała pod jego ciężkiemi krokami. Był widocznie nielada wyścigowcem, wypróbowanym szermierzem w tym sporcie, bo z każdą chwilą przestrzeń dzieląca nas zmniejszała się, choć i ja nie szczędziłem nóg. Na nieszczęście poza parkanami wznosiły się domy i nie podobna było tu schronić się, dalej znów puste place, nie przedstawiające żadnej szansy ratunku. Biegłem więc, upatrując możności schronienia się i poważnie począłem rozmyślać nad stoczeniem śmiertelnego, ręcznego pojedynku ze szpiegiem, gdy ten nagle gwizdać począł. Na to hasło z jednego domku, koło którego właśnie przebiegałem, wypadło kilku karabinierów. Na wszystkie strony poczęły się teraz rozlegać gwizdania i byłem osaczony w tej pustej, bezludnej uliczce, jak dziki zwierz w kniei. Przedemną stał, zagradzając mi drogę, pałacyk kapitana Rosotempla, jasno oświecony, pełen zapewne algasilów i szpiegów, za mną mój szlifierz, z boku karabinierowie...

Co robić? wytężywszy wszystkie siły odsadziłem się nieco od ścigającej mię sfory i tuż prawie w pobliżu pałacyku, zapatrzony na to schronienie największego mego wroga, począłem rozmyślać nad mojem rozpaczliwem położeniem. Dziwna rzecz, byłem zupełnie spokojny i nie wiem dlaczego przychodziła mi na myśl nuta naszej bojowej pieśni i znajdowałem ją za zbyt skoczną. A tymczasem ścigająca mię sfora zbliżała się coraz bardziej i już słyszałem ich ciężkie ziejące oddechy.

Nie myśląc wiele udałem się tam, gdzie wolne przedemną otwierało się przejście, to jest do pałacu Rosotempla. Spokojnie wszedłem na schody, otworzyłem drzwi i znalazłem się w sieni, dobrze oświetlonej, w której na ławce pod ścianą

drzemał karabinier, człowiek młody, tęgi i przystojny. Na hałas otwieranych i zamykanych drzwi, zerwał się na równe nogi i stał tak w postawie pełnej uszanowania, myśląc zapewne, że jestem jakimś dygnitarzem, skoro tak śmiało i do tego drzwiami frontowemi wszedłem do pałacu. Ja przez chwilę milczałem, zajęty śmiesznemi zapewne minami, jakie musieli zrobić ścigający mię, gdy ujrzeli, że wchodzę spokojnie do domu, zamieszkałego przez ich zwierzchnika. Niewątpliwie na kwintę spuścili nosy i przekonani byli, że zrobili krok w najwyższym stopniu fałszywy, gdyż ścigali albo jakiego dostojnika, albo tajnego konfratra ich szpiegowskiej kongregacyi.

— Czy kapitan Rosotemplo jest w domu? — spytałem nakoniec karabiniera.

— Jest.

— A gdzie jest?

— Racz pan powiedzieć kto jesteś, a ja zamelduję.

— Niepotrzeba... powiedz mi tylko, którędy mam iść. Sprawa jest bardzo ważna i nie cierpi zwłoki.

Wskazał mi ręką drzwi na prawo, ale mówił:

— Mam rozkaz nie wpuszczania nikogo bez zameldowania. Racz pan...

Ale już nie słuchałem. Słyszałem przez drzwi szklanne wejścia, wbiegającą na kamienne schody ganku całą sforę gończą i nie życzyłem sobie wcale z nią spotkania. Postanowiłem oddać się w ręce kapitana Rosotempla, szukać jak Temistokles, schronienia u jego ogniska.

Z początku nie myślałem o tem. Wszedłem do pałacyku, bo innego wyjścia nie miałem i oczywiście ani na chwilę nie przypuszczałem, że będę zmuszony oddać się w ręce mego najzaciętszego wroga. Sądziłem, że mi się może uda, natrafi się jaka okoliczność wymknięcia stąd cało i zdrowo, w czem łudziłem się nadzieją, że dopomoże mi Józefina, którą spodziewałem się ujrzeć. W głębi duszy śmiałem się ze zdumionych min ścigającej mię bandy i nie sądziłem, by ona ośmieliła się zbliżyć do pałacu. Ale, jak powiadam, nagle usłysza-

łem tupot ich nóg, wpadających na kamienne schody perystylu i widoczną było rzeczą, że aż tu chcą mię ścigać. Wtedy otworzyłem wskazane mi drzwi i znalazłem się w gabinecie kapitana Rosotempla.

Siedział on wprost drzwi, na wielkim fotelu, z nogami wyciągniętemi i ubranemi w pantofle krzyżowej roboty. Pamiętam, że wchodząc uderzyły mię jaskrawo-czerwone kwiaty na tych pantoflach. Owinięty był w szlafrok, na głowie miał fez turecki ze złocistym kutasem, słowem w pozycyi miękkiej i wygodnej dostatniego filistra, palił fajkę na długim cybuchu i ze słodkim spokojem oddawał się czytaniu gazety. Obok niego na biurku stała wielka lampa, ale przyćmiona zielonym abażurem, tak, że po całym tym pokoju błąkały się zielonawe półblaski i półcienie. Może wskutek tych półcieni, może istotnie z powodu choroby i rany, zadanej mu przez biednego Karola, dość, że kapitan wyglądał mizernie, był blady, wyschły, tylko wielkie, czarne, dzikie oczy z pod krzaczastych brwi patrzały z jeszcze większą dzikością i gorączkowym jakimś ogniem.

Gdym wszedł, podniósł głowę z poza gazety i nagłym ruchem ręki, tak usunął pokrywający lampę abażur, że zostałem zupełnie oświetlony, podczas gdy sam kapitan ukryty był ciągle w owych szarych, zielonawych półcieniach. Z razu widocznie mnie nie poznał, bo wpatrywał się we mnie ciekawie i niespokojnie, rozmyślając zapewne nad tem, skąd moją twarz zna i powoli podnosząc się z fotelu. Wreszcie głosem ochrypłym zapytał:

— Kto to? Co to?

Jednocześnie sięgnął ręką do biurka, koło którego dotąd siedział, zarzuconego papierami i tam schwycił jakiś przedmiot, którego dobrze dostrzedz nie mogłem, a który miał kształty rewolweru. Teraz kapitan wyprostował się i tym samym ochrypłym głosem zawołał groźnie:

— Kto pan jesteś? jakim prawem śmiesz wchodzić bez zameldowania?

W tonie jego była pewna gwałtowność, świadcząca o tem, że się bał i zuchwalstwem chciał pokryć swą obawę. Spokojnie, nie ruszając się z miejsca, odrzekłem:

— Jestem porucznik Valery. Czyżbyś mnie nie poznał, kapitanie?

Zmieszał się nadzwyczajnie. Na jego bladą, zieloną twarz wypłynął krwawy rumieniec, oczy spuścił, usiadł na fotelu, potem znów się zerwał i jak człowiek nieprzytomny rzekł, wskazując mi krzesło:

— Aa! siadaj pan!

Ale nagle widocznie odzyskał świadomość i szybkim ruchem cofnął się za fotel i zawołał gwałtownie:

— Valery! Valery! tu u mnie! Czego pan chcesz? czy przyszedłeś mię zamordować? Czy niema tam w przedpokoju nikogo?

— Owszem, jest karabinier. Ale bądź pan spokojny, nie przyszedłem pana mordować.

Ciągle mi się plątało szkolne wspomnienie o Temistoklesie, szukającym schronienia u nieprzyjaciół, i rzekłem tonem nieco sztucznym i patetycznym:

— Przyszedłem jak Temistokles, by znaleźć schronienie u ogniska pańskiego przed nieprzyjaciółmi. Oddaję się w ręce pańskie i ufam pańskiej szlachetności.

Przyszedł zupełnie do siebie i z oczów jego znikł wyraz trwogi, a natomiast zajaśniała dzika jakaś radość i spytał:

— Czy pan sam jesteś?

— Sam... jak Temistokles.

— Co pan, u stu djabłów, prawisz mi tu o jakimś Temistoklesie, tu niema żartów! Porucznik Valery... a! szukasz pan u mnie schronienia przed nieprzyjaciółmi. Przed jakimi nieprzyjaciółmi?

— Ściga mię policya!

— Aa! teraz rozumiem, i przyszedłeś pan do mnie, bym cię ukrył. Czy tak?

— Tak.

— Liczysz pan na moją wdzięczność, żeś mię kiedyś uwolnił z rąk zbója-dusiciela?

— Na nic nie liczę. Nie miałem się gdzie schronić, więc schroniłem się do tego domu...

— O, nie mów pan tego... wiem dobrze o co idzie. Powiedziałeś pan sobie, ja mu niegdyś ocaliłem życie, więc mam prawo żądać, by i on mi moje ocalił. Ale przypomnij sobie co ja ci wtedy, tu... w tym ogrodzie (wskazał ręką na okno) powiedziałem, że jeżeli kiedy wpadniesz w moje ręce, to ja cię nie wypuszczę. Ale co to takiego do milion djabłów!

Od niejakiego czasu w sieni, gdzie zastałem drzemiącego karabiniera, toczyła się jakaś żywa rozmowa, która coraz głośniejszą się stawała, zmieniła się nawet w końcu w gwałtowną sprzeczkę. Kapitan Rosotemplo słuchał przez chwilę, wreszcie widocznie domyślił się powodów tej głośnej rozmowy w swym przedpokoju, tak jak i ja się domyślałem, że wszczęli ją ścigający mię szpiegowie, bo nagle zbliżył się do drzwi, ale zatrzymał się, zawahał, wreszcie rzekł:

— Wejdź pan do tego pokoju!

I wskazał mi ręką drzwi w głębi, przykryte grubą portyerą. Przeszedłem tam szybko. Był to niewielki pokoik, zupełnie ciemny, tylko przez drzwi uchylone, które umyślnie tak ustawiłem, by słyszeć i widzieć to, co się będzie działo w gabinecie kapitana, wpadał wązki promień światła, od lampy i gdzieś w głębi oświecał niewyraźnie kształty jakichś sprzętów i mebli. Było tu jedno okno i wychodziło, o ilem mógł wtedy sądzić, na ogród. Ale nie było czasu zastanawiać się nad tem, bo w sąsiednim pokoju rozgrywała się ciekawa scena, która mię nadzwyczajnie zajęła, już dla tego samego, że szło tu o moją skórę.

Zaledwie zapuściłem za sobą firanki u drzwi, gdy rozległ się głos dzwonka gwałtownie poruszonego, a zaraz potem głośny, gniewny głos kapitana:

— Co to takiego, do wszystkich djabłów! Kto się tam ośmiela krzyki wyprawiać w mojej kwaterze?

— Wasza szlachetność — odparł zapewne ów młody i tęgi karabinier z przedpokoju — to jakiś człowiek gwałtem chciał wejść tutaj, do gabinetu waszej szlachetności.

— Do mego gabinetu? gwałtem? milionset djabłów, co to za człowiek?

W tejże chwili widocznie ów człowiek, którym nikt inny nie był tylko mój szpieg-szlifierz, wsunął się przez swobodnie zostawione drzwi i głosem pokornym, ale pewnym mówił:

— To ja... jestem z policyi, z tajnej policyi...

— Jak śmiesz tu wchodzić, sobaczy synu! — wrzasnął kapitan, ach, ty ścierwo, ty bydlę jakieś!

Był w strasznem uniesieniu, które trudnem byłoby do pojęcia dla mnie, gdyby nie to, o czem oddawna mi już mówiono, że między policyą a karabinierami królewskimi, którzy także prowadzili swoją odrębną policyę, istnieje oddawna zacięty antagonizm i nienawiść; że sobie nieraz te dwie władze podstawiały nogi, przeszkadzały i niecierpiały się nawzajem serdecznie. Uniesienie więc kapitana Rosotemplo, jeszcze na pół chorego, zdenerwowanego krótką, ale dręczącą rozmową ze mną, było usprawiedliwione. Strasznie krzyczał i ciągle powtarzał wyrazy:

— Won ścierwo, bydlę, won stąd!

Ale »bydlę«, nie ruszało się wcale od drzwi. Zbliżywszy się na palcach do spuszczonej portyery, mogłem dość dobrze obejrzeć to indywiduum o tyle, o ile cienie włóczące się po gabinecie kapitana na to pozwalały. Tak, to był szlifierz, w swym kubraku niezdecydowanej barwy, w spodniach obszarpanych na dole; z zasmoloną czapką w ręku, z oczkami głęboko osadzonemi, któremi dzikie i wściekłe jadowitej żmii spojrzenie rzucał na kapitana, powtarzając nieustannie:

— Słucham! słucham!

Ale nie słuchał i od drzwi wcale się nie oddalał.

A kapitan tymczasem, jeden z tych krewkich, sangwinicznych natur, czy może chory jeszcze, dość, że nagle ucichł, począł ciężko oddychać i padł na fotel z widocznemi ozna-

kami nagłego osłabienia. Przez chwilę, w ciszy, jaka nagle zapanowała, słychać było tylko jego świszczący, krótki oddech, a potem rzekł do karabiniera:

— Zawołaj mi garderobianej! Beli!

Karabinier wybiegł, a kapitan Rosotemplo zwrócił się do szpiega i zapytał:

— Czego, bydlę przeklęte, tu stoisz? czego chcesz?

— Wybacz, wasza szlachetność — odrzekł głosem pokornym, ale w którym czuć było dreszcze hamowanego gniewu — ale zapewne nie powiedziano panu, iż do tego domu schronił się ważny zbrodzień polityczny, jeden z tych, którzy dokonali zamachu na jaśnie oświeconego wielkorządcę.

— W tym domu? zbrodzień polityczny? co? ty zwaryowałeś, zwierzę jakieś, padlino cuchnąca! ruszaj mi zaraz, bo każę cię wziąć za kołnierz i wyrzucić za drzwi.

— Wybacz, wasza szlachetność, ale ja nie mogę stąd ruszyć się, ja ścigam tego człowieka od dwóch godzin, on jest moją własnością.

Kapitan znów wpadł w straszne uniesienie. Bił pięścią po stole, tupał nogami, a oddech jego coraz bardziej świszczącym się stawał i głos był coraz słabszy:

— Won łotrze! wszarzu... hej! jest tam kto? wyrzucić mi to bydlę...

I nie wiem co się tam dalej działo, gdyż uwagę moją zwróciły drzwi otwierające się w głębi i szelest sukni kobiecej i nigdy nie zapomniany, zawsze dla mnie miły i słodki zapach fiołków i heliotropu uderzył moje powonienie. Byłem pewny, że w tym cieniu smukłym, szeleszczącym jedwabiami, który słaniał się po pokoiku i niepewnie, wahająco naprzód się posuwał, kryje się moja najmilsza, najdroższa Dusia...

— Dusiu — szepnąłem — czy to ty?

— Ach to ty... ty... Valery... tutaj?

I uczułem na mej szyi te ciepłe, aksamitne ramiona, które tylokrotnie namiętnie mię obejmowały, których uścisk gorący był jednem z najmilszych wspomnień mego życia,

okrasą mej młodości chmurnej i burźliwej. I teraz przycisnąłem tę drogą postać do piersi i upojony wonią kochanki warkoczy, gorącymi pocałunkami jej ust, odczuciem falujących jej piersi, zapomniałem o świecie całym, o strasznem, zagrażającem mi niebezpieczeństwie, o wrzawie, która tam w gabinecie Rosotempla panowała i dzięki której mogliśmy oboje przez chwilę swobodnie rozmawiać i swobodnie oddawać się naszym uściskom. Ale Józefina, moja słodka Józefina, pierwsza przyszła do siebie, pierwsza odzyskała przytomność i świadomość rozpaczliwej mojej sytuacyi.

— Na miłość Boską — zawołała — co ty tu robisz?

— A cóż? wpadłem w ręce twego męża.

— Mego męża? — szepnęła z wyrazem niewysłowionej ironii, ale zaraz potem spytała:

— Więc grozi ci niebezpieczeństwo?

— Naturalnie.

Chwilkę pomyślała, a tymczasem w sąsiednim gabinecie uniesienie kapitana Rosotempla dochodziło do ostatecznych krańców. Tupał nogami, bił pięścią o stół i głosem ochrypłym krzyczał:

— Wyrzućcie mi za wrota tę kanalię przeklętą!

Krzyki te rozlegały się donośnie, a za każdem podniesieniem głosu kapitana Rosotempla, uważałem, że Józefinę dreszcz nerwowy przenikał.

— Nie mamy ani chwili czasu do stracenia — szepnęła ona, chwytając mię silnie za rękę — chodź za mną.

Machinalnie poszedłem za nią. W tej chwili nie szło mi tyle o ocalenie siebie samego, ile o to, żeby być przy Józefinie, czuć jej ciepłe, miękkie dotknięcie, słuchać szelestu jej sukien, wdychać w siebie woń fijołków, które mi najrozkoszniejsze chwile naszej miłości przypominały. Szliśmy przez kilka pokoi ciemnych zupełnie, w których tu i owdzie tylko jakieś przedmioty błyszczały, potrącałem meble, na co Józefina sykała, szepcząc:

— Cicho! Na rany Boskie cicho!

Idąc ciągle, słyszałem gniewny głos kapitana Rosotempla i zgoła nie rozumiałem, dlaczego mamy iść cicho, skoro pan domu i jedyny człowiek, który mógł mej ucieczce przeszkodzić, był mocno w tej chwili zajęty wyrzucaniem za drzwi szpiega, »kanalii przeklętej!« Tak przyszliśmy do pokoju większego, prawdopodobnie salonu, z którego duże drzwi szklane, w tej chwili na pół uchylone, wiodły na niewielki taras, a z tego po schodach do owego parku, w którym niedawno tyle słodkich sam na sam miałem z Józefiną, i w którym tyle krwawych scen odegrał mój Burczymucha.

Józefina sprowadziwszy mię ze schodów tarasu, postąpiła jeszcze kilka kroków, by się znaleść w cieniu, jaki tworzyły drzewa, tu rzuciła mi się na szyję i zaczęła mię namiętnie całować, szepcząc:

— Mój najdroższy, mój najmilszy, mój jedyny!

— Słówko — rzekłem — czy odebrałaś mój ostatni list, przysłany przez Adolfinę?

— Nie!...

— I nie wiesz co się stało z tą dziewczyną?

— Nie wiem. Ale dowiem się, teraz uciekaj. Tam są wszyscy zajęci. Ach! jak on krzyczy!

W rzeczy samej, Rosotemplo nie przestawał krzyczeć, a te jego wrzaski, które aż tu dochodziły i zakłócały majestatyczną ciszę ogrodu, świadczyły, że sprawa jeszcze się nie skończyła, i że mamy przed sobą parę chwil wolnego czasu.

— Chcę z tobą pomówić — szeptała dalej Józefina — jutro o dziesiątej rano będę w kościele Santa Cruz, w lewej nawie. Czekaj tam na mnie; a teraz uciekaj. Wiesz którędy! prosto główną aleją, ale trzymaj się zawsze cienia. O mój najdroższy, mój jedyny, jacy my nieszczęśliwi!

Jeszcze raz zwisła mi na szyi, jeszcze jeden pocałunek i sama popchnęła mię do ucieczki. Czas już był wielki, bo krzyki Rosotempla zupełnie ustały, powdopodobnie »kanalię« szpiega wyproszono nakoniec za drzwi i miano się mną teraz zająć.

XIV.

Skorom się znalazł wolny i swobodny poza furtką parku, przez którą niegdyś do niego się dostawałem, na ulicy dotykającej okopów, odetchnąłem głęboko. Przeszedłem straszne, śmiertelne niebezpieczeństwo i życie znowu zawdzięczam kobiecie, mej ślicznej, mej dobrej, kochanej, mojej, mojej Józefinie. Szedłem tą pustą, cichą, ciemną teraz zupełnie uliczką, na której stare lipy i rosochate topole, miotane lekkim wiatrem jesiennym, melancholijnie szumiały, i przypominałem sobie słodkie, aksamitne uściski Józefiny, gorące jej usta na mych ustach, woń fiołków bijącą z jej warkoczy, jej szepty, jej namiętne uniesienia; wszystko to co czyniło z niej najrozkoszniejszą i najmilszą z kobiet. I zagłębiony w te wspomnienia i w te marzenia, posuwałem się powoli naprzód, gdy nagle przypomniałem sobie moje położenie rozpaczliwe i moje obowiązki.

Przedewszystkiem więc nie miałem dachu nad głową, bo wracać na ulicę Dora pod żadnym pozorem nie mogłem, jeżeli nie chciałem narazić mej głowy. Szpieg-szlifierz wiedział doskonale z którego domu wychodziłem, zresztą włócząc się sam już musiał mieć pewne dane o mojem tutaj zamieszkaniu, a teraz, haniebnie wypędzony przez Rosotempla, zawiedziony w swych nadziejach, po tak ciężkiej pracy, jak pościg za mną, pracy bezowocnej, weźmie sobie z pewnością za punkt honoru, za konieczną potrzebę pomszczenia się za wszystko na mnie, wyszukania mnie i schwytania. Niewątpliwie więc, jeżeli już mojego cichego domku na ulicy Dora nie otoczyli szpiedzy i algasili, to z pewnością lada chwila to zrobią.

Nie mam więc tam po co iść i trzeba pomyśleć o wyszukaniu sobie na noc schronienia. Spojrzałem na zegarek, nie było jeszcze godziny siódmej; mogłem więc zadość uczynić rozkazowi pułkownika Fidebony i udać się do niego na ulicę di Smola.

Opuszczając więc cichy zaułek pod okopami miejskiemi, skierowałem się w pierwszą lepszą przecznicę, prowadzącą w głąb miasta i na szczęście spotkałem dorożkę, która mię bezpiecznie i bez żadnych przygód zawiozła przed tajemniczy, senny, zawsze starannie zamknięty dom, w którym zamieszkiwał niemniej tajemniczy, niemniej cichy i zamknięty w sobie pułkownik Fidebona.

Właściwie mówiąc nie bardzo rozumiałem jego położenie w tym spisku. Przypomniałem sobie głoszone przedemną przed kilku tygodniami jego zasady chrześcijańskiej miłości i niezłomnej, ale biernej energii, i przypomniałem sobie, że mi mówiono wtedy, iż posiada on nad całym ruchem karlistowskim władzę dyktatorską. Tymczasem wśród tych, którzy mię dotąd otaczali, nikt ani razu nie wspomniał o tej władzy pułkownika Fidebony; raczej pan Don Juan Biały, uchodzący na pozór za blondynkę, pan Miguelo Zezowaty, pan Ludwik Okularnik, wreszcie jakiś Don Lupulo, o którym szeptano, ale którego dotąd nie widziałem, rządzili i kierowali wszystkiem. Zresztą jakże pogodzić miłość i bierną energię pułkownika Fidebony ze skrytobójstwami i zamachami, których w moich oczach dokonano.

Czem więc był ten pułkownik Fidebona? i po co on mię wzywa, ba! nie wzywa, ale rozkazuje?

Tak wszystko w tem Bilbao jest zamącone, straszne, krwawe i smutne, że Boże wielki, pozwól mi je opuścić jak najprędzej i schronić się do moich lasów wiecznie zielonych, do mych gór zawsze w niebo patrzących.

Ale wśród tych rozmyślań przybyłem przed dom, w którym już raz byłem i w którym mieszkał tajemniczy, nikomu nieznany pułkownik Fidebona. Tak samo skierowałem się ku lewej oficynie, wszedłem na schody, tak samo w różnych przestankach zadzwoniłem trzy razy, tak samo dały się słyszeć ciche, kocie stąpania, uchyliły się drzwi i ukazała się w nich głowa pani Rocric. Podobnie jak poprzednim razem wpatrywała się we mnie badawczo swemi palącemi, jeszcze do dziś

dnia ślady pierwotnej piękności zachowującemi oczami, a drzwi tak trzymała, że nie mogłem przez nie wejść.

Skłoniłem się i szepnąłem powiedziane mi przez Suminiego hasło:

— Nie traćmy nadziei.

— Proszę! — rzekła, otwierając drzwi na oścież, które zaraz zamknęła starannie na klucz, gdym się znalazł w wązkim, słabo oświeconym przez małą lampę przedpokoju. Pani Rocric z tym swoim cichym, miękkim ruchem, zbliżyła się do tej lampki, rozświeciła ją, podniosła do góry tak, że na twarz padł mi cały blask i szepnęła:

— Wszak porucznik Valery?

— Tak.

Postawiła lampkę na swojem miejscu i ciągle tym cichym szeptem poczęła mówić:

— Nie widziałam pana dawno, ale zmieniłeś mi się bardzo. Nie służy panu wielkomiejskie powietrze.

— W rzeczy samej — odrzekłem, czując, że pani Rocric ma racyę, zwłaszcza, że po scenach, w których przed chwilą główną rolę odegrałem i gdzie życie moje wisiało na włosku, musiałem wyglądać strasznie.

— Zaraz zamelduję pana. Proszę poczekać.

Wyszła, a ja byłem tak zmęczony, że nogi chwiały się podemną i usiadłem na krześle. Po straszliwych przejściach w pałacyku Rosotempla nastąpiła teraz reakcya i zupełne obezwładnienie. Drżałem cały i miałem silną gorączkę. Otaczająca mię senna cisza w tym dziwnym, rzekłbym zaklętym domu, denerwowała mię nadzwyczajnie. Nie mogłem długo usiedzieć i wstałem, znów siadłem i znów wstałem i chodziłem po ciasnym przedpokoju, chcąc tym ruchem niejako ukołysać moje wzburzone nerwy.

Ale nie długo czekałem. Otworzyły się cicho drzwi, pani Rocric ukazała się i szepnęła:

— Pułkownik pana prosi.

Zastałem go tak samo przy biurku zarzuconem papierami, przy lampie ocienionej zielonym kloszem, tak samo pogrążonego w ciszy i milczeniu. Nie ruszył się z krzesła, ale gdym się zbliżył, podał mi rękę i rzekł półszeptem:

— Siadaj pan.

Usiadłem, a on tymczasem zgarnął leżące na biurku papiery na bok, wsparł głowę na obu rękach, jak gdyby się nad czemś namyślał, wreszcie rzekł, zawsze tym samym cichym, stłumionym głosem, jakby się lękał obudzić jakie echa niepożądane, jak gdyby w drugim pokoju ktoś oddawał ostatnie tchnienie, a on mu nie chciał zakłócić chwili konania.

— Od czasu, gdym cię poruczniku widział, zmieniły się bardzo okoliczności. Stoimy nad brzegiem przepaści, nie dlatego, by siły nasze były wyczerpane, ale dlatego, że stronnictwo wichrzycieli marnuje te siły.

Umilkł i ja także milczałem, bo nie wiedziałem do czego ten człowiek z twarzą apostoła lub męczennika, na pół ukryty w szarych cieniach, otoczony posępną ciszą, zmierza.

— Ty sam, poruczniku, zostałeś porwany przez to stronnictwo. Mówię: porwany, bo nie przypuszczam, byś dobrowolnie zaciągnął się w jego szeregi. Miałem o tobie jak najlepsze relacye, przypuszczam więc, że cię wbrew twym przekonaniom tam wciągnięto. Czy nie tak?

— Nie umiem panu na to odpowiedzieć, bo nie wiem o co idzie.

— A przecież to jasne. Sprowadziliśmy ciebie z obozu nie dlatego, byś brał udział w morderstwach i nierozumnych zamachach, ale dlatego, byś dopomógł nam do obalenia stronnictwa wywrotu. Czy rozumiesz teraz?

— Jeszcze nie bardzo.

— Wszak to dość jasne. Przecież twój towarzysz... już nie pamiętam jego nazwiska, pchnął sztyletem kapitana Rosotempla?

— Tak.

— Ty strzelałeś do wielkorządcy?

— Tak.

— Drugi twój towarzysz chciał udusić Rosotempla we własnym jego domu?

— Tak.

— A więc, czyniliście to, czego chciało, chce i chcieć będzie stronnictwo wichrzycieli, dopóki mu karku nie skręcimy, a ja właśnie sprowadziłem cię dlatego, by temu stronnictwu kark ten skręcić. Nie winię cię o to... nie znasz zakulisowych spraw byłej junty narodowej. Nasza wina, żeśmy cię nie pilnowali i nie obznajomili z tokiem rzeczy, ale tłumaczy nas nawał pracy.

— Przepraszam pułkownika, ale ja wcale do żadnego stronnictwa nie przystawałem i zawsze brzydziłem się skrytobójstwami. Nie wiem czem zdołano skusić biednego Karola, że dopuścił się zamachu na Rosotempla, gdyż działo się to po za mną i ja o niczem nie wiedziałem. Co zaś do zduszenia Rosotempla w jego własnym parku, to... prawda... byłem temu obecny, ale motywem tego zamachu, że go tak nazwę, były sprawy czysto prywatnej natury.

Pułkownik Fidebona poszukał między papierami na biurku i wydobywszy jakąś karteczkę blado-różową, zapisaną maczkiem, przeczytał ją i odkładając na bok, rzekł:

— Tak, to prawda... Źle jest poruczniku, gdy kobieta w naszem życiu odgrywa taką rolę, że dla niej wszystko gotowiśmy poświęcić. Starszy jestem od ciebie i powiem ci, że miłość w życiu mężczyzny winna być tylko epizodem. Miłość do kobiety, i jeszcze takiej kobiety, jak ta... pani... zaprowadziła cię na manowce.

— Nie wiem o jakich manowcach pułkownik mówi. Chyba to, żem wtedy kapitana Rosotempla uwolnił z rąk Burczymuchy, czego istotnie żałuję i winię się o to... Mój biedny Karol! gdybym był wtedy postąpił jak należy, żyłby do dziś dnia.

— Mówisz, gdybyś był wtedy postąpił jak należy. Czemu nie powiesz otwarcie, gdybym był nie zrobił już raz Roso-

templowi najcięższej krzywdy, uwodząc mu żonę... Ale co to o tem mówić! Nie winię cię o Rosotempla, jestem przeciwny morderstwom politycznym, zwłaszcza, że tu byłoby zwyczajne morderstwo, dokonane na mężu, przez złapanego na gorącym uczynku kochanka... O! nie zżymaj się, czemu rzeczy obwijać w bawełnę? Ja zawsze mówię prawdę i mam prawo mówić ci prawdę, bom starszy i twój zwierzchnik. Ale winię cię, bardzo cię winię, żeś wziął udział w zamachu na wielkorządcę, zamachu, który sprawie nie pomógł, owszem zaszkodził jej ciężko i straszne za sobą dla setek niewinnych ludzi pociągnął skutki. Cóż powiesz na swe usprawiedliwienie?

— To, że miałem najwyraźniejszy rozkaz do wzięcia udziału w tym zamachu.

— Rozkaz? czyj rozkaz?

— Generała Casobi.

— Co? generała Casobi?

— Tak.

Pułkownik Fidebona umilkł, myślał przez chwilę, znów poszukał między papierami, wydobył jakąś błękitną, mocno pomiętą i połamaną karteczkę, rzucił na nią okiem i rzekł na pół do siebie.

— Podeszli go. Tak! tak! nie ulega wątpliwości, że go podeszli.

Zwrócił się do mnie i rzekł tonem poważnym:

— Stało się, a co się stało, to się nie odstanie. Mówmy nie o przeszłości, która należy do historyi, ale o przyszłości. Co myślisz ze sobą robić?

— Postanowiłem wrócić do obozu. Zbrzydło mi tu życie i grozi mi tysiące niebezpieczeństw. Policya wie o moim udziale w zamachu. Dziś ścigano mię i cudem prawie umknąłem. Przykrzy mi się ta walka głucha i podziemna.

— Zapewne, ale jest to właśnie heroizmem umrzeć cicho i bez rozgłosu, bez upojenia dymem prochowym, bez huku dział i świstu kul; umrzeć na ostatnim wyłomie, na ostatniej drzazdze ojczyzny.

Umilkł, wpatrzył się gdzieś swemi blademi, spłowiałemi oczami i rzekł:

— Nie mam nic przeciw temu, żebyś udał się do obozu, ale nie wpierw aż złamiemy wewnętrznego nieprzyjaciela, stronnictwo wywrotu. Musisz nam w tem dopomódz. Walka będzie groźną i upartą i musimy skupić wszystkie nasze siły. Dowiaduję się, że przybył do Bilbao naczelnik, kierownik tego stronnictwa, don Ignatio Lupulo, że zamierzają zamach na nas... na mnie... uczynić, obalić juntę istniejącą i swoją na jej miejsce postawić. Byłaby to najoczywistsza zguba naszej sprawy, która dostałaby się w ręce szaleńców. Nie możemy, nie mogę na to pozwolić. Rozumiesz mię poruczniku? dopomożesz nam w tem? czy tak? odwołuję się do twoich uczuć dobrego Hiszpana?

— Jeżeli moja pomoc — odrzekłem — może się na co przydać, jestem gotów uczynić wszystko. Na to przecież poświęciłem me życie, a choćbym wolał umrzeć od kuli, na polu walki, z szablą w ręku niż od garoty... jednakże kiedy trzeba, to jestem na twoje rozkazy, pułkowniku.

Powstał, podał mi rękę, uścisnął ją mocno i rzekł:

— Dzielny z ciebie młodzieniec. Takich potrzebuje ta nieszczęśliwa Hiszpania. Proszę cię, idź tam... do drugiego pokoju. Zastaniesz tam naszego... mówię naszego, naczelnika miasta, don Alehandra Vasco i naszego sekretarza pana Sumini. Z nimi się rozmów, oni ci wskażą, co i jak masz czynić. Do widzenia. Pozdrowienie i braterstwo!

Usiadł i zabrał się do pracy przy biurku, a ja na palcach skierowałem się ku wskazanym mi drzwiom.

XV.

W pokoju, tym samym, w którym niegdyś rozmawiałem z generałem Casobi, siedział najprzód ze swą jastrzębią głową, dobrze oświeconą, pan Sumini i czytał jakąś gazetę. Gdym wszedł, spojrzał na mnie z poza binokli i rzekł wesoło:

— Jak się masz, poruczniku?

Potem wskazując na mnie ręką, rzekł do przechadzającego się niespokojnie nizkiego, barczystego mężczyzny, z dużą głową, pokrytą ciemnym kędzierzawym włosem, z wyrazem twarzy niemiłym ale energicznym.

— Porucznik Valery — obywatel Vasco, ale nie de Gama!

Uśmiechnął się przytem ironicznie.

— Suminiego zawsze trzymają się żarty — rzekł mi mężczyzna, a raczej powinienem powiedzieć naczelnik miasta, głosem grubym i męskim, ale stłumionym mocno — nie nazywam się żaden Vasco de Gama, ale po prostu Alehandro Vasco.

Chciałem powiedzieć na to kilka zwykłych słów banalnych, ale pan Vasco nie dał mi przyjść do słowa. Posadził mię gwałtem na krześle, usiadł obok i z poufałością, która mi się bardzo niepodobała, klepiąc mię po ramieniu i kolanach, to znów wyciągając ze stawów z trzaskiem swe długie i pałkowate palce, mówił ciągle tym głosem grubym, ale stłumionym:

— Pułkownik powiedział ci już, kolego, o wszystkiem. Prawda? Co za kanalie! obalać juntę narodową. No, ale ja tu jestem, ja, naczelnik miasta, i zadam im takiego fernepiksu, że mię popamiętają całe życie. Wiesz kolega, Ignacy Lupulo już jest, z nimi przyjechał ten mazgajowaty poeta don Adam Cinsa, don Adalbert Rogalino, kiepski komedyopisarz don Juan Narimo i inni. Ale już ja ich urządzę, zjedzą sto djabłów!

Wyciągał dalej z trzaskiem ze stawów swe palce, bił mię dłonią po kolanach, aż cały podskakiwałem, a on ukazywał przytem szereg białych zębów, co miało oznaczać jego uśmiech, i mówił:

— Wszystko to kupy się trzyma. Zbierają się przy ulicy Longa, wprost gmachu ministeryum sprawiedliwości, w mieszkaniu tego marnego dramaturga Don Josefo Narimi, ale już ja im pokażę, co to rzucać się na juntę narodową, kiedy ja jestem naczelnikiem miasta! Wiesz kolega co?

— Nie wiem — odrzekłem.

— Jabym ich wszystkich, ot tak! (tu pokazał ręką, jak gdyby sztylet komuś wbijał w serce, przyczem szkaradnie zgrzytał zębami), ale cóż? pułkownik się na to nie zgadza. Każe sąd zwoływać. Po kiego tu licha na takie kanalie sąd? Ambaras tylko i niebezpieczeństwo.

Na to pan Sumini dotąd zajęty odczytywaniem jakiejś francuskiej gazety i zgoła nie mieszający się do naszej rozmowy, wychylił głowę z poza wielkiej płachty papieru i swym głosem syczącym, z akcentem szyderstwa spytał:

— Odkądże to obywatel Vasco, o mało nie de Gama, ośmiela się krytykować czyny swych zwierzchników?

Pan Vasco zmieszał się trochę i rzekł:

— Ja wcale nie krytykuję, tylko wygłaszam moje zdanie.

— O wiele lepiej zrobisz, obywatelu, jak nie będziesz wcale wygłaszał swego zdania — zakończył tę rozmowę Sumini i znów zabrał się do odczytywania swej ogromnej gazety.

A tymczasem Don Alehandro Vasco, ciągle mocno zażenowany, wydobył zapewne dla kotenansu papierośnicę i poczęstował mię papierosem i znów mówić począł, tym razem szeptem zupełnym, nachyliwszy się do mego ucha:

— Ich jest dużo. Wszyscy tutejsi sztyletnicy przyłączyli się do nich, nawet podwładny mi naczelnik policyi, Don Juan Biały. Pan go znasz?

— Znam.

— A! łotr ostatni. Za nim poszedł ten dureń Miguelo Zezowaty, Ricardo Vnento, Ludovico Okularnik, i co najważniejsza Sylwester. Pan znasz Sylwestra?

— Znam.

— No, ale ten najmniej jest niebezpieczny. Doniesiono mi przed godziną, że jego żonę, tę piękną Teresę... pan ją znasz? śliczna kobieta... mla! mla! mla!

Mlaskał lubieżnie językiem i miał w tej chwili minę brzydkiego satyra. Ale ja zaciekawiony mocno napomknieniem jego o pani Teresie, spytałem:

— Cóż się stało z panią Teresą?

— A co? interesuje ona pana! ba! ładna kobieta, jak łania. Ale do licha... pan byś widzę chciał wszystkie posiadać kobiety, bo to i pani...

Przerwałem mu te słowa ruchem ręki i rzekłem:

— Zostawmy kobiety w spokoju. Racz mi pan powiedzieć, co się stało pani Teresie?

— A cóż? aresztowano ją dzisiaj, jako tę, która w dniu zamachu dała znak chustką o zbliżaniu się pojazdu wielkorządcy di Monti. Powiadam ci, szanowny kolego, policya wie o wszystkiem, o najdrobniejszych szczegółach jest powiadomioną. Ciekawa rzecz, kto was zdradza? ale ja się o tem dowiem, a wtedy hycla...

Znów zrobił charakterystyczny ruch przebijania kogoś i mówił:

— Otóż Sylwester w tej chwili jest ubezwładniony. A to najniebezpieczniejsza, najmądrzejsza i najenergiczniejsza ryba, bo i tu i tam ma stosunki i o wszystkiem wie. O ile mi doniesiono, zajęty jest wykradzeniem żony z fortecy... Jeżeli mu się to uda, no! to dokona wielkich rzeczy. Bądź co bądź w oczach najazdu jest skompromitowany mocno i prawdopodobnie drapnie z Bilbao... Więc, powtarzam, jego nie mamy się co lękać.

Umilkł, począł znów wyłamywać z trzaskiem swe nieszczęśliwe palce, zamyślił się i po chwili rzekł:

— Pan tu masz jakiegoś ze sobą wielkoluda podobno?

— Wielkoluda? nie... zwyczajnego człowieka tylko bardzo silnego.

— O to też idzie. Teraz niech pan uważa, bo czasu szkoda i mam go nie wiele.

— Gdybyś się z nim, obywatelu Vasco, ale nie de Gama, od początku oszczędniej obchodził, bylibyście już całą sprawę oddawna skończyli — zauważył szyderskim tonem z poza gazety pan Sumini.

Vasco rzucił niechętnie okiem na Suminiego i rzekł:

— Ten zawsze we wszystko musi swój długi nos wścibić — ciągnął dalej głosem poważnym i jakby urzędowym:

— Otóż, obywatelu poruczniku, masz porozumieć się z twoim wielkoludem i jutro o godzinie pierwszej w południe stawić się na ulicę Longa, razem z rzeczonym wielkoludem w pobliżu gmachu ministeryum sprawiedliwości. Ja tam już będę i wskażę, co kto ma czynić.

Wyrzekłszy to, powstał z krzesła z miną bardzo poważną, co przy jego kusej i jakby nabitej figurce, przy jego twarzy dość pospolitej i rozczochranej, jak u studenta głowie, bardzo śmiesznie wyglądało. Ukłonił mi się, dając tem poznać, że konferencya skończona, a ja mu się także odkłoniłem i miałem już wyjść, gdy pan Sumini rzucił gazetę, skoczył do mnie i rzekł:

— Podaj mi rękę, poruczniku. Do widzenia.

Podałem mu rękę zdziwiony mocno tem zachowaniem się i wyszedłem, nie rozumiejąc zgoła tej fantastycznej i nerwowej osobistości, jaką był Sumini, a śmiejąc się w duszy z napuszonej i naiwnej postaci pana Vasco, ale nie de Gama, jak sobie głośno z niego podrwiwał pan sekretarz pułkownika Fidebony.

XVI.

Znalazłszy się na ulicy, począłem rozmyślać nad tem, gdzie mam noc przepędzić. Było już dobrze po godzinie ósmej wieczorem, a za parę godzin ustanie cyrkulacya w mieście, jak tego wymagał stan wojenny. Do domu na ulicę Dora wracać pod żadnym warunkiem nie mogłem, chyba, że chciałem oddać się dobrowolnie w ręce policyi; do hotelu lub zajazdu żadnego nie przyjętoby mię, bez okazania odpowiednich świadectw legitymacyjnych, których oczywiście nie miałem; nic mi innego więc nie pozostawało jak udać się do mieszkania Burczymuchy, zwłaszcza, że i tak miałem do niego interes w sprawie biednej Adolfiny.

Po nocy z niemałym trudem i kłopotem zdołałem odszukać ruderę, w której mieszkał Burczymucha. Wdrapałem się po schodach, ślizkich od błota i od wszelkiego rodzaju odpadków, na trzecie piętro i zapukałem do drzwi starego wachmistrza. Nie wątpiłem, że go zastałem. Przez źle spojone deski tych drzwi przemykał się promień światła, przytem zdawało mi się, że słyszę szmer rozmowy, który zaraz ucichł, gdym pukać począł. Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie rozległ się chrapliwy głos Burczymuchy:

— Kto tam u krocset po nocy się dobija?

Pytając tak szedł swym ciężkim krokiem, od którego stara ta rudera trzęsła się cała i gwałtownie drzwi otworzył, w których stanął i patrzał na mnie ciekawie, ale że w sieni było ciemno, więc mię poznać nie mógł, aż dopiero wtedy, kiedy ja rzekłem:

— Jak się masz, wachmistrzu! puść że mię do środka!

— A to pan porucznik... mopanku!... do krocset... ale owszem, naturalnie, proszę... tylko nie spodziewałem się, mopanku...

Usuwał się od drzwi powoli i niechętnie, co jednak pozwoliło mi dostrzedz kryjącą się wewnątrz jakąś kobietę, która na gwałt się ubierała. Wszedłem jednak.

— Przeszkadzam ci — rzekłem.

— O! nie, wcale nie, gdzież znowu! To jest proszę pana porucznika, Anusia... sąsiadka moja... co wieczór przynosi mi z miasta nowiny, bo ja, jak wiadomo panu porucznikowi, nosa nie wyściubian, mopanku.

Tymczasem Anusia ostatecznie ubrała się i mocno zażenowana, zakrywając twarz chustką, frunęła z izby. Burczymucha kręcił się jak mucha w ukropie, widocznie dla ukrycia swego ambarasu i gadał niestworzone rzeczy. Położyłem temu koniec oświadczając mu, że przyszedłem doń szukać przytułku, bo moje dotychczasowe mieszkanie, z powodu nagabywań pilicyi, zmuszony zostałem porzucić.

— Do krocset! a gdzież ja pana porucznika umieszczę?

Stał, drapał się po wielkiej głowie, ale w końcu zawołał.
— Już wiem!

I wybiegł jak mógł najprędzej. Niebawem wrócił z Anusią, mniej tym razem zażenowaną i wcale ładną dziewczyną, i przyniósł całe posłanie z poduszkami i pierzynami. Jednem słowem czynił co mógł, ażeby mi pobyt uczynić tutaj nie tylko znośnym, ale nawet wygodnym. Z rozmowy z nim dowiedziałem się, że Adolfina u niego wcale nie była, co dowodziło, że spotkała ją jakaś katastrofa w czasie bytności w domu Rosotempla. Zmartwiło mię to bardzo, gdyż nie widziałem nawet sposobu dowiedzenia się o losie tej dobrej, poczciwej kobiety. Uwiadomiłem również Burczymuchę, że za parę dni, po załatwieniu jeszcze kilku koniecznych interesów, wynosimy się z Bilbao i wracamy do obozu. Na wielkie moje zdziwienie nie bardzo ucieszyła go ta wiadomość i przypuszczam, że powodem tego była Anusia. Ale mało mię to obchodziło i niebawem zasnąłem i po dniu tak burzliwym, na miękkich puchach Anusi, wybornie spałem.

Nazajutrz z biciem serca, z nieokreślonym smutkiem, zalegającym mi duszę, wybrałem się na schadzkę z Józefiną do kościoła Santa-Cruz. Byłem zawsze człowiekiem wierzącym: miałem cześć dla wszystkich religij, jako ideału najwyższych pragnień i najwyższych uniesień człowieczych, i dlatego wybranie przez Józefinę kościoła, jako miejsca schadzki miłosnej, nie bardzo mi się podobało i raziło mię bardzo. Ale z drugiej strony tłómaczyłem to sobie tem, że w tych okropnych czasach, wśród mnóstwa rojących się po mieście szpiegów, w obec podejrzeń męża, kościół był jedynem miejscem, gdzie nieszczęśliwi pociechę, a zakochani spokojność znaleść mogli.

Umówiwszy się z Burczymuchą, że się koło południa spotkamy w okolicy ulicy Longa, gdzie miałem znaleść pana naczelnika Vasco i z nim jakąś wyprawę przedsięwziąć przeciw panom ze stronnictwa wywrotu (tak ich nazywał pułkownik Fidebona), wyruszyłem do kościoła Santa-Cruz. Dosta-

łem się do niego szczęśliwie, nie zaczepiany i nie ścigany przez nikogo. Co prawda dzień był chmurny, wietrzny, chłodny i drobny deszcz począł kropić; prawdziwy dzień jesienny. Wszyscy policyanci okryci płaszczami dbali o to, by nie zmokli i mniej uważali na przechodniów. Wiatr, deszcz i zimno dało i mnie pretekst do tego, że otuliłem się płaszczem i kapelusz mocno na oczy nacisnąłem i tak przeszedłem znaczną część miasta, dzielącą mieszkanie Burczymuchy od kościoła.

Wielka ta świątynia, zbudowana w stylu późnego renesansu, była prawie pusta, a pochmurne niebo, zdawało się napełniać jej mury mgłą mętną cieni, które zgęszczając się po kątach, poza ołtarzami i pomnikami, poza wysokimi filarami, przemieniały się w ciemność ponurą i senną. Znalazłem Dusię w lewej nawie, w kaplicy, klęczącą przed wizerunkiem Saragoskiej cudownej Matki Boskiej, całą czarno ubraną, w kiry, koronki i jedwabie. Pochylona ku ziemi, w pozie wdzięcznej i pełnej estetycznego układu, na pół pokryta cieniami tłukącymi się po tej wielkiej świątyni, na pół oblana blaskiem chmurnego dnia, tworzyła obrazek pełen artystycznego szyku. A z ołtarza głównego patrzały na nas poważne, surowe, zimne oczy Bożej Rodzicielki i zdawały się mówić:

— Przebaczam tej grzesznicy i temu grzesznikowi.

Ale Dusia nakoniec skończyła swą modlitwę, wstała, zwróciła się ku mnie i w jej dużych, słodkich oczach dostrzegłem łzy. Usiedliśmy obok siebie w ławce, w kącie, zakryci cieniami, niepostrzeżeni przez kilka dewotek wzdychających żałośliwie i szepcących pacierze. Rozmowa nasza, oczywiście dość gorączkowa i urywana, rozpoczęła się od tego, że mi Dusia opowiedziała co się wczoraj działo w pałacyku Rosotempla po mojej ucieczce; że kapitan po scenie ze ścigającym mię szpiegiem, dostał tak silnego ataku nerwowego, że musiano wezwać lekarza, który przedewszystkiem zgniewanego wojownika wpakował do łóżka.

— Ale co w tem wszystkiem jest rzeczą najdziwniejszą i dla mnie zgoła niepojętą — mówiła dalej Dusia — to, że

ani razu nie zapytał się o ciebie, ani półsłówkiem nawet nie zdradził, że widział cię i rozmawiał z tobą i że ty prawdopodobnie uciekłeś. Tego nie rozumiem...

Ja jednak rozumiałem to dobrze. Był to dług wdzięczności za ocalenie własne, w ten sposób spłacony. Przyznaję się, że nigdy nie przypuszczałem, aby ten dziki, okrutny i pełen niezdrowej ambicyi żołdak, był zdolny do odczucia wdzięczności i zapłacenia za czyn dobry czynem szlachetnym. W głębi duszy musiałem przyznać, że ten barbarzyńca wyższy jest nademnie. Wszak on oprócz spraw politycznych, miał ze mną do załatwienia rachunki prywatnej natury, musiał czuć do mnie nieprzebłaganą, nieprzejednaną nienawiść, jaką się czuje do człowieka, który nam odebrał kobietę ukochaną. A jednak pozwolił mi uciec, ocalił mi życie! Ten czyn pogodził mię z rodzajem ludzkim.

— Nie wiem, co będzie z tego — mówiła dalej Józefina — ale dziś słyszałam, że podobno ów szpieg, jeden z ulubieńców gubernatora Bilbao, podał skargę na Rosotempla. Ale sądzę, że on sobie da radę i nie mówmy o nim; mówmy raczej o sobie.

— Tak mówmy o sobie, ale jeszcze słówko, Dusiu. Czy nie wiesz, co się dzieje z Adolfiną?

— Pytałam o to Beli. Podobno Rosotemplo ją schwytał w pałacu, ale zręczna Adolfina, list czy papier jakiś, który miała ze sobą, połknęła. Rosotemplo kazał ją uwięzić i wczoraj odesłano ją gdzieś pod strażą, ale gdzie, nie wiem. Bela zapewne w końcu się dowie. Ale co ciebie obchodzi Adolfina? taka istota... mówmy lepiej o sobie.

Więc wśród melancholijnych półcieniów i półświateł tej wielkiej świątyni, wśród szeptów pacierzy, pod spokojnym, surowym wzrokiem z ołtarza, przy sennym odgłosie organów, które właśnie grać poczęły w głównej nawie, prowadziliśmy dalej rozmowę, często przerywaną, namiętną a spokojną.

Stanęło na tem, że jutro uciekniemy z Bilbao. Nie myślałem tu więcej siedzieć. Spełnię jeszcze to, czego odemnie

zażądał pułkownik Fidebona i jutro z Burczymuchą, lub bez Burczymuchy wyniosę się z tego miasta, w którem przeżyłem tyle strasznych tygodni, tyle okropnych wypadków, a atmosfera którego dusić mię już zaczynała. Postanowiliśmy, że ja zgolę wąsy i przebrany za kobietę, czekać będę w najętym powozie, jutro o godzinie dziesiątej rano tutaj przed kościołem Santa-Cruz; że Józefina przyjdzie tak samo jak dzisiaj, przyniesie ze sobą przepustkę, podpisaną przez Rosotempla, na mocy której będziemy mogli wydostać się za rogatki. Gdym jej się spytał, jaką drogą myśli posiąść taką przepustkę, odrzekła wprost:

— Ukradnę... wiem gdzie je chowa... dostanę i koniec.

Nie wątpiłem, że tego dokona, a mając taką przepustkę z łatwością można było wydostać się z miasta. Ucieszony bliską nadzieją wolności, gdyż pobyt w Bilbao uważałem za rodzaj więzienia dla siebie, pożegnałem Dusię uściśnieniem jej małej rączki, upojony blaskiem jej oczów, wonią fiołków bijącą od niej, i wyszedłem szepcząc:

— A więc do jutra!

Na ulicy ruch był niewielki, czego powodem było szkaradne powietrze. Niebo zaciągnęło się ołowianemi chmurami i deszcz drobny a gęsty, zapowiadający długą, kilkudniową słotę, począł padać. Cieszyłem się z tego szczerze; samo niebo zdawało się sprzyjać naszym zamiarom. W taki psi czas nawet najgorliwszy algasil woli siedzieć pod dachem, niż ścigać podejrzanych ludzi, a na rogatkach z pewnością niechętnie będą wychodzili z budek, by oglądać przejeżdżających. Z lekkiem więc sercem, okryty szczelnie płaszczem, biegłem na ulicę Longa, mijając algasilów, którzy starali się tylko ochraniać od deszczu siekącego niemiłosiernie, a nie zwracali uwagi na przechodniów. Tym sposobem szczęśliwie doszedłem do ulicy wskazanej, przebiegłszy całe niemal miasto bez żadnego wypadku.

Ulica, zwłaszcza w tej części, w pobliżu gmachu ministeryum sprawiedliwości, strojnego w kolumny doryckie i wy-

glądającego w tym dniu słotnym dość ponuro, była prawie pusta Zdala już spostrzegłem olbrzymią postać Burczymuchy, jak przechadzał się wolno, stawał przed oknami sklepów z modami kobiecemi i jakieś znaki dawał zapewne pannom, szyjącym w tych sklepach. Robił wrażenie człowieka, który nie mając nic lepszego do czynienia, wyszedł sobie na przechadzkę dla zabicia czasu. Ale jeżeli to mogło być usprawiedliwionem, w dzień pogodny i słoneczny, to nigdy w taką słotę i w takie zimno. Rzec można, że cudem prawie jakimś uniknął dotąd uwagi algasilów. Przyspieszyłem więc kroku i połączywszy się z moim niefortunnym wachmistrzem, zburczałem go surowo za jego zachowanie się. Zdziwił się tem bardzo i oświadczył, że właśnie był to najlepszy sposób wprowadzenia w błąd policyi, bo przecież człowiek umizgujący się do wszystkich ładnych i nieładnych twarzyczek, nie może być posądzany o udział w spiskach. Ten osobliwszy pogląd, może nie był pozbawiony pewnej słuszności, roześmiałem się więc z tej logiki i dałem pokój łajaniu, zwłaszcza, że zdala spostrzegłem idącego z kimś drugim mego pana Vasco, ale nie de Gama, jak mawiał pan Sumini.

— Czy to jest pański wielkolud? — spytał pan Vasco, wskazując na Burczymuchę.

— Sam pan widzisz, odrzekłem kwaśno, bo spostrzegłem, że Burczymucha słysząc tę nazwę zmarszczył się groźnie; sam pan widzi, że jest to człowiek zwyczajny, nie żaden wielkolud.

Pan Vasco zwrócił się do Burczymuchy i podając mu rękę, rzekł:

— Witam cię, obywatelu. Takich nam właśnie jak ty potrzeba.

Burczymucha dość niechętnie i z ociąganiem, widocznie bardzo obrażony o nazwę wielkoluda, podał swą łapę panu naczelnikowi miasta, nic nie odrzekł i w ogóle do niego się wcale nie odzywał. Tymczasem szliśmy dalej wolnym krokiem, a Vasco opowiadał:

— Jeszcze musimy poczekać... Nie wszyscy się zeszli. Jest już w pułapce, bo ja tak nazywam tę ich schadzkę... he! he! he! prawda, że trafnie?

— Bardzo trafnie.

— Otóż w pułapce jest już rozczochrany, długowłosy poeta Cinsa, jest pan Ricardo Vnento... łajdak, zdrajca... na niego mam największą chrapkę... Któż tam więcej jest, a! oczywiście Ludovico Okularnik, bo ten wszędzie być musi, do wszystkiego się wtrącić. Co jest najzabawniejsze, wyobraź sobie obywatelu, że on dotąd odgrywa rolę naczelnika miasta, nie wiedząc, że go już od trzech dni z tego stanowiska wypędzono, i mnie je powierzono. Zobaczy on teraz... psubrat... co to jest prawdziwy naczelnik miasta!

W jego czarnych, głębogich oczach, zajaśniał zły blask, zęby zgrzytnęły i pięścią nieznacznie pogroził domowi, koło którego właśnie przechodziliśmy. Była to niepokaźna, dwupiętrowa kamieniczka, dość wązka, do której wchodziło się po kilku schodach kamiennych, stara, przeszłowiecznej struktury.

— Zeszli się już wszyscy — mówił dalej pan Vasco i nagle zatrzymując się rzekł — o! widzi pan, idzie ten hycel Miguelo Zezowaty. Czekaj szelmo, zadam ja ci fernepiksu, że mię popamiętasz całe życie.

W rzeczy samej, znany mi doskonale pan Miguelo, owinięty starannie w palto, z kołnierzem podniesionym do góry, szedł po błocie ulicy z głową spuszczoną, zamyślony głęboko. Wszedłszy na schodki zatrzymał się i obejrzał dokoła i zapewne nie widząc nic podejrzanego, nie dostrzegając nas (a właśnie w tej chwili na skinienie pana Vasco tyłem do niego zwróciliśmy się), wszedł spokojnie do kamieniczki.

— To już prawie wszyscy są.

Tu począł liczyć na palcach:

— Cinsa, Rocalini, Narimi, Okularnik, Vnento, Biały, Zezowaty, tak... siedmiu, brakuje tylko jeszcze Don Lupula, ale ten dureń, jako naczelnik spiskowców, uważa, że godność jego wymaga, aby się zawsze spóźniać. Ogółem będzie ich

ośmiu... bo Sylwester, o ile wiem, ma czem innem głowę zajętą, zresztą coś tam z nim tej nocy się stało.

— Co takiego? — spytałem.

— Nie wiem... nie mam jeszcze dokładnego raportu... w każdym razie nie będzie tutaj. A zatem tych panów jest ośmiu, a nas będzie dwunastu.

— Dwunastu? — spytałem — widzę tylko nas czterech.

Pan Vasco uśmiechnął się z wyrazem wyższości na swej niełądnej, ordynarnej twarzy i rzekł:

— Już się pan, mości poruczniku, nie lękaj. Jest nas tylu i wszyscy tu są zgromadzeni w pobliżu. Na moje skinienie wyrosną jak z pod ziemi. Nakryjemy tych łajdaków, jak się czapką nakrywa gniazdo szerszeni i wszystkich capniemy.

Deszcz lał nieustannie i z każdą chwilą się wzmagał i ulica była prawie pusta. Rzadcy przechodnie przemykali się szybko i chyłkiem, nie oglądając się na nic i nikogo. Algasilów nie było wcale widać, tylko o parę domów od kamieniczki, w której spiskowcy się zbierali, stał przed bramą policyant otulony w płaszczu starannie.

— Ten algasil — rzekłem — wydaje mi się niebezpiecznym.

— Śmiej się pan z tego — odparł Vasco.

— Śmiałbym się chętnie, gdybym wiedział, dla czego on tu stoi.

— Dlatego, że w tym domu jest biuro policyjne trzeciego okręgu.

— Jakto? i pod nosem biura policyjnego, my zamierzamy dokonać aresztowania ośmiu ludzi? — zapytałem.

— A tak — odrzekł z dumą Vasco — to właśnie jest najbezpieczniej, bo nikt nie przypuści byśmy byli tak zuchwali. Zresztą ten algasil, który tam stoi, nazywa się Alojzy i należy do organizacyi. Ale otóż i Don Lupulo.

Zdala chodnikiem posuwał się człowiek nizki, krępy, o szerokich barach ale niekształtnej figurze, z głową dużą, osadzoną na krótkim karku, ubrany w bandycki kapelusz,

którego skrzydła, zmoczone deszczem, spadały mu na twarz i zakryły ją do połowy. Szedł ciężko, podpierając się grubym, sękatym kijem i w tym kapeluszu, z tym kijem, wyglądał na rozbójnika. Twarzy jego dostrzedz nie mogłem; widać tylko było, że ma na oczach ciemne okulary i rudą brodę. Szedł on wolno, bardzo ostrożnie, co kilka kroków oglądał się, zatrzymywał pod lada pozorem, obrzucał okiem ulicę, domy, dorożki, ludzi.

— Ukryjmy się w tej bramie — szepnął Vasco — tu jest ministeryum sprawiedliwości, więc niczyjej uwagi to nie zwróci, że tu przystaniemy. Ukryć się trzeba, bo Don Lupulo to szczwany lis, ma węch taki, jak rzadko. Najmniejsze podejrzenie, a zawróci i pójdzie sobie precz, bo dba bardzo o swoją skórę, a mnie właśnie idzie o to, żeby jego... jego przedewszystkiem capnąć. Najniebezpieczniejszy to, najburzliwszy warchoł.

Staliśmy w sieni, po drugiej stronie ulicy, mając wprost siebie kamieniczkę w której zbierali się spiskowcy. Nikt do niej wejść ani wyjść nie mógł, żebyśmy go nie spostrzegli. Czekaliśmy dość długo, aż nam się ukaże Don Lupulo, tak, że Vasco już się niecierpliwił i szeptał:

— Lękam się czy ten łotr nie zwąchał pisma nosem i nie drapnął.

Ale nie drapnął. Zjawił się i wszedł na schody kamieniczki, zatrzymał się i obejrzał bacznie dokoła. Widziałem jak zapuścił wzrok w sień, w której my staliśmy i jak zdawał się badać nasze figury. Ale Vasco dość wcześnie ukrył się za uchyloną bramą, a postać moja, Burczymuchy i nieznajomego młodzieńca, który towarzyszył panu naczelnikowi miasta, były mu nieznane zupełnie. Obejrzawszy nas podejrzliwie, nagle zawrócił, szybko wbiegł na schodki i w ciemnej sieni kamieniczki, na pół niewidzialny zatrzymał się znowu, pilnie badając nas i okolicę. Wreszcie widocznie nasze fizyognomie nie wzbudziły w nim żadnej obawy, bo zagłębił się w sieni i znikł nam niebawem z oczów.

— Mam go! — zawołał Vasco, wyskakując ze swego ukrycia i zacierając ręce z radości.

— Proszę za mną! — dodał zwracając się do nas.

Wyszliśmy na ulicę, gdzie Vasco się zatrzymał i zaczął ze swym kołnierzem od palta, jakieś dziwne wyprawiać manipulacye. Raz podniósł go, znów opuścił, znów podniósł i dokonawszy tej osobliwszej operacyi, ruszył na przełaj przez ulicę do owej kamieniczki, do której wszedł Don Lupulo. Ja, Burczymucha i nieznajomy, a ciągle milczący młody człowiek, szliśmy za nim. W sieni owej kamieniczki pan Vasco zatrzymał się, a zaraz też poczęli się w niej pojawiać, jakby z pod ziemi wyrośli, różni młodzieńcy.

— Dwóch, ty Don José i ty Don Alonso, staniecie tutaj i strzedz będziecie naszego bezpieczeństwa — rozkazywał Vasco — w razie, gdyby się algasile pojawili, co jednak nie jest przypuszczalnem, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże: dacie wiadomy znak. Reszta za mną!

Ruszyliśmy na schody i tu na pierwszem piętrze, do drzwi będących po stronie prawej, Vasco trzykrotnie, z przestankami zadzwonił. Nie prędko mu otworzono, aż wreszcie dało się słyszeć stąpanie ciężkie, jakby w pantoflach, zasuwa ustąpiła i we drzwiach ukazała się stara, sucha kobieta i spojrzawszy na pana Vasco, zapytała dość szorstko:

— A czego to?

Vasco nachylił się i pół szeptem spytał:

— Wszak tu mieszka Don Baltazar de Segowia?

Kobieta małemi, złemi i podejrzliwemi oczami obrzuciła interlokutora i rzekła:

— Proszę, ale zdaje mi się, że już wszyscy są.

— To się aćpani źle zdaje! — zawołał Vasco i odepchnąwszy kobietę wszedł do przedpokoju na pół ciemnego, wołając na nas:

— Za mną!

Poczęliśmy się cisnąć, ale kobieta z krzykiem na nas napadła:

— Czego tu? wynoście się! złodzieje! złodzieje!

Na ten krzyk otworzyły się drzwi, będące w jednej ze ścian pokoju i w nich ukazała się krępa, nizka, z włosem kędzierzawym, gorejącym od blasku z wnętrza pokoju czerwonością, postać Don Lupula.

— Panie Lupulo! — zawołał Vasco — każ tej babie stulić gębę, bo tak w moim jak i panów interesie nie leży, żeby się kto trzeci niepowołany, między nas wmieszał.

Pan Lupulo nic na to nie odrzekł, ale stał niemy, jakby skamieniały, zapewne mocno przerażony, gdyż twarzy jego dostrzedz nie mogłem, bo jak powiadam, stał tyłem do światła. A tymczasem stara kobieta szarpała się przy drzwiach z ostatnimi z naszej partyi i nie przestawała krzyczeć.

— A weźcież mi do wszystkich djabłów tę starą czarownicę — zawołał z gniewem Vasco — i zatkajcie jej gębę! Kto tam stoi we drzwiach? Zamknąć mi drzwi, do krocset!

Po prawej stronie widać było przez uchylone drzwi małą kuchenkę. Tam wepchnięto starą kobietę i zamknięto ją na klucz. Trzepotała się tam jeszcze, krzyczała, ale widać mury w tym starym domu były grube, bo te krzyki były jakieś stłumione, jakby przyduszone, i od czasu do czasu tylko dobiegało nas wymyślanie od hyclów, złodziejów, rozbójników, wypowiadane głosem ochrypłym, w dyszkant piszczący przechodzącym.

Przez ten czas Don Lupulo przyszedł widocznie do siebie, bo cofnął się do pokoju i drzwi zamknął za sobą, a zaraz w zamku rozległ się zgrzyt zakręcającego klucza. Ale przytomny (trzeba mu to przyznać) Vasco, nie dopuścił do tego, szybko i silnie drzwi pchnął, tak, że musiały one uderzyć Don Lupula, bo słychać było jak się ktoś potoczył i padł na ziemię jak długi, klnąc głośno:

— A bodaj cię cholera!...

Pan Vasco z rewolwerem w ręku i my za nim, wkroczyliśmy do dość dużego pokoju o dwóch oknach, wychodzących na ulicę. Widok, jaki mię tu uderzył, miał w sobie coś

wysoce komicznego. W pokoju oprócz łóżka nieposłanego, było kilka krzeseł i duży stół na środku, na którym w malowniczym nieładzie leżały rozrzucone jakieś papiery, duża pieczęć, widocznie nowa, bo mosiądz błyszczał na niej, jak roztopione złoto, paczki tytoniu, papierosy, kałamarz, pióro, parę butelek, skórki od wędlin, nóż i pół bochenka chleba. Wszystko to w rozczulającej zgodzie mieściło się i mieszało ze sobą.

Dokoła stołu stali lub siedzieli w rozmaitych pozach, przeważnie z wyrazem trwogi lub osłupienia na twarzy, zebrani tu spiskowcy. Zauważyłem między nimi pana Białego, tym razem w męskich sukniach, jak stał gryząc wargi, a ze swych stalowych, zimnych oczów ciskającego pioruny, i pana Miguela Zezowatego, który rozwalony na krześle z klasyczną obojętnością ziewał głośno, i Don Ricarda Vnento, jak przysiadłszy na łóżku zawzięcie ogryzał paznokcie. Obok nich, niedaleko gwałtownie otwartych drzwi, podnosił się ciężko z podłogi Don Lupulo, śmiertelnie blady i otrzepując spodnie, klął siarczyście:

— Bodaj was morowe powietrze zdusiło!

W pokoju poza tem panowało głębokie, brzemienne gromami milczenie. A pan Vasco wszedł śmiało, i z szyderczym uśmiechem kłaniał się dokoła, mówiąc:

— Czołem, panowie, czołem. Co widzę i pan Biały tutaj? Od tej chwili możesz pan uważać się za człowieka uwolnionego ze służby. Witam pana Ludwika i pana Zezowatego! A! i pan Vnento? ładna paczka! Co widzę! pan Cinsa tutaj? W sam raz jest to miejsce dla poety. Pan Rocalini? no... pan wszędzie tam jesteś gdzie cię nie posieją. Panie Narimi, masz pan pyszny temat do komedyi. Czego u djabła pan ziewasz tak głośno, panie Miguelu?

— Bo mi się tak podoba! — odrzekł Miguel, ziewając jeszcze głośniej.

Były to pierwsze słowa, które się w tej ciszy denerwującej rozległy i zdawało się, że doprowadziły pana Vasco do

szalonego gniewu, bo zaczerwienił się cały, kark mu się nadął jak u rozjuszonego byka i tupnąwszy nogą, głosem groźnym zawołał:

— Zaraz będziesz płakać, psi synu! Pocoście się tutaj zebrali do milion set djabłów? Możeście myśleli, że władza jest w rękach takich niedołęgów, jak dawniej? Otóż omyliliście się, bo ja teraz jestem u władzy, i drwić z niej nie pozwolę, a warcholskie łby ołowiem myć będę!

— Dość tego! — krzyknął nagle, zrywając się z łóżka Vnento — dość tego! panowie, czyż dozwolicie, by to bydle tak nas traktowało?!

— Ja cię tu zaraz inaczej potraktuję zdrajco! — wrzasnął Vasco. — Jesteście wszyscy aresztowani i pójdziecie ze mną. W razie oporu, jak psów zakłóć każę.

Uspokoił się nagle i zwracając się do jednego ze swoich, rzekł:

— Emanuelu, zabierz te papiery i pieczęć.

A gdy nazwany Emanuelem począł zbierać rozrzucone papiery, Vasco rzekł:

— Mam nadzieję, że na ulicy zachowacie się skromnie, bo w takim razie grozi wam nie sztylet ale garota. No! teraz marsz! szkoda czasu. Każdy z was (dodał, zwracając się do nas) weźmie pod rękę jednego z tych panów i rozmawiając z nim słodko poprowadzi za mną. Panie Don Lupulo, czy mogę panu służyć mem ramieniem? Tak godną osobę, herszta spisków, ja sam poprowadzę. Z wieku i urzędu zaszczyt ten panu należy.

Don Lupulo, rzuciwszy z poza okularów ponure wejrzenie, dał się wziąć pod ramię panu Vasco i tak wyszli we dwóch, jak najlepsi przyjaciele. Z innymi tak samo zrobiono, a reszta naszej partyi, nie mając kogo prowadzić, a między tymi ja byłem i Burczymucha, ruszyła z tyłu.

Na ulicy deszcz lał jak z cebra po dawnemu i dzięki jemu, nie zaczepiani przez nikogo, cała ta osobliwsza banda przeszła spokojnie część miasta i na jednej z ulic, spuszcza-

jących się ku rzece, w drugorzędnym hotelu »de Bavaria« zatrzymała się.

Ponieważ uważałem, że z chwilą wstąpienia tych panów do hotelu, moja misya się skończyła, więc skinąłem na Burczymuchę i wziąwszy przejeżdżającą dorożkę, ruszyłem z nim do domu na ulicę Industria. Spieszno mi było, bo należało wszystko przygotować do jutrzejszej ucieczki z Bilbao, do wyrwania się z tego piekła ludzkich namiętności. Jechałem milczący, zamyślony, snując różne plany i nie odzywałem się wcale, choć Burczymucha, widocznie silnie wzruszony tą osobliwszą wyprawą, w której brał udział, kilkakrotnie mię zagadywał. Wreszcie, pamiętam, machnął ręką i mruknął:

— Niech pęknę, mopanku, jeżeli ja wiem czego oni chcieli!

XVIII.

Miałem teraz mnóstwo zajęcia i przygotowań do jutrzejszej ucieczki i jutrzejszego porwania najpiękniejszej w Bilbao kobiety, i dla poczynienia tych przygotowań drapnąłem tak wcześnie z przed hotelu »de Bavaria« wraz z Burczymuchą, nie doczekawszy się rozegrania dramatu, tak interesująco zaczętego w starej kamieniczce na ulicy Longa. Przygotowania moje były liczne i dość skomplikowane. Na szczęście miałem jeszcze dość pieniędzy, to jest tyle przynajmniej, że mi wystarczyć mogły na wszystko, a potem, co Bóg da.

Najważniejszą rzeczą było dojście do posiadania karety zamkniętej, zaprzężonej w parę dobrych koni i nie mającej woźnicy, gdyż ułożyłem sobie, że te funkcye pełnić będzie Burczymucha, który tym sposobem razem ze mną wydobędzie się z tego piekła, zwanego Bilbao. Pieniędzy nie miałem na tyle, by kupić na własność taką karetę i konie, i na razie nie wiedziałem jak sobie poradzić.

Ale ten dziwaczny przypadek, który nigdy nie opuszcza kochanków i głupców, przypomniał mi, że kiedyś, wśród mnó-

stwa panów, należących do organizacyi, których poznałem w czasie mego kilkutygodniowego pobytu w Bilbao, znajdował się także właściciel tak zwanej remizy, to jest człowiek w tej chwili najpotrzebniejszy dla mnie, posiadający kilka karet i kilkanaście podobno koni. Dawniej, opowiadano mi, że w jego karetach bardzo wielu mocniej skompromitowanych członków junty narodowej, zdołało szczęśliwie wydostać się z Bilbao; co prawda w owe czasy nie wiele mię to obchodziło, ale teraz przyszło mi na pamięć i przedstawiło się jako jedyna deska ratunku i zbawienia.

Nie tracąc więc czasu, po skromnym obiedzie uwarzonym nam przez Anusię (łotr Burczymucha miał dobry gust, bo tak ładnej i zdrowej, tak kształtnie zbudowanej dziewczyny, dawno nie widziałem), puściłem się do owego pana powoźnika, mieszkającego na ulicy Nuova America. Szedłem z pewną obawą, czy ten interes uda mi się zrobić, że użyję wyrażenia handlowego, bo pana Don Alonsa (tak się zwał powoźnik) znałem tylko z widzenia, a on mię, o ile się zdaje, wcale nie znał i może nawet o mnie nie słyszał. Ale innego wyjścia nie miałem i trzeba było ryzykować.

Ale pan Alonso przyjął mię bardzo grzecznie i gdym zaczął od przedstawienia mu siebie, zawołał wesoło:

— Ależ to niepotrzebne, ja znam pana doskonale. Masz poruczniku pewną, dobrze zresztą zasłużoną sławę w organizacyi i wstyd by było nie znać tak dzielnego, tak odważnego młodzieńca. Co? chcesz uciekać z Bilbao? Dobrze robisz. Oddawna już zwracałem uwagę kogo należy, że powinieneś się usunąć. Zanadto wiele zdziałałeś, zanadto jesteś znany policyi, by nie było obowiązkiem organizacyi danie możności ucieczki tak odważnemu jak pan człowiekowi.

Po takim wstępie rzecz szybko i zgodnie ułożyliśmy. Postanowiono, że Burczymucha tego jeszcze dnia przybędzie do powoźnika, przenocuje w stajni, przebierze się w liberyę i jutro rankiem przyjedzie zamkniętą karetą, zaprzężoną w najlepsze, jakie były, konie przed kościół Santa Cruz. Ka-

retę tę, po wydobyciu się szczęśliwem z Bilbao, zostawimy o parę mil od miasta, w miasteczku Nychrat, u wskazanego nam oberżysty, skąd Don Alonso ją sobie później odbierze, a sami już sobie dalej radzić mamy.

Tak się ułożywszy, wróciłem do domu. Deszcz drobny, nieznośny ciągle padał, wicher wył po ulicach prawie pustych i dzięki temu zapewne, te moje ciągłe przechadzki uszły uwagi policyi.

Burczymucha był trochę zdziwiony i niezadowolony tym nagłym naszym wyjazdem, a powód tego niezadowolenia łatwo było odgadnąć. Ukrywał się w postaci ładnej Anusi, którą żal było Burczymusze opuszczać.

— Hm! hm! mopanku — mruczał — po kiego djabła tak prędko uciekać. Przecie moglibyśmy się tu jeszcze na co przydać. Hm! trudno. Skoro taki jest rozkaz, to żołnierz słuchać go musi, ale zawsze, przyznać to trzeba, że służba żołnierska jest psią służbą.

Cały wieczór go nie było. Zapewne żegnał się tak długo i serdecznie z Anusią. Nie przeszkadzałem mu wtem wcale, bo nic mi to nie szkodziło; owszem, zadowolony byłem z tego, bo miałem ciszę, spokojność i mogłem obmyślać moje dalsze plany.

Przedewszystkiem stawało przedemną pytanie pierwszorzędnej wagi, że jeżeli szczęśliwie z Józefiną wydobędziemy się z Bilbao, co zrobię, dokąd zawiozę i gdzie umieszczę tę ukochaną moją? Nie mogłem przecież włóczyć jej ze sobą po obozie, ciągnąć tę delikatną i wykwintną kobietę w nieskończonych i męczących marszach, mieścić ją pod szałasami leśnymi, narażać na śmierć w bitwach. Ale na szczęście przypomniałem sobie, że w okolicach jednego z miasteczek w górach Sierra Santa-Cruz, na wsi ukrytej wśród gęstych borów, miałem starą ciotkę, wdowę od niewiem już wielu lat, kobietę samotną, która dawniej, gdym był młodszy, nim zerwała się owa szalona wichura, która mnie uniosła, okazywała mi wiele przywiązania i nieraz mówiła, że cały swój, dość zna-

czny majątek, mnie, jako jedynemu spadkobiercy zapisze. Później, wśród tylu burz i tylu namiętności, które mą młodością przez kilka lat z rzędu szarpały, zapomniałem o tej dobrej ciotce, jak o wszystkiem zapomniałem, co się nie tyczyło sprawy, której życie oddałem.

Ale teraz stanął mi w pamięci cichy, ukryty w zieleni dworek mej ciotki i jej dobroć dla mnie, i postanowiłem nie gdzieindziej, tylko tam w Bardo (bo tak się zwała wieś mej ciotki Izabeli) umieścić Józefinę. Bardo leżało w rejonie naszych działań i miałem nadzieję, że nieraz będę miał sposobność wpaść do domu ciotki i ukoić me smutki na łonie najpiękniejszej z kobiet. Nie wątpiłem ani na chwilę, że ciotka się na to zgodzi i uspokojony co do tego najważniejszego w tej chwili dla mnie zadania, zająłem się sprawą ubrania kobiecego dla siebie.

Pod tym względem Anusia oddała mi wielką usługę. Za niewielkie stosunkowo pieniądze, przyniosła mi wszystko co potrzeba i nic już nie pozostawało, jak zająć się zgoleniem moich pięknych, tak starannie przezemnie pielęgnowanych wąsów. Burczymucha wynalazł gdzieś jakąś okropną, tępą brzytwę i wśród okrutnego drapania pozbawił mię tej ozdoby twarzy. Smutek mię na widok opadających wąsów ogarnął, ale w tem życiu, jakie od kilku lat pędziłem, tyle już zrobiłem poświęceń, że jedno więcej cóż znaczyć mogło?

Wieczorem Burczymucha wyruszył z żalem wielkim do stajni pana Alonso. Anusia żegnała go długo i serdecznie, i w nocy słyszałem przez wązką ścianę, dzielącą miejsce mego spoczynku od jej alkierza, gorzkie szlochanie i płacze.

Załatwiwszy w ten sposób wszystkie interesa, pełen najlepszych nadziei, ciesząc się, że za kilka godzin opuszczę nienawistne mi Bilbao, rzuciłem się na twarde łóżko Burczymuchy i poraz może pierwszy od kilku tygodni zasnąłem snem mocnym i pokrzepiającym, snem minionej mej młodości.

Nazajutrz wczesnym rankiem, zerwałem się z pościeli wypoczęty doskonale i rzeźki i wesoły. Przy pomocy Anusi

ubrałem się w suknie kobiece, przyczem nie obyło się bez śmiechów i żartów, które nawet pobladłą i melancholijną twarzyczkę Anusi rozweseliły. Wreszcie pożegnałem tę dziewczynę, obdarzając ją paru dublowanemi w złocie i puściłem się pieszo do kościoła Santa Cruz. Nadzwyczaj niewygodnie mi było iść w sukniach kobiecych i spódnice plątały mi się ciągle między nogami i bałem się stawiać zwykłych mych kroków, więc dreptałem drobniutko, bo zdawało mi się, że w ten sposób najlepiej naśladuje się chód kobiecy. Twarz miałem zasłoniętą gęstą woalką, a mimo to zdawało mi się, że każdy przechodzień, każdy policyant widzi we mnie przebranego mężczyznę. Mimo to dostałem się szczęśliwie do kościoła i zauważyłem, że na drugiej stronie ulicy, gdzie było miejsce wyznaczone dla dorożek i powozów, stoi kareta zaprzężona w niezbyt pokaźne, ale nadzwyczaj silne konie, a na koźle, w liberyi trochę za ciasnej siedzi mój Burczymucha, pali cygaro, rusza wąsiskami i ogląda się bacznie dokoła.

Dzień był pochmurny i wietrzny, a choć wczorajszy, nieznośny i jesienny deszcz ustał, jednak mgła unosiła się w powietrzu, a niebo ołowiane, poszarpane bałwaniącemi się chmurami, zapowiadało, że wczorajsza słota znowu się powtórzy. Dziesiątej godziny jeszcze nie było i w posępnych nawach kościoła, zaciemnionych od przyćmionego dnia, Józefiny jeszcze nie znalazłem. Osób było nie wiele. W ławkach siedziało kilka starych dewotek, przed jednym z ołtarzy ksiądz Mszę Świętą odprawiał cicho i leniwie, w przedsionku klęczało paru wyrobników i pod sklepieniem tej wielkiej świątyni unosiła się wizya nieprzebranego smutku, nudy i melancholii.

Ale niebawem zjawiła się Józefina, ubrana w płaszcz szeroki, w kapturze na głowie, zakwefiona, pełna niepokoju i nerwowych ruchów. Uklękła na chwilę, pomodliła się krótko, wstała potem i podeszła do mnie, ukrytego w cieniu przedsionka, pytając szeptem:

— Czy wszystko gotowe?

— Gotowe. Masz przepustki?

— Mam.

— Więc uciekajmy.

Wyszedłem pierwszy i ruszyłem ku karecie. Pamiętam jak Burczymucha zoczywszy zbiżającą się jakąś kobietę do karety, patrzał, patrzał i gdym schwycił za drzwiczki spytał:

— A co to u krocset djabłów?

— Cicho bądź stary — syknąłem — to ja...

— Pan porucz...

Nie skończył, uderzył się pięścią w usta i zawołał:

— A niechże cię krocset djabłów porwie!

Józefina znalazła się już przy mnie, wskoczyła zwinnie do karety; a ja za nią, poczem rzekłem do Burczymuchy:

— Jedź na rogatkę południową i nie żałuj koni!

Bat świsnął i pędem ruszyliśmy naprzód. Zaraz też, jakby niebo tylko tego czekało, puścił się ów gęsty, nieznośny, drobny i zimny jak lód deszcz, który wszystkich algasiłów i strażników zapędzał pod dach. To też na rogatce nie robiono nam prawie żadnych trudności. Jakiś owinięty od stóp do głowy w gumowy płaszcz oficer, odebrał od nas kartkę, mrucząc coś pod nosem, rzucił na nią okiem, potem w głąb powozu i krzyknął na Burczymuchę:

Ruszaj!

Podniósł się szlaban, przejechaliśmy przez niego, Burczymucha zaciął konie i byliśmy za granicami Bilbao, wolni, szczęśliwi, sobie tylko oddani.

XIX.

W czasie drogi Józefina trochę płakała, trochę rozpaczała i zdawała się żałować swego kroku, ale pocałunki moje, zaklęcia, słowa uspokoiły ją i z właściwością swej wrażliwej niesłychanie natury, która miała dla mnie wolę niepospolitą, zapomniała wkrótce o swych żalach i śmiała się i była wesołą. Opowiadała mi swoją ucieczkę z domu, powiedziała, że zdołała zabrać wszystkie swe klejnoty, że ma pieniądze, że

wreszcie o Adolfinie tyle się dowiedziała, iż biedną tę, ale dzielną dziewczynę zamknięto w fortecy.

— Nie sądzę jednak, kończyła swą opowieść kochanka moja, by dziewczynie tej jakie poważne zagrażało niebezpieczeństwo. Zostawiłam Beli trochę pieniędzy, prosiłam jednego z ulubieńców Rosotempla, ażeby zrobił co mógł, by dziewczynę tę uwolnić i pewna jestem, że ją wkrótce uwolnią. Wszystko to dlatego tylko uczyniłam, że taż panna Adolfina tobie, mój jedyny, tyle usług oddała.

Za te słowa byłem bardzo wdzięczny Józefinie, choć czuć w nich było tę niezmierną pogardę, jaką żywią kobiety uczciwe, albo mające się za uczciwe, do takich istot nieszczęśliwych jak Adolfina i czuć było dalej pewien odcień zazdrości i wyrzuty, że mnie mogła interesować jakaś tam ladacznica. Ale nie zważałem na to i nie chcąc drażnić mej pięknej towarzyszki, nie pytałem więcej o Adolfinę.

Jechaliśmy szybko. Burczymucha nie żałował koni, bo czuł zapewne zrazu, że im dalej znajdziemy się od Bilbao, tem bezpieczniej będzie dla nas. Deszcz lał ciągle, ów deszcz jesienny, drobny, zimny, szkaradny. Niebo zaciągnięte było chmurami i świat wyglądał bardzo ponuro i bardzo smutnie.

Po paru godzinach takiej jazdy przybyliśmy do miasteczka Nychratu i przepytawszy się o owego oberżystę, u którego mieliśmy zostawić konie i karetę, zajechaliśmy do niego. Przyjął nas bardzo dobrze, a gdym mu powiedział o owych koniach i karecie, uśmiechnął się i rzekł:

— Alboż to co nowego? Ja te konie i tę karetę już z pięćdziesiąt razy odsyłałem. Niema tygodnia, żebym tego nie robił.

Zaprowadził nas do swego alkierza, którego jedyne okno wychodziło na dziedziniec, gdzie właśnie Burczymucha zrzucał ze siebie liberyą i oddawał parobkowi konie, i przyrzekł, że najdalej za kwandrans da nam wyborną krytą bryczkę i parę koni, które nas powiozą dalej, do najbliższej stacyi poczty rewolucyjnej. Trzeba bowiem wiedzieć, że mieliśmy swoje po-

czty, oczywiście tajne, i mając w ręku kartkę właściwej władzy (a ja taką kartkę miałem oddawna), można było bez kosztów i bez niebezpieczeństwa cały kraj przejechać.

Siedzimy tedy z Józefiną w onym alkierzu, przyczem ja zrzuciłem ze siebie suknie kobiece, rozmawiamy o rzeczach potocznych, przyczem ja patrzę na dziedziniec, jak Burczymucha coś opowiada parobkowi, na deszcz lejący niemiłosiernie, gdy nagle na tenże dziedziniec wpada bryczka kryta, zaprzężona w dwa zziajane konie i z kozła jej złazi kto? Huan, ów Huan, przemytnik, który bawił w Bilbao, którego widziałem parę razy, a który z czasem znikł mi zupełnie z oczów i o którym zapomniałem z kretesem.

Widok tego człowieka, którego mocno nienawidziłem, w takiej chwili i w takich okolicznościach, w jakich ja się wówczas znajdowałem, zdziwił mię nadzwyczajnie. A przytem ruchy, widoczny niepokój na twarzy przemytnika, zziajane okryte pianą, robiące bokami konie, nakoniec postępowanie jego całe, wzbudziły we mnie podejrzenie. Gdy wjechał i zatrzymał konie, przedewszystkiem spojrzał na rozmawiającego z parobkiem Burczymuchę, ale widocznie nie poznał go, bo zeszedł z kozła dość leniwie, podszedł do bryczki, podniósł zakrywające ją płótno i zajrzał do wnętrza. Rzuciłem i ja tam okiem i zdawało mi się, że widzę suknię kobiecą.

— Co u djabła — pomyślałem sobie — co on tu robi! Trzeba to zbadać.

Pod pierwszym lepszym więc pozorem wyszedłem z alkierza, żeby pójść na dziedziniec i dostawszy się do sieni, ujrzałem Huana rozmawiającego z oberżystą. Stał do mnie tyłem zwrócony i usłyszałem, jak swym grubym, szorstkim, ordynarnym głosem wołał:

— Ale co mi tam, do wszystkich djabłów, jegomość gadasz! Ja muszę mieć konie. Mnie się spieszy tak, że mi się pali pod nogami.

Zbliżyłem się i uderzając go lekko w ramię, spytałem:

— A gdzież ci się to tak spieszy mości Huanie?

Zwrócił się żwawo i swe złe, czarne oczy wlepił we mnie z wyrazem wielkiego niepokoju i hamowanego gwałtem gniewu. Widocznie nie poznał mię odrazu, bo zawołał:

— A panu co do tego? kto pan jesteś i dlaczego mieszasz się w nieswoje rzeczy? ja nie pytam...

Ale nagle urwał, wpatrzył się bystrzej we mnie i na pół do siebie, na pół głośno szepnął:

— Gdzie u cholery ciężkiej ja tę mordę widziałem?

— Gdzieś widział, to mniejsza, dosyć, że ja cię znam i radzę ci grzeczniej i z większem uszanowaniem do mnie przemawiać.

Pobladł trochę, niepokój zamigotał w jego oczach, któremi począł bacznie na wszystkie strony spoglądać i zdejmując czapkę rzekł:

— Przepraszam pana porucznika... nie poznałem... tak, pan porucznik Valery.

— Mniejsza o to, kto ja jestem. Dokądże to jedziesz, i co to za kobieta siedzi tam na bryczce?

Zmieszał się nadzwyczajnie i zrobił taki ruch, jakby chciał uciekać, ale na szczęście we drzwiach od podwórza zjawiła się teraz olbrzymia postać Burczymuchy, tak, że odwrót dla Huana był zagrodzony.

— Kobieta! — zawołał — co za kobieta? Tam żadnej niema kobiety, zdawało się panu porucznikowi. Skądżeby znowu kobieta.

Uśmiechnął się niby, ale kwaśno i wciąż strzelał na wszystkie strony oczami.

— Nie zapieraj — zawołałem — widziałem tam kobietę.

Zawahał się chwilę, wreszcie zbliżywszy się do mnie począł szeptać:

— Niech pan porucznik tak głośno, z łaski swojej, nie mówi. Poco kto ma wiedzieć? Wiozę nie kobietę, ale mężczyznę przebranego za kobietę. Trudno... inaczej nie można się było wydostać z tego przeklętego mieściska. Pan porucznik to rozumie.

Mówił to z pewną poufałością, tym tonem jakbyśmy obadwa jedną i tę samą rzecz robili i w jednakowych byli okolicznościach, ale w głosie jego dygoczącym czuć było straszliwą obawę, oczy ciągle spoglądały na drzwi, a ruchy miał takie, jak gdyby tylko chwili przyjaznej czekał, by nagłym skokiem wychylić się z tej sieni, w której rozmawialiśmy.

— A ktoż to jest ten mężczyzna?

— Kto? albo ja wiem... a zresztą pan porucznik go nie zna... i wiadomo, że najlepiej nie mówić o takich rzeczach.

— To nie twoja rzecz o czem ja mam mówić, lub nie. Kto jest ten mężczyzna?

— Ale zaręczam, że pan porucznik go nie zna.

— To do ciebie nie należy. Gadaj mi zaraz do stu djabłów! — zawołałem zniecierpliwiony tem wszystkiem, a zwracając się do Burczymuchy zawołałem:

— Ignacy, idź no i zobacz kogo ten dureń przywiózł!

Huan zzieleniał, skoczył, jakby go kto oparzył i zaczął mnie prosić:

— Niech nie chodzi, niech nie chodzi... proszę pana porucznika, już powiem... powiem zaraz!...

Był w strasznej trwodze, język mu się plątał i ślinę głośno przełykał. Co do mnie nie myślałem wcale cofnąć rozkazu, bo w całem zachowaniu się Huana widziałem coś mocno podejrzanego, ale Burczymucha sam się zatrzymał, zapewne powodowany ciekawością usłyszenia, kto jest ów mężczyzna tak tajemniczo siedzący w budzie i przebrany za kobietę. Huan ze swoją zieloną twarzą, oczami unikającemi spojrzenia, pełnemi niewypowiedzianej trwogi i wściekłości, kręcący się cały tchórzliwie, przełykający głośno ślinę, był nadzwyczaj wstrętny i odrażający.

— Więc gadaj kto tam jest! — zawołałem.

— Proszę pana porucznika... to jest pan Biały... pan wie, ten co to się zawsze za kobietę przebierał.

Wydawało mi się to bardzo prawdopodobnem. Cóżby bowiem było w tem dziwnego, gdyby Biały, skompromitowany

mocno wobec władzy, która sobie nadała nazwę »prawej«, i wobec władzy rewolucyjnej, czyli »stronnictwa nierządu«, jak ją tytułował organ oficyalny, cożby, powtarzam, było dziwnego, gdyby pan Biały uciekł z Bilbao. Nie myślałem go zresztą ani zatrzymywać, ani z nim rozmawiać; wszyscy ci panowie dość przykrych pozostawili mi wspomnień, bym je miał znowu sobie uprzytomniać. Dlatego też nie rzekłszy ani słowa, przejęty wstrętem do ohydnej postaci Huana, zawróciłem się i już byłem przy drzwiach izby, gdy nagle usłyszałem donośne wołanie Burczymuchy:

— Panie poruczniku, panie poruczniku!

— Co takiego?

— A to mopanku, że ten hycel — tu wskazał na drżącego Huana — łże, jak najęty.

Ledwie to wyrzekł i nim zdołałem się odwrócić, nagle dobiegło moich uszu ciężkie uderzenie, jak gdyby kto zwalił się na ziemię, tupotanie i straszny wrzask wachmistrza:

— A bodaj cię, szelmo, potrójna zdusiła cholera!

Odwróciłem się żywo i oto co ujrzałem. Wachmistrz jak długi leżał na ziemi, z której podnosił się ciężko, trzymając się oburącz za brzuch, a Huan wypadał jak szalony przez otwarte i swobodne teraz drzwi na dziedziniec. W jednem okamgnieniu zrozumiałem sytuacyę i przeskakując przez gramolącego się na ziemi i klnącego w niebogłosy wachmistrza, rzuciłem się za uciekającym Huanem. Ale wyprzedził on mię znacznie, i w chwili, gdym wypadł na podwórze, on już przesadzał parkan i potrząsając pięścią wołał:

— Zobaczymy się jeszcze!

Popędziłem za nim, ale gdym dopadł parkanu już zbiega nie było widać: zginął w labiryncie różnych zabudowań gospodarskich, za któremi rosną gęste krzaki, a potem las się zaczynał. Miotany gniewem i niepokojem, zawróciłem i spotkałem Burczymuchę, który szedł bardzo skrzywiony i trzymał się za brzuch i pytał:

— I co? uciekł?

— Uciekł!

— A! żeby cię szelmo... mopanku... za życia robaki zjadły, a żebyś skiśniał! to ci mię hycel poczęstował!

— Co się stało? — pytam — jak to było?

— A jak! kiedy pan porucznik uwierzył temu wisielcowi, że tam w budzie siedzi jakiś Biały, to ja, mopanku, nie uwierzyłem... ten łotr widocznie łgał, a ja jestem stary wyjadacz i mnie w pole nie wyprowadzi. O! już mi lepiej, ale też hycel ma twardy łeb.

— A cóż on ci zrobił?

— A szelma, tak mię łbem palnął w brzuch, żem, mopanku, odrazu koziołka fiknął, i boję się, czy mi tam żołądka, albo z przeproszeniem bebechów nie nadwerężył. Ho! ho! wiedział on czem to pachnie. Bo tam, panie poruczniku, nie żaden Biały siedzi w budzie, ale leży nieprzytomna, a może umarła i powiązana sznurami ta piękna dama, co to ją widzieliśmy w chacie tego łotra, gdy się generał Casobi przeprawiał, i którą w Bilbao nasi nazywali panią Teresą. Ale mię też łajdak zdzielił, a bodaj cię, mopanku, wszy zjadły!

Nie słuchałem już tego, ale jednym skokiem znalazłem się przy budzie, stojącej ciągle na podwórzu, pod potokami ulewnego deszczu. Tak, to była ona, owa dystyngowana, piękna, jak posąg starożytny, pani Teresa. Leżała na wznak na poduszkach powozu, z twarzą do połowy owiniętą chustką, blada śmiertelnie, z oczami zamkniętemi, z rękami skrępowanemi, nieżywa, sądząc według wszelkich pozorów. Jaki dramat się rozegrał, jaką rolę w nim odegrał ponury i nieokrzesany Huan, skąd się pani Teresa wzięła tutaj, ona, którą zostawiłem uwięzioną w cytadeli w Bilbao? oto pytania, na które oczywiście w tej chwili odpowiedzi znaleźć nie mogłem.

Ale nie czas było myśleć o tem wszystkiem. Może w tem pięknem ciele tkwi jeszcze iskra życia, którą rozdmuchać należy. Zawołałem narzekającego i klnącego ciągle Burczymuchę i wspólnemi siły wydobyliśmy z powozu nieszczęśliwą. Zdawała się być martwą, ciało na naszych rękach gięło się i ła-

mało, a to com teraz zobaczył grozą mię przejęło. Obie dłonie pani Teresy, szal, który miała zarzucony na sobie, suknia cała, były zbroczone krwią.

— A, łotr, zamordował ją! — zawołałem.

Burczymucha przygryzł wąsy i mruknął:

— No, niech ten łajdak wpadnie w moje ręce, zduszę szelmę jak szczenię!

Zanieśliśmy biedne ciało do alkierza, gdzie przyłożywszy rękę do piersi uczułem słabe, febryczne bicie serca. A! więc jeszcze żyła. Józefina i żona oberżysty zajęły się co prędzej cuceniem pani Teresy, a samego oberżystę ja wysłałem po doktora. Dzięki tym wszystkim zabiegom pani Teresa przyszła wkrótce do siebie, ale była tak osłabiona i tak widocznie zdenerwowana, że lekarz zabronił wszelkiej z nią rozmowy i wszelkich wzruszeń, gdyż życie w tej nieszczęśliwej, ofiarnej istocie na słabej, wątłej nici się trzymało. Według zdania lekarza, należało koniecznie, by chora choć tydzień wypoczęła. Wytłumaczyłem mu, że to jest niemożliwe, że ani ona, ani my tak długo w tem miasteczku, leżącem przy drodze bitej, którą ciągle przechodziły oddziały nieprzyjacielskie, pozostawać nie możemy, że trzebaby wszystko robić, by najdalej jutro rano chora razem z nami puścić się mogła w dalszą drogę. Postanowiłem bowiem zabrać panią Teresę i umieścić ją także w Bardzie u mojej ciotki. Ale młody lekarz był niewzruszony.

— To jest niemożliwe — rzekł — ta pani potrzebuje koniecznie dłuższego spoczynku i ja na swoją odpowiedzialność życia jej brać nie chcę.

Cóż było robić? Pomimo widocznego, grożącego nam w każdej chwili niebezpieczeństwa, zdecydowaliśmy się z Józefiną czekać do jutra rana. Jeżeli się chorej nie polepszy, z żalem mieliśmy ją pozostawić na opiece oberżysty.

Takie było położenie, które jednak w niczem nie wyjaśniało, skąd pani Teresa znalazła się tutaj w towarzystwie Huana, i skąd ta krew, którą miała na rękach i sukni, po-

chodziła. Okazało się bowiem, że na jej ciele nie było najlżejszej nawet rany. Mnie przytem męczył zagadkowy stosunek tej wykwintnej kobiety do takiego gbura, jakim był Huan, stosunek, który mię już wtedy, tam w chatce przemytnika, w chwili przeprawy generała Casobi uderzał. Pani Teresy pytać nie można było; najprzód lekarz tego jak najsurowiej zakazał, a potem ona sama była na pół nieprzytomna, senna jakaś i milcząca jak grób.

Pozostawaliśmy więc w zupełnej nieświadomości, robiąc najróżnorodniejsze przypuszczenia, gdy nad wieczorem oberżysta przyniósł świeżo przybyłe pocztą z Bilbao listy i gazety, a między niemi, czytany niegdyś przezemnie na ulicy Dora, oficyalny organ *Gazetta Universale*. Nie przypuszczając, bym tam mógł w nim co ciekawego znaleźć, przez proste przyzwyczajenie wziąłem go do ręki i na samym wstępie, gdzie zwykle drobnym drukiem pomieszczano wiadomości urzędowe, znalazłem tytuł tłustem pismem odbity: »Nowe morderstwo stronnictwa bezrządu«.

Relacya była jasna, treściwa i brzmiała jak następuje:

»Dnia dzisiejszego, o samym świcie, straż, złożona z lekkiej kawaleryi, objeżdżając, według raz zaprowadzonego porządku, okopy miejskie, znalazła w rowie zwłoki zakłutego sztyletem w sposób barbarzyński jednego z najczynniejszych i najenergiczniejszych algasilów prawej władzy, znanego pod nazwiskiem Sylwestra. Śledztwo na miejscu przeprowadzone okazało, że w pobliżu miejsca zbrodni, stała bryczka, zaprzężona w parę koni i ślad tej bryczki znaleziono aż do miejsca, gdy wjechała na drogę bitą, gdzie oczywiście ginął. Na parę dni przedtem Sylwester wyjednał pozwolenie władzy na przeniesienie z kazamatów twierdzy do więzienia miejskiego niejakiej Teresy, oskarżonej, że brała udział w zamachu na księcia di Monti. Nocy dzisiejszej kobieta ta zdołała zbiedz z więzienia, a wieczorem widziano Sylwestra w towarzystwie jakiegoś krępego mężczyzny, kręcącego się koło gmachu rzeczonego więzienia. Zdaje się, że między ucieczką rzeczonej

zbrodniarki Teresy, a morderstwem Sylwestra zachodzi ścisły związek. Władze nakazały jak najenergiczniejsze śledztwo. Na wszystkie strony wysłano konne oddziały lekkiej jazdy i karabinierów, pod ogólnym kierunkiem kapitana Rosotempla, (który, z radością o tem donosimy naszym czytelnikom, przyszedł już zupełnie do zdrowia), dla wyśledzenia owej bryczki i owego mężczyzny, z którym widziano po raz ostatni Sylwestra. Mamy nadzieję, że wkrótce będziemy w możności donieść, że nowa ta zbrodnia stronnictwa bezrządu, splamionego tylu morderstwami, znalazła zasłużoną karę«.

Relacya ta rzucała na tajemniczą historyę pani Teresy jasne światło. Widocznem było, że Sylwester przy pomocy Huana (bo nikt inny owym krępym mężczyzną być nie mógł) wykradł z więzienia miejskiego panią Teresę, i uniósł ją aż do okopów, gdzie przez Huana, dla powodów trudnych do odgadnięcia, został zamordowany. Krew na rękach i sukniach pani Teresy, była krwią jej męża.

Ale co było w tem wszystkiem najgroźniejszego, to, że według relacyi dziennika rozesłano konne oddziały na wszystkie strony, pod ogólnym kierunkiem Rosotempla, który z pewnością ścigając zbrodniarza, głównie jednak ściga swą zbiegłą żonę. Niebezpieczeństwo było groźne. Miasteczko, w którem zatrzymaliśmy się, leżało przy drodze bitej i zaprawdę dziwną było rzeczą, że dotąd w nim nie pokazali się żołnierze Rosotempla. Ale jeżeli się nie pokazali, to mogą się lada chwila pokazać i byłoby wierutnem głupstwem i szaleństwem czekać tu dłużej.

Nie tracąc więc czasu zawołałem oberżysty, kazałem mu zaprzęgać do dorożki, pozostawionej przez Huana i zażądałem, by nas przez parę mil bocznemi drogami powiózł dalej. Zgodził się na to chętnie i za chwilę, ja, Józefina i Burczymucha wymykaliśmy się boczną bramą w pole, w kierunku onych gęstych krzaków i lasu. Wieczór już zapadał, deszcz lał po dawnemu, mgły włóczyły się po polach i otucha we mnie wstąpiła. Gdyśmy wjeżdżali do lasu, zdawało mi się, że wiatr

przyniósł tentent koni, pędzących po gościńcu i brzęk szabel, ale może mi się to zdawało tylko...

Oberżysta wiózł nas przez pół nocy po zapadłych dziurach i drogach, i gdyśmy się zatrzymali dla odpoczynku w jakiejś chatce w lesie u znajomego mu karczmarza, pożegnał nas, życząc szczęśliwej drogi. Wręczyłem mu kilka realów dla pani Teresy, oraz kartkę, którą poleciłem jej oddać gdy przyjdzie do siebie. W kartce tej prosiłem, by przybywała do Bardo i wskazywałem, którędy i jakim sposobem bezpiecznie ma się tam dostać.

XX.

Dobiliśmy do Bardo szczęśliwie, jakkolwiek nieraz musieliśmy nakładać drogi, krążyć, omijać niektóre miejscowości, w których miały się znajdować oddziały wojsk rządowych. Kręciły się one na wszystkie strony i dość głośno mówiono o wielkiej wyprawie, którą przedsięwziął nieprzyjaciel ze znacznemi siłami, przeciw organizującemu się w górach Sierra Santa-Cruz, generałowi Casobi. Wiadomości te podniecały mię nadzwyczajnie i pragnąłem lotem ptaka dostać się do obozu, do moich towarzyszy, do mego dzielnego plutonu, który tak dawno opuściłem, i przyjąć udział w gotujących się, niewątpliwie licznych i zaciętych walkach. Z drugiej zaś strony, ta podróż we dwoje z ukochaną kobietą, wśród grożących nam niebezpieczeństw, wśród jazdy po drogach bocznych, lasach i ścieżynach ledwie uczęszczanych, podróż mająca wszystkie cechy ucieczki, cała romantyczna, jakby wycięta ze średniowiecznego romansu o rycerzu Wiesławie i kasztelance Heligundzie, należała do najmilszych, najsłodszych, najszczęśliwszych chwil w mojem życiu. Teraz dopiero poznałem jakie nieocenione skarby miłości, poświęcenia, heroizmu i kobiecej łagodności, mieściło w sobie serce mej drogiej Józefiny. Ileż to razy tłukąc się wśród deszczu, który przez cały czas podróży naszej padał, po borach, wąwozach i przepaścistych

skałach, traciłem cierpliwość, niepokoiłem się nadzwyczajnie o jej i swój los, zależny w tej chwili od przypadku, od pierwszego lepszego podjazdu nieprzyjacielskiego, a ona swym spokojem, swem różowem, zawsze jednakowem usposobieniem dodawała mi odwagi i koniecznej w takich razach, krwi zimnej. Dziwiła mię też nadzwyczajnie ta zmiana, zaszła w jej charakterze. Dawniej, przed tą ucieczką naszą była to kobieta nerwowa, namiętna, pełna egzaltacyi, nagłych wybuchów i zupełnego potem upadku ducha, dziś wszystko to zniknęło i miałem przed sobą istotę cichą, łagodną, pełną pozagrobowego spokoju. Gdym się jej pytał, jak się to stało, że w niej taka ogromna, taka ważna zaszła zmiana, odrzekła:

— Bom osiągnęła to czegom tak gorąco pragnęła i jestem teraz cicha i wdzięczna w głębi duszy Bogu... bo cię kocham wreszcie!

Na taki argument, poparty gorącym pocałunkiem, nie było odpowiedzi i ta niepojęta zmiana usposobienia mej ubóstwianej pozostała dla mnie na zawsze zagadką.

W Bardzie przyjęła mię ciotka z radością, zdziwieniem i obawą. Zdziwienie miało swe źródło w widoku Józefiny, którą zarekomendowałem jako mą narzeczonę, prosząc ciotkę, by ją przyjęła i opiekowała się nią, aż do ukończenia tej nieszczęśliwej wojny, aż do chwili, w której będę mógł zaślubić moją ukochaną. Staruszka ciekawie przypatrywała się Józefinie, miała jakieś podejrzenia, a może coś słyszała, ale pomna praw gościnności ze staroświecką nieco kurtuazyą ofiarowała siebie i swój dom na usługi gościom. Oczywista rzecz, nic nie mówiłem o istotnem położeniu Józefiny, ani o jej stosunku do mnie, bo najprzód wcale to było niepotrzebne, a potem nie chciałem zakłócać spokoju i sumienia mej ciotki. I tak w jej dom cichy, w którym wszystko szło według porządku, od lat kilkudziesięciu przyjętego, w którym o jednej godzinie wstawano, jadano, kładziono się spać, gdzie panowała atmosfera ładu i wysoko nastrojonej moralności, nasze przybycie musiało niemały zamęt, chaos i niepokój wywołać. Cio-

tka zgadzając się na przyjęcie Józefiny, której zaraz oddano do dyspozycyi niewielki pokoik od ogrodu, błękitną materyą wybity, umeblowany dostatnio, choć nieco z staroświecka, za nic nie chciała, bym długo bawił pod jej dachem.

— Niema dnia — mówiła — żeby tu nie wpadały podjazdy nieprzyjacielskie. Teraz ich wszędzie pełno, kręcą się jak opętane. Jeszcze cię tu złapią lub zabiją. Uciekaj więc i bądź spokojny o twoją narzeczonę.

Zabawiłem więc niedługo, kilka godzin zaledwie i uważałem, że Józefina swym taktem w postępowaniu, umiejętnością obejścia, dobrem wychowaniem powoli zyskiwała serce staruszki, tak, że ta, na odjezdnem mojem, mówiła mi:

— Twoja Józefina podoba mi się, choć jest nadzwyczaj smutna.

— Ba! moja ciociu, cieszyć się i weselić niema czego.

— I to prawda. Ciężkich dożyliśmy czasów. Ale uciekaj, bo cała drżę o ciebie.

Siadłem więc na bryczkę i wyjechałem, wypytawszy się wprzód, gdzie może znajdować się obóz generała Casobi. Dokładnie nie umiano mi nigdzie powiedzieć, choć pytałem się o to po drodze wszystkich. Wczoraj był tu, onegdaj tam, ciągle jest w ruchu i marszach, mówiono. Radzono mi wszędzie zachowywanie jak największej ostrożności, gdyż cała okolica, całe Sierra Santa-Cruz przepełniona jest wojskami nieprzyjacielskiemi. Jechałem więc bocznemi drogami, po górach i wąwozach, czasem na przełaj, przez bory i pola, wreszcie trafiłem na ślad oddziału naszego i pędząc za nim całą noc, dopędziłem go na parę godzin przed świtem we wsi Otie-sanci.

Z jakąż radością, jakże mi wesoło serce zabiło, gdym zbliżając się do wsi wczesnego świtu jesiennego, pełnego chmur i mgieł posępnych, ujrzał na drodze konną widetę i chorągiewkę na lancy ułana i usłyszał głośne pytanie:

— Kto jedzie?

Obóz zastałem już w ruchu, pomimo, że ledwie niebo szarzało na wschodzie. Wieś, w której nocowano, tworzyła

jedną długą ulicę, na końcu której znajdował się dwór, gdzie jenerał i cały sztab kwaterował. Ulica ta zajętą była mnóstwem podwód, dochodzących do kilkuset wozów i koni, użytych do przewiezienia piechoty, w celu szybszego wymknięcia się z obławy nieprzyjacielskiej. Gwar i zamęt tu był nie do opisania. Wozy zaprzęgano, liczni jeźdźcy napędzali woźniców, by się spieszyli, a droga tak była zatarasowana, że musiałem pieszo przemykać się dla dostania się do domu. Straciłem na to dużo czasu i świt się już robił, gdy dobiłem się nakoniec do kwatery głównej.

Na ganku, pod murowanymi filarami, stał generał Casobi, otoczony swoim sztabem, nadzwyczaj niespokojny jakiś, wydający rozkazy, szepczący ze swym szefem sztabu, pułkownikiem Sigismundo. Przedstawiłem się tym panom, a generał spojrzał na mnie i zawołał:

— A! porucznik Valery! z czem przyjeżdżasz?

— Z niczem generale, wracam do szeregów.

— Ach, tak! to dobrze... nie masz więc żadnych depesz?

— Nie mam.

— Trafiłeś poruczniku na złą chwilę, jesteśmy ścigani przez przeważającego nieprzyjaciela. Lada chwila spodziewam się bitwy...

— Sądzę, owszem, że to dobra chwila — odrzekłem.

Ale generał już nic nie rzekł, odwrócił się i rozkazywał:

— Na koń panowie!

Rzucono się do koni a ja zostałem na ganku, nie wiedząc co ze sobą robić. Byłem bez broni, prócz rewolweru, który ze sobą z Bilbao wywiozłem i nie miałem konia. Na szczęście zjawił się Burczymucha i przewidując, że tak będzie, przyprowadził mi osiodłaną jakąś szkapę i szablę. Podziękowałem mu za tę przezorność, dosiadłem konia, szablę przypasałem i nie mając nic innego do roboty, puściłem się za sztabem.

Z trudnością wydobyliśmy się z pośrodka podwód na pole za wieś. Tam już stały z bronią do nogi dwa bataliony

piechoty, a jazda mogąca wynosić do dwustu koni, częściami wymykała się przez inne wyloty ze wsi i formowała obok piechoty. Generał i cały sztab zatrzymał się, czekając na coś, na co, nie wiem, ja tymczasem począłem się rozglądać po obecnych, czy kogo ze znajomych nie zobaczę. Znalazłem ich kilku; witali mię radośnie, ale wszyscy byli mocno skłopotani i zaniepokojeni wiadomościami, jakie sztab otrzymał nad ranem. Nieprzyjaciel zbliżał się z dwóch stron, a każda jego kolumna przewyższała co do liczby oddział generała Casobi.

— A ileż my liczymy ludzi? — spytałem.

— Mamy trzy bataliony piechoty po 500 do 600 ludzi, ogółem 1.500 do 1.800 bagnetów i 200 koni jazdy.

— A dział?

— Ani jednego. Prócz tego, trzeba ci wiedzieć, kolego, że te dwa oto bataliony, które tu widzisz, są dobrze uzbrojone, umundurowane i wyćwiczone. Trzeci zaś, który został we wsi i stanowi naszą aryergardę, jest złożony z chłopów, nazywają go nawet »chamskim batalionem«. Zbieranina to, mająca broń różnego kalibru, nieumundurowana, bez butów, nie karna, tak, że na niego nic liczyć nie można. Przy pierwszym strzale rozleci się to, do wszystkich djabłów. Jednem słowem jest źle!

Nie były to pocieszające wiadomości, a w końcu dowiedziałem się, że mój dzielny pluton, z którym tyle miesięcy bojów i wszelkiego rodzaju przygód przeżyłem, oddany był w mej nieobecności komu innemu. Słuchałem tego wszystkiego smutny, zniechęcony, rozczarowany zupełnie, zapatrzony na bielejące na wschodzie niebo, na ponury świt posępnego poranku jesiennego, wsłuchując się w gwar nieznośny, który ze wsi dochodził z pośrodka podwód, które jakoś w żaden sposób z ciasnej ulicy wiejskiej wydobyć się nie mogły.

Nagle usłyszałem głos generała:

— Kiedyż u stu djabłów wylezie ten trzeci batalion! Hej! panie Alonso! biegnij mi do wsi i powiedz majorowi Marco, by rzucił podwody a z batalionem spieszył tutaj. Po-

wiedz mu, że jak się nie pospieszy, to go zostawię z jego chamami i niech ich djabli porwą!

Pan Alonso, adjutancik świeżo upieczony, wystrojony, jak z igły, pełen epoletów i świecidełek, spiął konia i pogalopował do wsi, a tymczasem dwa bataliony poczęły się formować w kolumnę marszową i powoli ruszać. Dzień robił się szybko, lekki i zimny wiatr się zerwał, czas powoli upływał, a trzeciego batalionu widać nie było, jeno wrzawa we wsi zdawała się wzmagać i wśród ciszy poranku rozchodzić daleko.

Nagle wśród tej ciszy przed czołem poruszającej się już kolumny, rozległ się strzał jeden, potem drugi i trzeci. Jakby iskrą elektryczną dotknięte bataliony zatrzymały się na miejscu i zdawało się, że cała ta masa ludzi i koni wstrzymują w sobie oddech, nadsłuchując pilnie, co źle mi wróżyło o jej gotowości bojowej. Niebawem pikiety konne, pozostawione na swych stanowiskach na drodze, którą miano maszerować, ukazały się w pędzie, donosząc, że liczne kolumny nieprzyjacielskie wysuwają się z lasu, który czerniał przed nami.

Jenerał spiął konia i otoczony całym swym sztabem, wśród którego i ja ciągle znajdowałem się, popędził na wzgórze sterczące z boku drogi, skąd szerszą przestrzeń można było dostrzedz, by przypatrzyć się owym nieprzyjacielskim szeregom. Widać je było, jak wysuwały się wolno, niby wąż najeżony, lśniącymi pod słońce, bagnetami. Jazda, piechota, armaty, wypadały pędem na pole, migotały się pod ślicznie wschodzącem słońcem, szykując się do boju. Jenerał patrzał na to wszystko i powoli wydawał swym adjutantom rozkazy, z których mogłem się przekonać, że zamierza przyjąć bitwę, choć nieprzyjaciel był o wiele silniejszy. Jakie powody kierowały tu jenerałem Casobi, nie wiem.

Rozkazy zresztą, które wydawał, tak były liczne, że niebawem wszyscy adjutanci się rozlecieli, wszyscy dowódzcy oddziałów pobiegli na swe stanowiska i przy jenerale na owem wzgórzu, zostałem tylko ja i paru ordynansów. Nagle jakiś

donośniejszy krzyk ze wsi, przypomniał jenerałowi grzebiący się tam jeszcze trzeci batalion.

— Milion set djabłów! — zawołał z gniewem — co się dzieje z tym trzecim batalionem? Mój poruczniku — zwrócił się do mnie — leć do wsi i napędź tam ich, bo dalibóg na nich czekać nie będę.

Kontent, żem przecież otrzymał jakieś polecenie, jakąś czynność w tej zaczynającej się bitwie, bo tyralierskie strzały dawały się już słyszeć: że nie będę się plątał jak piąte koło u wozu, spiąłem konia i pognałem do wsi. U jej wylotu samego spotkałem dzielnego majora Marco, siedzącego na swej grubej, niskiej, myszatej kobyle, ubranego w jakąś szarą kurtkę i bandycki kapelusz, z karabinem przerzuconym przez plecy, jak szykował swój nieszczęśliwy batalion, który już w trzech czwartych częściach zdołał się wygrzebać ze śmiertelnych uścisków podwód i wozów.

Zakomunikowałem rozkaz jenerała majorowi Marco. Rękami strzepnął rozpaczliwie i wpatrując się we mnie krwawemi, rozgorączkowanemi oczami, zawołał głosem ochrypłym:

— A cóż ja zrobię do pioruna? Ochrypłem już od ciągłego krzyku, a moje chamy robią co mogą. Widzisz jak ciężko pracują.

Batalion powoli się zbierał i szykował. Siedząc na koniu obok nieustannie krzyczącego majora, patrzałem w milczeniu na te ciche, zmęczone mocno szeregi tych parobczaków, przeważnie bezwąsych, w świtki, w magierki, w różnolitą pstrociznę barw przybranych, po większej części bosych, ale uzbrojonych w karabiny i z troskliwością dzwigających swe, przepełnione nabojami ładownice. Karabiny, jak to było widać, były najrozmaitszej konstrukcyi i miary, niektóre bez bagnetów, niektóre nawet skałkowe, ale nie mniej przeto w rękach tych dzielnych, czerwonych od wiatru i słońca, zdrowych i barczystych chłopów, mogły się stać straszną bronią. Zauważyłem przytem, że byli nadzwyczaj karni, wbrew temu, co mi niedawno mówiono, karniejsi od innych batalionów,

a zwłaszcza od kawaleryi, którą widać było, jak niesforną masą kręciła się po polu, i niepewna swą postawą zapowiadała smutny koniec temu starciu.

Tymczasem tam, na polu, bitwa rozpoczęła się na dobre. Wzmógł się i każdej chwili wzrastał ogień karabinowy, któremu niebawem wtórować poczęły działa. To też major Marco coraz bardziej niespokojny, gdy nakoniec batalion zdołał się w zupełności wydobyć z labiryntu wozów i uszykował się u wylotu wsi w kolumnę marszową, zwrócił się do mnie i rzekł:

— Mój poruczniku, leć do jenerała i powiedz mu, że już idę, spytaj jaką pozycyę mam zająć i donieś mi z łaski swej o tem.

— Dobrze! — odrzekłem i popędziłem co koń wyskoczy.

Ale zaledwie wypadłem za wieś, gdy musiałem się zaraz zatrzymać. Między mną bowiem a dwoma innymi batalionami z jenerałem Casobi, znajdowała się jazda nieprzyjacielska. Skorzystała ona z przerwy, jaka się wytworzyła wskutek opóźnienia trzeciego batalionu i odcięła ten ostatni od sił głównych. Jazda ta złożona przeważnie ze strzelców konnych, zwanych dragonami, w imponującej masie, jakichś może sześciuset koni, posuwała się lekkim kłusem, mając przed sobą roje wyjących i piszczących bersaglierów i bateryę artyleryi konnej na skrzydłach. Wobec tego o przedostaniu się do jenerała i wypełnieniu rozkazu majora Marco, nie mogło być nawet mowy. Zawróciłem więc, by powrócić do trzeciego batalionu, zwłaszcza, że bersaglierzy mię już dostrzegli i z piskiem, wyciem, pochyleni na swych niezgrabnych ale wytrwałych mierzynkach, puścili się krzycząc:

— Hej! nie ujdziesz!

Ale nie czekałem na nich, lecz pędem wróciłem do batalionu, który w zwartym szeregu, biegiem gimnastycznym wydobywał się z opłotków, mając na czele swego majora, kłusującego na kobyle myszatej. Dostrzegł on już jazdę nieprzyjacielską i doskonale pojmował położenie, bo rzekł do mnie:

— Nie mogłeś już dojechać. Ano... trudno... sprobujemy utorować sobie drogę bagnetem.

Wybiegliśmy już na czyste pole i ciągle w kolumnie marszowej, ściśniętej mocno, posuwaliśmy się naprzód wprost na jazdę nieprzyjacielską, zastępującą nam drogę. Niby rój os, opadli nas zewsząd, ale mojor surowo rozkazywał:

— Nie strzelać!

Nie strzelaliśmy więc, choć bersaglierzy snuli się ze wszystkich stron, wyjąc przeraźliwie, nie ośmielając się jednak zbyt blisko przysuwać.

Zajęty tą lekką jazdą, nie zważałem co działo się na polu bitwy, która już wrzała w całej sile, grzmiał grzechot ognia karabinowego, ryczały działa i kłęby białego dymu unosiły się na pobojowisku. Ale major Marco miał na wszystko oko. Nagle zatrzymał swą kobyłę i głosem donośnym ale spokojnym zakomenderował:

— Batalion stój!

Batalion stanął, i wtedy ja rozglądać się począłem, co mogło być przyczyną tego osobliwszego w naszem położeniu rozkazu. Ledwiem atoli rzucił okiem na pole, odrazu odgadłem wszystko. Jazda nieprzyjacielska obaczywszy odosobnienie naszego batalionu i uważając go za łatwą zdobycz, gotowała się uderzyć na niego. Widziałem jak błyszczały szable oficerów niby węże ogniste pod słońce, jak trąbki zagrały i formowały się kolumny do ataku w liniach szwadronowych. Artylerya wypadła na czoło i działa odprzodkowywano, by plunąć nam w oczy wprzódy kartaczami, a zachwianych ogniem stratować następnie potężnym atakiem sześciuset koni!

Po lewej naszej stronie, w odległości kilkudziesięciu kroków od drogi, którą posuwaliśmy się, rosła na polu samotna grusza, stara zapewne bardzo, bo rozłożyste jej konary szeroko sięgały. Ku tej to gruszy major Marco kazał, biorąc pół obrotu w lewo, biegiem batalionowi zbliżyć się, i gdyśmy tu nakoniec stanęli, głosem surowym, ale zawsze brzmiącym dźwiękiem nieustraszonego spokoju, zakomenderował:

— Według czwartego i piątego plutonu, formuj karabatalion, na prawo i na lewo, marsz!

Przy formowaniu czworoboku nie obeszło się bez pewnego zamięszania i nieładu, co wywołało siarczyste klątwy ze strony majora, ale ostatecznie kokoła gruszy utworzył się las bagnetów. Czas był już wielki, bo jazda nieprzyjacielska na błysk, podniesionych do góry, szabel oficerskich, ruszyła kłusem do ataku.

Ja na moim siwku, a major na swej myszatej kobyle schroniliśmy się do środka czworoboku i patrzałem z pewnym niepokojem na zbliżającą się jazdę nieprzyjacielską. Szła ona w trzech kolumnach o szwadronowym froncie, widocznie zamierzając z trzech stron na nas uderzyć. Przed nią, w rozprószonej gromadzie, pędzili, co koń wyskoczy, bersaglierzy z piskiem i wyciem, potrząsając długiemi swemi spisami, od czasu do czasu dając ognia z janczarek. Wreszcie w odstępach między szwadronami galopowała artylerya konna. Czas był prześliczny; słońce wzbiło się na jasne, przejrzyste, błękitne niebo w całym swoim blasku, a przy jego ciepłych, złocistych promieniach, pola, żółkniejące drzewa, a nadewszystko purpurą jesienną przyodziana grusza, pod którą batalion się schronił, tworzyły bardzo piękny i bardzo melancholijny widok.

Gdy ostatecznie czworobok się sformował, major zawołał głosem donośnym:

— Chamy! gdy mi który bez rozkazu strzeli, jak psu w łeb wypalę! słuchać komendy!

W batalionie zaległa poważna cisza. Rozgorączkowane, czerwone od biegu i wzruszenia, potem oblane twarze tych parobków od pługa i sochy lekki wiatr chłodził, a stara grusza sypała swe purpurowe liście. W dygoczących rękach brzęczały karabiny, słońce na ostrzach bagnetów zapalało błyskawiczne blaski, a drżące usta stłumionym szeptem słały cichą modlitwę: »Kto się w opiekę podda Panu swemu«.

Jazda nieprzyjacielska w strojnie wyciągniętych liniach zbliżała się kłusem. Widok był przepyszny. Z pod kopyt kil-

kuset koni wzbiła się pod błękitne niebo cała chmura pyłu, wśród której migotały szable, czerwieniały kołnierze, a ziemia dudniała i drżała. Nagle działa, dotąd pędzące kłusem, zatrzymały się, rozległa się komenda, odprzodkowano je w jednej chwili, błysnęły i ze strasznym hukiem i szumem żygnęły na ściśnięty nasz batalion gradem kartaczy. Na szczęście w pospiechu źle mierzono i pociski poszły górą, obsypując nas tylko całą masą żółtych i purpurowych liści starej gruszy. W tejże chwili rozległy się trąbki, zagrzmiało potężne »hura!« i jazda nieprzyjacielska ruszyła z kopyta do ataku.

Chwila była bardzo tragiczna. Co prawda, wątpiłem mocno, czy te bose, obdarte, dygocące od strachu chłopy, szepczące Zdrowaśki, wytrzymają ten atak, ale major miał minę, jak zawsze spokojną i groźną, i ciągle powtarzał:

— Nie strzelać! nie strzelać, aż ja każę.

I chłopcy nie strzelali. W ten sposób jazda zbliżyła się do nas na jakie może trzydzieści kroków, tak, że widać już było rozgorączkowane, straszne twarze jeźdźców, ich oczy szeroko rozwarte, błyszczące żądzą mordu, czuć było nieomal ciężki, dyszący oddech tych kilkuset ludzi i koni.

Nagle major podniósł szablę w górę i zakomenderował, jak zawsze, pewnym i spokojnym głosem:

— Batalion! rotami ognia!

Zagrzmiały strzały zrazu niesforne, nieregularne, ale powoli szła już palba równa, ciągła, nieustająca. Owionął nas dym i przez chwilę nic nie było widać, ale gdy wiatr go rozpędził, ujrzeliśmy jazdę nieprzyjacielską, zbitą w niekształtną gromadę i uciekającą, co koń wyskoczy, a na polu czerniały liczne trupy jeźdźców i koni...

W szeregach na ten widok zagrzmiał radosny okrzyk: »Niech żyje!«... a major wołał:

— Chłopcy! dzielnieście się spisali, ale słuchać komendy, bo inaczej djabli was wezmą!

Zaraz też kazał czworobokowi zwinąć się w kolumnę marszową i biegiem ruszyć naprzód. Nie uszliśmy jednak

i pięćdziesięciu kroków, gdy obsypani zostaliśmy gradem kartaczy. Jakkolwiek pierwsze strzały poszły górą i z szumem przeleciały ponad naszemi głowami, następne były lepiej wymierzone, raz po razu padały w środek kolumny i kilku ludzi z głuchym jękiem zwaliły na ziemię.

— Wojtek zabity! Grzela ma urwaną nogę! o! laboga! laboga! — słychać było w szeregach.

Ale major Marco na wszystko miał oko. Zawrócił konia i przebiegając wyciągniętym kłusem od czoła do ogona kolumny, wołał groźnie:

— Milczeć tam w szeregach! szlusuj!

Milczano więc, szlusowano i pędzono naprzód. Niebawem z pośród kolumn i dymu dały się słyszeć znowu trąbki i zaczęły wychylać się kolumny jazdy nieprzyjacielskiej. Gotowano się do powtórnej szarży.

— Batalion stój! — zagrzmiała znowu komenda majora.

Teraz stanęliśmy w szczerem polu. Nie osłaniała nas swym cieniem od palących promieni słońca, stara, rozłożysta grusza, nie szemrała nam nad głową szeptu modlitwy. Dokoła nas roztaczało się nagie, równe, orzyskiem pokryte pole, po którem orały kartacze, kłębiły się całe chmury dymu, unosił się grzmot dział i wrzawa trudna do opisania. Pozostałych dwóch batalionów z generałem Casobi nie było widać i prawdopodobnie, przypuszczać należało, że korzystając z zajęcia się nieprzyjaciela nami »chamami«, wysunęły się szczęśliwie z żelaznego pierścienia i umknęły, zostawiając nas na ofiarę. Widocznie te same myśli przebiegały po głowach »chamów«, bo przy formowaniu powtórnego czworoboku większy jeszcze, niż pierwszym razem, powstał zamęt i postawy były mniej zdecydowane. Wszelako przywykli do swego komendanta, trzymani przezeń w ryzie i surowej karności, na głos jego podnieśli głowy, sformowali się jak należy i pewnem było, że w kaszę sobie nadmuchać nie dadzą.

— Chamy! — wołał major — trzymać się dobrze, słuchać komendy, a sprawimy im taką łaźnię, że więcej nie

ośmielą się na nas uderzać i do swoich się prędzej dostaniemy. Czy słyszycie?

— Słyszymy!

— Grzela, czego hyclu rozdziawiłeś gębę? czy chcesz, żeby ci kula w nią wpadła?

Śmiech rozległ się w szeregach, a Grzela, parobek czerwony jak rydz, co prędzej zamykał swą nieszczęśliwą gębę, ale major osiągnął swój cel, ożywił, uśmierzył zgnębione i wątpiące serca, dodał im otuchy i zrobił to, że gdy jazda nieprzyjacielska po raz drugi na nas się rzuciła, została powitaną jak należy, i większą jeszcze ilością trupów ludzi i koni okupiła swe zuchwałe zamiary. Doprawdy serce rosło, patrząc, jak te Maćki heroicznie walczyli, jak w rozpaczliwem swem położeniu do ostatka dumnie dzierzyli sławę dobrego żołnierza.

Jeszcze jeden taki atak musieliśmy wytrzymać, atak jak poprzednie, dzielnie odparty, i zostawiwszy na pobojowisku kilkudziesięciu zabitych, wyłącznie od kartaczy, a unosząc ze sobą takąż ilość rannych, przedarliśmy się nakoniec przez zastępującego nam drogę nieprzyjaciela i połączyliśmy się zdyszani, czarni od dymu i kurzu, z resztą oddziału, witani przezeń okrzykami radości i uniesienia. A stary major odprowadziwszy swych »chamów« na tyły walczących szeregów, jechał stępo przed odpoczywającym batalionem z odkrytą głową i gadał, uśmiechając się dobrodusznie:

— Chłopcy, dzielnieście się spisali, ani słowa, choć szelmy jakieś strzelaliście nierówno. Grzela! zamknij mi gębę, bo wyglądasz, jakbyś chciał mię połknąć.

Batalion śmiechem odpowiadał na to, Grzela, czerwony jak burak, co prędzej zamykał swą niefortunną gębę.

Nie będę tu opisywał dalszego ciągu walki, w której zresztą udziału nie brałem; pozostałem już przy moim dzielnym chłopskim batalionie, który serdecznie pokochałem. To tylko dodam, że po kilkogodzinnym boju, bardzo zaciętym, wydobyliśmy się z obławy stosunkowo szczęśliwie, choć z poważnemi w ludziach i taborze wojennym stratami.

XXI.

Przez pozostałą resztę dnia byliśmy ścigani uparcie, ale w nocy, dzięki bardzo zręcznie obmyślanemu i wykonanemu kontramarszowi, zdołaliśmy zatrzeć za sobą ślady. Cały dzień następny z małemi odpoczynkami maszerowaliśmy lasami, po najgorszych drogach, wśród deszczu i zimna, jakie po kilku pięknych dniach, zapanowało i dopiero późnym wieczorem, niesłychanie znużeni i zupełnie zdezorganizowani, zatrzymaliśmy się obozem, wśród głuchego boru, w skalistym wąwozie, w miejscowości dzikiej i romantycznej zarazem. Gdzie w tej chwili znajdowaliśmy się, nie miałem pojęcia. Od sztabu trzymałem się zdaleka, bo mi się w nim wiele rzeczy nie podobało: zauważyłem mianowicie mnóstwo postrojonych paniczyków, mnóstwo darmozjadów, za wiele szlif i epoletów, nieodpowiednich wcale powstańczemu charakterowi naszej walki. Pozostawałem ciągle przy trzecim batalionie »chamskim«, który po krwawej walce, jaką stoczył z jazdą nieprzyjacielską i po uciążliwym marszu o chłodzie i głodzie, trzymał się najdzielniej i prawie nie miał maruderów. Ale też pozostając przy tym batalionie, nie mogłem mieć żadnych wiadomości ani o zamiarach wodzów, ani o tem, gdzie się znajdujemy.

Przytem, mówiąc szczerze, byłem tak znużony, że o niczem innem nie myślałem, jak tylko o tem, żeby co zjeść i potem położyć się spać. Major Marco zaprosił mię na gorzałkę i suchary, któremi posiliwszy się nieco padłem w szałasie, zbudowanym z gałęzi przez żołnierzy dla niego i zasnąłem snem kamiennym.

W nocy jednak obudziłem się i począłem wsłuchiwać się w monotonny plusk deszczu, który nie przestawał padać i melancholijny szum boru. Myślałem o Józefinie, o dziwnych naszych losach, i ogarnęła mię nieprzeparta tęsknota za tą ubóstwianą kobietą.

— Boże mój! — szeptałem — kiedyż ja ją zobaczę, i czy zobaczę ją jeszcze!

Nie ukrywałem bowiem tego przed sobą, że powstanie widocznie ma się ku upadkowi, a rozprzężenie, w jakim znajdował się oddział jenerała Casobi, nie rokował nic dobrego. Dlatego też słusznie mogłem wątpić o rychłem zobaczeniu się z Józefiną, zwłaszcza, że zdawało mi się, iż ostatnie marsze rzuciły nas w zupełnie inną okolicę, w tę stronę południową gór Santa-Cruz, podczas gdy Bardo, znajdowało się na północnym ich stoku. Bądź co bądź jednak postanowiłem nazajutrz rano udać się do sztabu i zasięgnąć języka, gdzie się właściwie znajdujemy.

Nad ranem zasnąłem powtórnie mocno i obudziłem się dość późno. Gdym wyszedł z szałasu, zobaczyłem już cały obóz w ruchu, ale nie zanosiło się na to, byśmy mieli wyruszyć. Deszcz ustał, choć dzień był pochmurny. Żołnierze myli się, prali bieliznę, spali, a przy licznych ogniskach stały kotły z gotującą się strawą. Powoli, przypatrując się temu wszystkiemu, niewypowiedzianie smutny, zatęskniony i znękany, szedłem przez obóz, gdy nagle spotkałem Burczymuchę, którego jako starego ułana wcielono do jazdy. Szedł uzbrojony i zobaczywszy mię, salutował i mówił:

— Szukam pana porucznika.

— Co takiego? o co idzie?

— Mam ciekawą dla pana nowinę. Ale chodźmy gdzie na bok, bo tu za dużo uszów.

Skręciliśmy w głąb lasu, a on mi, swoim zwyczajem, szeroko począł opowiadać, że ponieważ w nocy przyszła do sztabu wiadomość, iż w okolicy kręci się lekka jazda nieprzyjacielska, więc o świcie wysłano go na podjazd, na czele pół plutonu jazdy, z rozkazem dotarcia do miejscowości, gdzie widziano nieprzyjaciela i zasięgnięcia języka.

— Pojechałem tedy, mopanku — opowiadał dalej Burczymucha — ale powiadam panu porucznikowi, że lepiej hyclem zostać i psy w Bilbao łapać, jak taką jazdą dowodzić. Tchórze to, źle się trzymają na koniach, smyki ostatnie i szewcy. Ale cóż, rozkaz jest, więc jadę, a krótko trzymam mych

zuchów i gadam im przez drogę, że jak który stchórzy, jak Bóg na niebie, sam mu w łeb wypalę, więc...

— Mniejsza z tem, mów co mi masz powiedzieć.

— Ano cóż... mopanku... ot powiem poprostu, widziałem tego zbója Huana...

— Huana? widziałeś Huana!

— Tak, jak na pana porucznika patrzę.

— Gdzie? gadaj zaraz!

— Otóż to... gdzie?... czy ja wiem gdzie, dość że go widziałem.

Tu zaczął szeroko i długo opowiadać, jak spotkał pięciu lekkich jeźdźców nieprzyjacielskich, jak oni zobaczywszy go uciekli, jak ich gonił kawał drogi, jak pod jednym z nich koń się związał i padł. Nim jednak zdołał na zmęczonej swej szkapie dopaść do niego, już jeździec się zerwał, wdrapał się z kocią zręcznością na sąsiednią wysoką skałę, odwrócił się i język Burczymusze pokazał. W jeźdźcu tym mój dzielny wachmistrz poznał Huana i nawet zawołał na niego, a Huan miał mu odpowiedzieć:

— Tak, to ja! usłyszycie o mnie wkrótce! i zniknął w nieprzebytym gąszczu, tak, że o ściganiu go nie mogło być nawet mowy.

Wiadomość była bardzo ważna i dowodziła, że Huan zdradził.

— Czy tylko pewnym jesteś, że to był Huan? — spytałem.

— Jak najpewniejszy, przecież z nim gadałem.

— Więc hultaj widocznie nas zdradził.

— Nie inaczej. Mnie się ten szelma nigdy nie podobał i zawsze miałem go w silnem podejrzeniu. I wie pan porucznik co?

— No cóż?

— Zdaje mi się, że Bardo stąd jest niedaleko, i że Huan dlatego się tu kręci. Djabli wiedzą, co on mógł zrobić z naszemi paniami.

Wiadomość ta, a zwłaszcza to ostatnie przypuszczenie, zrobiło na mnie piorunujące wrażenie. Jakieś straszne przeczucie grożącego mi nieszczęścia owładnęło mną i na chwilę straciłem prawie przytomność od niewypowiedzianego bolu serca. Ale obycie się z niebezpieczeństwem i nagłością wypadków, przywróciło mi wkrótce całą energię. W jednej chwili powziąłem plan i postanowiłem go wykonać.

— Czy jenerałowi złożyłeś raport o tem wszystkiem?

— Tak... jakżeby inaczej. Wracam ze sztabu.

— I cóż?

— A nic. Jenerał powiedział: Dobrze i na tem koniec, mopanku.

— Nie odchodź nigdzie, żebym cię mógł zaraz znaleźć. Będziesz mi potrzebny.

— Dobrze. Będę przy moich ludziach.

— Czekaj na mnie!

To rzekłszy, pobiegłem do sztabu. Mieścił się on w samotnej szopie na siano, na pół zrujnowanej, stojącej nad strumykiem, na niewielkiej łączce wśród głuchego boru. Biegłem tam z wielką niechęcią, nie wiedząc jak się przez gromadę pieczeniarzy przedrę do generała, gdy na szczęście przed szopą spostrzegłem pułkownika Sigismundo, który pełnił w oddziale obowiązki szefa sztabu. I on mię zauważył, a twarz moja musiała wyrażać straszną rozpacz, bo zawołał:

— Jak się masz poruczniku? ale co tobie? co się stało?

Poprosiłem go o chwilkę rozmowy na osobności i przedewszystkiem spytałem, gdzie się obecnie znajdujemy.

— W górach Santa-Cruz! — rzekł — ale dlaczego pytasz o to?

— Mój pułkowniku, bardzo mi wiele zależy na tej wiadomości. Czy nie wiesz czasem, jak daleko stąd do wsi Bardo?

— Bardo! Bardo! znam to nazwisko... ale czekaj, zobaczymy zaraz na mapie.

Zawołał swego adjutanta, który w blaszanej rurze, nosił mapy na plecach, wydobył odpowiednią sekcyę i na moje

wielkie przerażenie a zarazem radość, przekonałem się, że obóz nasz znajduje się zaledwie w odległości dwóch mil od wsi Bardo.

— A teraz — rzekłem — racz mi pułkowniku powiedzieć, czy wiesz o raporcie Burczymuchy?

— Wiem... bo co?

— Więc wiecie, że nieprzyjaciel blisko?

— Co za nieprzyjaciel? Mamy skąd inąd bardzo dokładne i wiarogodne doniesienia, że jest to wataha lekkich jeźdźców, około trzydziestu koni, wysłana na przeszpiegi. Możesz być spokojnym, poruczniku, przez dziś i jutro nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo i wypoczniemy sobie dobrze.

Pułkownik mówił to wszystko z uśmiechem, głosem łagodnym i widocznie pragnął mię uspokoić i w ogóle okazywał wielką uprzejmość, boć podrzędnemu oficerowi, jakim ja byłem, nie potrzebował się tłumaczyć.

— A czy pułkownik wiesz, że wśród tej watahy znajduje się Huan?

— Jaki Huan?

— Przemytnik, do którego w dobie, gdy jenerał Casobi przeprawiał się do nas, pułkownik polecił mi się udać.

— Aa! przypominam sobie... tak, mówił coś o tem Burczymucha... ale cóż to znaczy? Jeżeli łotra schwytamy, pójdzie na szubienicę i na tem koniec. Szpiegiem jest widocznie. Nie on pierwszy i nie on ostatni. W niczem to zresztą nie zmienia naszej sytuacyi, która, zapewniam cię, względnie jest dobra.

Cóż miałem na to wszystko rzec! Nie mogłem przecież pułkownikowi mówić o Józefinie, i o Teresie i o podejrzeniach, jakie wzbudził we mnie pobyt w tych stronach Huana. Były to zresztą moje sprawy prywatne, sprawy, o których po obozie nieco szeptano i z powodu mych stosunków z żoną Rosotempla, nieco krzywo na mnie patrzano. A jednakże, bądź co bądź, musiałem się czegoś dowiedzieć, dotrzeć do Bardo, gdzie mnie ciągnęło serce i najstraszliwsza obawa

o los mej ukochanej, tej drogiej nieszczęśliwej kobiety. Począłem więc mówić, że przecież niepodobna pozwolić na to, aby bezkarnie, prawie pod nosem naszym, włóczyła się po okolicy garść jeźdźców nieprzyjacielskich, szpiegowała i dopuszczała się nadużyć. Mówiłem to wszystko głośno, z gorączkowem ożywieniem, z wyraźnym niepokojem w ruchach i twarzy. Pułkownik patrzał na mnie ciekawie, słuchał mię w milczeniu, wreszcie spytał:

— Ale cóż ciebie, poruczniku, może to obchodzić? zdaje mi się, że to do ciebie nie należy. Wreszcie, czego chcesz?

— Chcę cię prosić, pułkowniku, abyś mi dał pluton jazdy, z którym wyruszę i onych jeźdźców przepędzę...

— I poco?

Nie umiałem na to odpowiedzieć, począłem znów prawić, że nie można przecież na to pozwolić, by oni się włóczyli i szpiegowali.

— To już jest nasza rzecz — odrzekł chłodno pułkownik, i dodał: — czy masz mi co jeszcze, mości poruczniku, do powiedzenia?

— Nic. Chciałem tylko prosić o urlop dla siebie i dla wachmistrza Burczymuchy na kilka godzin.

— Czy zamierzasz się gdzie udać?

— Tak, do Bardo. Tam mieszka moja ciotka. Pragnąłbym ją odwiedzić.

Pułkownik spojrzał na mnie surowo i rzekł:

— *Hier liegt der Hund begraben.* Ale pamiętaj poruczniku, nigdy spraw publicznych nie mieszaj ze sprawami prywatnemi. Pozwalam ci wraz z Burczymuchą udać się do wsi Bardo. Przed wieczorem masz wrócić!

To rzekłszy odwrócił się i począł rozmawiać z jednym ze swoich wyepoletowanych adjutancików, dając mi tem poznać, że konferencya nasza skończona. Przykro mi było bardzo, że pułkownik Sigismundo, którego bardzo szanowałem, tak się ze mną obszedł, ale w głębi duszy przyznać musiałem, że miał racyę, że ja, zaślepiony miłością, dla tej miłości chcia-

łem narazić na poważne niebezpieczeństwo, może na śmierć, garść ludzi potrzebnych ojczyźnie. Ale refleksye te znacznie później przyszły mi do głowy, teraz zajęty jedynie myślą dostania się do Bardo, pospieszyłem coprędzej, wyszukałem Burczymuchę i zawołałem na niego:

— Na koń! jedziemy do Bardo.

— Hm... mopanku... dobrze! czemu by nie? pojadę z panem porucznikiem chociażby do piekła a nie dopiero do Bardo. Pyszne tam robi kucharka pierogi z serem, ale uważa pan porucznik, to jest, mopanku, wedle rozkazania chciałem się zapytać kogo mam wybrać z plutonu?

— Nikogo.

— Jakto, samowtór pojedziemy?

— Tak.

— Hm... wedle rozkazania, niech i tak będzie. Co mi tam... raz trzeba umrzeć, ale widzi mi się, że może być koło nas krucho.

Tak gadał, mruczał coś pod nosem, ale kulbakę na koniu przypoprężył, pistolety bacznie obejrzał i w pięć minut był gotów. Ja też nie dałem czekać na siebie i niebawem puściliśmy się w drogę. Na mapie sztabowej doskonale się przyjrzałem, którędy mam jechać i pewny byłem, że nie zbłądzimy.

Jakkolwiek paliła mię gorączka jak najszybszego dostania się do dworu mej ciotki, jednakże konie pomęczone i wygłodzone mocno, mogły się tylko bardzo wolno posuwać, zwłaszcza, że drogi górskie, po wczorajszym deszczu, który i teraz mżyć zaczął, były ciężkie, rozmokłe, błotniste, tak, że dopiero koło południa wydostałem się na wzgórze, z którego widać było Bardo i dwór cały doskonale.

Wieś wśród chmurnego dnia przedstawiała się czarno i ponuro. Panowała w niej jakaś głucha pustka, żywej duszy na głównej drodze nie było widać, psy nawet nie szczekały. Ponad domami, nad dachem dworu, wśród drzew włóczyły się jakieś szare mgły i dymy, i niewątpliwie były to dymy, bo wiatr przyniósł nam niemiłą woń spalenizny.

Burczymucha, którego zdrowego rozsądku i spokojności umysłu nie zakłócały żadne namiętności, popatrzywszy przez chwilę, rzekł:

— Mopanku, panie poruczniku, dwór się pali!

— Gdzie? co? jak?...

— Patrz pan, tam... nad kuchnią... moje pierożki z serem djabli wzięli!... widzi pan, jak czarny dym wali z pod dachu we dworze.

W rzeczy samej, gdym baczniej spojrzał, dostrzegłem kłęby czarnego dymu, wydobywającego się z okien i dachu od strony kuchni.

— I co dziwniejsza — mówił dalej Burczymucha — ja nie widzę nikogo koło domu. Panie poruczniku, tam się coś stać musiało!

Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Przejęty najstraszliwszemi przeczuciami, spiąłem konia i jak szalony poleciałem przez wieś ku domowi. Nie zwracałem już uwagi na to, że wszystkie chałupy we wsi były na głucho zabite, że wiele z nich nosiło ślady pożaru, który tylko nie rozgorzał zupełnie z powodu przesiąkniętych wilgocią ścian, że cała droga zasypana była pierzem, szmatami wszelkiego rodzaju, trupami psów, koni i drobiu. Na wszystko to nie zwracałem uwagi, tylko jak czarny rycerz w balladzie Bürgera pędziłem do dworu ciotki.

Nakoniec stanąłem tam na dziedzińcu. Smrodliwy dym rozwłóczył się wszędzie, drzwi główne, prowadzące z ganku do sieni, wyłamane czy wyważone zwieszały się z zawias, okna były pobite, powyrywane, cały dziedziniec zasłany kartkami zniszczonych książek, potłuczonemi meblami i lustrami, stosami pierza i dogorywającym psem domowym, ciężko dyszącym wśród kałuży krwi...

Zeskoczyłem z konia i wpadłem do sieni. Tu przedewszystkiem zobaczyłem trupa starego sługi domowego, niegdyś ułana trzeciego pułku, jak leżał, dzierząc jeszcze w garści potrzaskaną kolbę dubeltówki, z wielką raną w piersi, z oczami

o lodowatem wejrzeniu, w którem zastygł wyraz nieopisanej grozy. Przeskoczyłem przez tego wspaniałego w swej śmierci trupa i pobiegłem do pokojów dalszych. Wszędzie obraz zupełnego zniszczenia, ale nigdzie żywej duszy... Poczynałem już lżej oddychać, bo widocznem było, że panie moje zdołały się uratować, gdy nagle rozległ się głos Burczymuchy, ale głos taki jakiś okropny, jakiego nigdy u tego żołnierza, przyzwyczajonego do najokropniejszych widoków, nie słyszałem:

— Panie poruczniku! panie poruczniku!... chodź pan prędzej tutaj.

Głos ten pochodził z kuchni. Pobiegłem tam, i widok, jaki ujrzałem, nigdy w życiu nie zapomnę, stał się on straszliwą zmorą mego istnienia, jadem trucizny przepełniającej po dziś dzień mą duszę.

Na środku kuchni, na pół naga leżała na znak Józefina z rękami konwulsyjnie zaciśniętemi, w których sterczała garść kudłatych, rudych włosów, całkiem już zastygła, z oczami szeroko rozwartemi, szklistemi, temi cudnemi oczami, w których teraz tkwił tylko wyraz okropnej rozpaczy... Obok niej, oparta plecami o piec, także naga, skurczona jakaś w sobie, z głową opuszczoną na piersi i z wielką raną krwawą w tych piersiach, siedziała pani Teresa. Dalej były trupy mej ciotki, paru sług, a nad tem wszystkiem czarny, duszący dym...

Taką była ta straszna historya mego życia, która mię złamała na zawsze. Gdy do mych nieszczęść prywatnych, dołączyły się jeszcze nieszczęścia publiczne, stałem się sam trupem, który chodzi, je, spi, ale w którym życie wewnętrzne zamarło na wieki; stałem się posępnym upiorem w tym kraju upiorów...

Wyględówek, luty i maj 1901 r.

KONIEC.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

1/11 100—

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
122516

Biblioteka WSP Kielce
0153553